M.B. im. W. w Łodzi

**W NUMERZE: Mazowsze, ciapciarap i spółdzielnia łupu-cupu — reportaż Andrzeja Makowieckiego z Afryki Zachodniej ■ Myśl polityczna Józefa Piłsudskiego — drugi odcinek szkicu pióra Zenona Janusza Michalskiego ■ Konstytucja 3 Maja ■ Recenzje z premier Strindberga w Łodzi i w Warszawie ■ Apokalipsa w kosmosie ■ Dalszy ciąg wspomnień z kasyna gry w Monte Carlo ■ Felietony ■ „Miłość staropolska" — kolejny fragment przygotowywanej do druku książki Zbigniewa Kuchowicza**

Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 4 (1257) ROK XXV — 2 MAJA 1982 ROKU — CENA 20 ZŁ

Fotó: Stanisław Czekalski

## Pochód 1-majowy 1923

WACŁAW FRANKOWSKI

Ranek był mglisty i pochmurny. Deszcz, który siąpił przez całą niemal noc przestał już padać, ale pozostawił po sobie kałuże brudnej wody w załamach jezdni i trotuarów. Na ulicach czuło się nastrój świąteczny i lekkie podenerwowanie, jak zwykle w dniu święta robotniczego. Wyrażało się ono w żywych rozmowach, dyskusjach idących grupami robotników, w szybkim kroku, przechodzącym w kłusa, pojedynczych przechodniów, mających jeszcze jakieś sprawy do załatwienia, najprawdopodobniej związane z przygotowaniem do pochodu. Mignął tu i ówdzie granatowy mundur policjanta z nasadzonym na karabin bagnetem, ginął jednak szybko pokryty następną grupą przechodniów. Ulica Rzgowska zaludniała się coraz bardziej. Im bliżej Górnego Rynku, tym trudniej było poruszać się swobodnie (...)

Pochód wyruszał o godzinie 10. Przed czasem nie wolno się stawić ze względów konspiracyjnych — tajniacy mogliby zwrócić uwagę, kto przyniósł drzewce, bo tego ukryć się nie da. Wyszedł więc z ul. Granitowej o godz. 9.15. Nie wziął jednak pod uwagę tej ćmy ludzkiej posuwającej się leniwie, jak na jego potrzeby, żółwim krokiem. Zaczęło go to denerwować, przy Górnym Rynku zrozumiał, że nie zdąży na wyznaczony mu czas. Zszedł więc z trotuaru i ruszył ulicą. Tu już mógł się swobodnie poruszać. Dobiegł niemal pędem do Rychlewicza, chwycił już przygotowane drzewce i pobiegł w stronę Wodnego Rynku. Sztandarowego zastał na podpunkcie, porozumieli się i stanął obok niego. Niemalże w tej samej sekundzie do sztandarowego doszła młoda kobieta o rażąco wybujałym biuście. Zamieniła ze sztandarowym kilka słów i stanęła obok. Gienek zrozumiał — przyniosła sztandar. Za chwilę obok Gienka stanęła grupa tęgich robociarzy. Otoczyli go, znalazł się w jej środeczku. Początkowo obleciał go pieter, mignęła myśl — defenzywiacy. Po chwili jednak zrozumiał, kiedy spojrzał na twarze przyjaźnie uśmiechnięte. Grupa zwiększała się niemal z sekundy na sekundę. Po chwili pochłonęła sztandarowego i młodą kobietę z wypchanym biustem.

Pochód zaczął formować swoje szeregi. Ruszył. Szły organizacje jedna za drugą. Tramwajarze zamykali pochód. Już podnieśli sztandar — ruszyli. W tymże momencie w grupie otaczającej Gienka zrobił się ruch, ktoś wyjął mu drzewce z rąk, młoda kobieta poszczuplała gwałtownie i za chwilę sztandarowy ująwszy sztandar wyskoczył na jezdnię. Równocześnie tłum z trotuaru przewalił się na ulicę.

Kamil stanął w drugim szeregu za sztandarowym. Jak urzeczony patrzył na literki równo ustawione. Jego dzieło. Niby nic, a jednak „Komunistyczna Partia Robotnicza Polski" trzepocze nad jego głową, a za tym idzie masa — tłum. Za nim w grupie rosłych mężczyzn niska kobiecina kuca gwałtownie aż do samej ziemi zwisając niemal na ramionach prowadzących ją mężczyzn i krzyczy piskliwym głosem: „Śmierć szpiclom". Głos jest przeraźliwy jak gdyby cała nienawiść do szpicli miała zawierać się w tym krzyku. Kamil machinalnie odwraca głowę, wzrok kobiety spotyka się ze wzrokiem Kamila. Kamilowi robi się przykro, czyni sobie wymówki: po co odwracasz głowę, weźmie cię jeszcze

3

## Za co klient płaci?

**— rozmowa z ministrem do spraw cen — profesorem Zdzisławem Krasińskim**

— Jeśli chodzi o cenę sera holenderskiego, to jest to rezultat polityki „Rolimpexu" czy „Animexu", gdzie ustala się ceny w oparciu o przeliczniki dolarowe, a nie o podaż i popyt.

*— A nasze, krajowe?*

— Jesteśmy gotowi obniżyć ceny serów krajowych, jeśli okaże się, że popyt w stosunku do podaży jest za niski. Ustawa o cenach daje nam takie możliwości.

*— Wzrost cen artykułów żywnościowych wywołał wiele krytyki, ale tu ludzie otrzymali rekompensaty, co złagodziło tę bolesną operację. Gorzej natomiast jest z cenami na artykuły pochodzenia przemysłowego. Wzrosły bardzo wysoko, a co gorsze, znów powstała nieprawidłowa relacja między cenami artykułów żywnościowych i pochodzenia przemysłowego, na niekorzyść tych pierwszych. A przecież powinno być tak, że ceny żywności powinny zachęcać do oszczędzania i skłaniać do kupowania artykułów produkowanych przez przemysł. Dlaczego stało się odwrotnie?*

— Założyliśmy zmianę struktury cen. Kiedy ustalano ceny, nic nie stało na przeszkodzie, aby zależność między cenami żywności i artykułów przemysłowych była prawidłowa. Były jeszcze zapasy surowców. Tylko, że nagle zaczęło brakować komponentów. I dlatego trzeba było zmienić relacje między cenami. W tych wysokich cenach artykułów przemysłowych mieści się 40-procentowy narzut z tytułu opłacania przestojów, nie wykorzystania siły roboczej, mocy produkcyjnych. Proszę pamiętać, że posiadamy już przemysł o stosunkowo wysokiej nowoczesności i maszyn i technologii, a to niesie z sobą wysokie koszty amortyzacji. Kupiliśmy też licencje, których część w ogóle nie została wykorzystana. I to wszystko mieści się w cenach.

*— My za te licencje również płacimy!*

— Oczywiście. Jeśli założymy, że obecna produkcja wielu wyrobów wynosi ok. 60 proc. ubiegłorocznej, to koszt jednostkowy produktu będzie prawie dwukrotnie wyższy niż być powinien. Kiedy jednak przemysł zacznie odzyskiwać swoje dawne możliwości i osiągnie — powiedzmy — produkcję na poziomie 1980 roku, wtedy koszt ten spadnie gdzieś o połowę.

4

JAN HUSZCZA

★ ★ ★

Ciągle powracasz i powracasz
gdzie sady zboża rozmaite
Aż do zachodu zbożna praca
sierpy u kobiet złotolite

Dzbanek kryniczki Przy nim ust
spragnione chłodu Upał pryska
kroplę żywicy A pól chusta
ściele się barwna do gumniska

W przywoływaniu więcej klęski
dotkliwiej lecz i zgoda na nią
boć nie ty jeden co tak tęsknisz
skoro jesteśmy skądś wygnani

Księżyc jak srebrna w chmurach graca
Uważaj Jacyś trzej nadchodzą
Oni nie mają dokąd wracać
lecz mają nóż A nuż ugodzą

To osaczony to strudzony
jakiejś niezwykłej pragniesz chwi
więc czemu jesteś przerażony
na myśl że ciebie upatrzyli

Ci trzej to dawni Trzej Królowie
Stręczyciel Oszust i Morderca
mogą dla ciebie znaleźć w rowie
zakisłą wodę Znaj ich serca

Boże Raz jeszcze przeszli obok
Znów twój ten wzgórek Nad nim blok

# Przegląd prasy

## POMARAŃCZOWY ŚWIAT

„Litieraturnaja gazieta" opublikowała szkic Władimira Gubariewa poświęcony realizacji odwiecznego ludzkiego marzenia — lotom na inne planety. Sądzimy, iż temat jest interesujący, także i dla naszych czytelników i dlatego przytaczamy poniżej obszerne omówienie, tego ciekawego, napisanego ze znajomością rzeczy, artykułu.

Bywa, że nauka dość obcesowo obchodzi się z marzeniami. Uczeni wykonają parę eksperymentów i oto w gruzy walą się przekonania wielu pokoleń. Fakt niszczy iluzję i mimo protestu naszej świadomości, trzeba się poddać....

Osobne pretensje należałoby skierować pod adresem kosmonautyki: ledwo się urodziła — bo cóż znaczy w historii cywilizacji jakieś tam pół wieku — a już zdążyła pozbawić ludzkość „kryształowego marzenia dzieciństwa", jednego z najstarszych i zachwycających.

Przypomnijmy: *„...Nie wykluczone, że Księżyc okaże się urodzajnym terenem dla poszukiwania biologicznych lub przedbiologicznych cząsteczek. Znając ilość, podział i dokładną strukturę związków organicznych, otrzymamy informację, która pomoże nam zrozumieć pochodzenie i historię Księżyca, jego stosunek do Ziemi i do reszty kosmosu". „Winniśmy rozumowo, emocjonalnie i naukowo być przygotowani do tego, że nasz najbliższy kosmiczny sąsiad może być zamieszkały przez istoty rozmne" itp. itd.*

Powyższe cytaty nie zostały wzięte z powieści fantastyczno-naukowych. Zdania te zostały napisane przez poważnych naukowców zaledwie 15 lat temu, w czasie, kiedy na księżyc wybierała się pierwsza wyprawa załogowa.

A marzenie o istnieniu życia poza Ziemią? Sądzę, że właśnie ono stało się stymulatorem badań kosmicznych.

Tam, gdzie budowano automatyczne statki międzyplanetarne, budowano także specjalne komory dla sterylizacji aparatury kosmicznej. Proces sterylizacji był niezwykle skomplikowany, bowiem poddawane jej zespoły elektroniczne winny były wytrzymać wysoką temperaturę. Mimo to biologowie żądali: życie, które jest na Księżycu i Marsie w żadnym wypadku nie może ulec zakażeniu mikroorganizmami z Ziemi.

Trzy tygodnie, po powrocie z Księżyca, astronauci spędzili na kwarantannie — naukowcy obawiali się, że mikroorganizmy z Księżyca trafią na Ziemię.

W czasie lądowania „Wenus 4", u jednego z konstruktorów pojawiły się łzy w oczach: *„Byłem przekonany, że tam istnieje życie* — mówił. — *Od dzieciństwa marzyłem by ujrzeć je na Wenus, a książkę „Planeta burz" czytałem dziesiątki razy... A tam piekło! Czyż może cokolwiek istnieć w takich warunkach?!"*

Niezwykle żywotne są marzenia zakorzenione w naturze człowieczej. Ale dziś uzyskaliśmy jednoznaczną odpowiedź: jesteśmy sami w całym systemie słonecznym i to odkrycie, dokonane przy pomocy kosmonautyki, ma tak samo ogromne znaczenie, jakie miałoby odkrycie życia na innych planetach, innych światach... Nasza samotność zmusza nas, by raz jeszcze spojrzeć na Ziemię i na nasze na niej zachowanie bardziej krytycznie: czy czasem ludzkość nie zachowuje się zbyt ryzykownie? Zanieczyszczanie środowiska naturalnego, produkcja broni masowej zagłady — czy to czasem nie za wielki ciężar dla kolebki cywilizacji, dla naszej planety?

Historia poznawania Wenus godna jest powieści przygodowej obfitującej w nagłe, nieraz paradoksalne sytuacje. Dziś wiemy jak skomplikowana była droga wiodąca do planety przez jej atmosferę. Gdyby parę dziesiątków lat temu ktoś uprzedził o tych trudnościach, to jest rzeczą wątpliwą czy decyzja lotu zostałaby zaakceptowana. Ale właśnie ta niewiedza pomogła uczonym w zrobieniu pierwszego kroku. No, a skoro zrobiono pierwszy, należało zdecydować się na następny.. Gdyby jednak u początku badań Wenus nie znaleźli się tacy uczeni jak M. W. Kiełdysz, S. P. Korolew, A. P. Winogradow i G. N. Babakin, prawdopodobnie jeszcze długo nie oglądalibyśmy jej pejzaży i nie dotknęlibyśmy jej gruntu.

Amerykanie nie zdecydowali się na tę drogę. W ich literaturze naukowej pojawiły się artykuły, w których dowodzono, że nie uda się przebić twardej atmosfery Wenus. Dlatego też zaczęto konstruować aparaty, które latały obok planety i badały ją z odległości. Dopiero po dziesięciu latach zaryzykowano posłać tam serię sond. Niestety, próby nie powiodły się zupełnie. Ale było to już dużo później, kiedy już radzieckie aparaty dokonały miękkiego lądowania na powierzchni Wenus.

Kiedy konstruowano pierwszą „Wenus" konstruktorzy usiłowali uzyskać od naukowców bodaj jakiekolwiek dane o atmosferze na Wenus. Co tam jest — dwutlenek węgla czy azot? Jakie ciśnienie — jedna czy 10 atmosfer? Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć... Każda grupa uczonych przedkładała własny model atmosfery, które, jak się później okazało zbyt daleko odbiegały od stanu faktycznego.

Start pierwszej stacji. Ciśnienie i temperatura wzrastają stopniowo, lecz kiedy przyrządy notują plus 260 stopni, transmisja ulega przerwaniu. Ciśnienie było w tym momencie 18 atm. Na pokładzie „Wenus" był także umieszczony wysokościomierz, który wskazał „zero". Pomyślano, że aparatura osiadła na powierzchni... Jednak zrodziła się natychmiast wątpliwość: przecież aparatura nie mogła zaprzestać działania tuż po zetknięciu się z powierzchnią planety. Niektórzy wysunęli nawet hipotezę, że powierzchnia Wenus jest na tyle miękka, iż wchłonęła aparaturę... W końcu wyjaśniło się: to „pomylił się" wysokościomierz. Do powierzchni pozostawało jeszcze 24 km.

Przed konstruktorami stanęło nowe zadanie: zbudować aparat, który wytrzyma ciśnienie 25 atm. Termin wykonania — półtora roku.

*„Trzeba zobaczyć tamten świat!"* — mówił M. W. Kiełdysz. — *„Tam nic nie ma"* — odpowiadano. — *„To wynika z uzyskanych meldunków"*. Lecz Kiełdysz był uparty. W 1970 r. radziecka sonda osiadła na powierzchni planety, choć aparat „żył" zaledwie 20 minut.

Jak to się odbywa? Sonda z ogromną szybkością wpada w atmosferę planety. Przeciążenie dochodzi do 150 jednostek, temperatura otaczająca planetę — 10.000 stopni. Niczym ognisty meteor mknie przez atmosferę chroniona ognioodpornym pancerzem. Ale pomału szybkość się wytraca, rozpoczyna się hamowanie, odpada górna część pancerza, otwiera się spadochron... Wszystko to odbywa się na wysokości 65 kilometrów od powierzchni.

G. N. Babakin mówi: *„Automaty potrafią wykonać w kosmosie każdą pracę. Warunki panujące na Wenus przypominają krater czynnego wulkanu. Trudno sobie nawet wyobrazić, aby mógł tam zejść człowiek, natomiast aparaty mogą uczynić to już teraz".*

„Wenus 13" i „Wenus 14" w takich warunkach pracowały na planecie około trzech godzin. Otrzymano panoramę planety, w tym kilka zdjęć w kolorze. Dokonano analizy gruntu, który — jak twierdzą uczeni — nie różni się niczym od ziemskiego. Po raz pierwszy ujrzano planetę w kolorach: przez zalegające niebo chmury nigdy tam nie dociera słońce, niebo nie jest błękitne, lecz pomarańczowe. Na planecie przeważają ciemnożółte i bure kolory. Dostrzeżono, że horyzont nagle się urywa i to zupełnie blisko, kilkaset metrów od kamery. To oznacza, że gdybyśmy się znaleźli na Wenus, mielibyśmy wrażenie, że stoimy na kuli.. Pejzaż w sumie jest posępny i jednostajny: kamienna pustynia.

Ciekawe wyniki uzyskano z badań nad gruntem. Analogiczne skały w warunkach ziemskich spotyka się dość rzadko, chyba, że udałoby się przebić do jądra Ziemi...

Dlaczego zajęto się właśnie Wenus? Dlatego, iż ze wszystkich planet jest nam najbliższa, a także i dlatego iż pozwala nam na rzucenie spojrzenia na przeszłość naszej Ziemi, choć nie wykluczone, że przez to samo potrafimy przewidzieć także jej przyszłość. Według niektórych uczonych, podobne warunki do tych na Wenus, mogą zaistnieć i na Ziemi, jeśli zanieczyszczenie atmosfery i wód będzie się dokonywało w tym samym co teraz tempie...

**Oprac. E. IW.**

## POTRZEBNE BYŁY TRZY GODZINY

W czasie gdy ten numer „Odgłosów" znajdzie się w kioskach, brytyjska armada dotrze już do wysp falklandzkich, konflikt wejdzie więc w nową fazę i trudno wykluczyć, że nie przekształci się w zbrojne starcie. W bieżących doniesieniach z natury rzeczy będzie nas jednak wyprzedzać prasa codzienna, a zwłaszcza radio i telewizja, czytelników zainteresuje natomiast zapewne opis lądowania wojsk argentyńskich na Falklandach, który zaczerpnęliśmy z angielskiego pisma SUNDAY TIMES.

*„Pierwszymi ludźmi, którzy dowiedzieli się, że Falklandy znalazły się w stanie wojny, było 8 brytyjskich żołnierzy piechoty morskiej, którzy spędzili czwartek 1 kwietnia w nocy na patrolowaniu latarni morskiej na przylądku Pembroks. Jest to skalisty kawałek gruntu, z którego widać drogę morską na południowym Atlantyku.*

*(...) Na godzinę przed wschodem słońca w piątek rano (godzina 10 czasu bryjskiego) kilku nurków z argentyńskiej piechoty morskiej podpłynęło w gumowych łodziach i prawdopodobnie wysiadło z nich na piaszczystych mieliznach otaczających przylądek Pembroks. Ich zadaniem było wzięcie latarni morskiej, zanim Brytyjczycy podnieśliby alarm. O ile nam wiadomo Argentyńczykom udało się zdobyć latarnię bez jednego wystrzału.*

*Po zdobyciu latarni Argentyńczycy napotkali pewne trudności, chociaż niezbyt wielkie. Absurdalnie mała liczba 79 żołnierzy brytyjskiej piechoty morskiej mogła w istocie tylko pozorować obronę czterech kluczowych punktów: samej latarni, lotniska w Stanley, kwatery głównej marynarki w Moody Brook i budynku rządowego.*

*(...) Gdy latarnia morska została wzięta, około 300 żołnierzy piechoty morskiej zeszło z okrętu Cabo San Antonio, przedostało się na ląd i pomaszerowało do Port Stanley idąc 7 mil wybrzeżem. Jednocześnie około 400 innych „marines" poparło inwazję z morza. Aby zaś być całkowicie pewnym zwycięstwa przywieziono helikopterami broń z lotniskowca Veinticino de Mayo.*

*Przed rozpoczęciem ataku na Port Stanley, siły lądowe zajęły najpierw lotnisko Stanley, które w istocie jest jedynie liczącym 4 tys. stóp długości pasem startowym i budynkiem z prefabrykatów, w którym odbywają się formalności celne.*

*(...) Kwatera główna marynarki w Moody Brook padła bez większych wysiłków ze strony Argentyńczyków. Jednostka wojskowa, która zajęła Port Stanley z morza, zdobyła tę kwaterę. (..) Jedynym punktem w Port Stanley, w którym Argentyńczycy spotkali się z rzeczywistym oporem, był budynek radiostacji. Jeden z radioamatorów informował, że najeźdzcy użyli moździerzy i granatów do zaatakowania radiostacji przy John Street. Doszło także do ostrej walki przy zdobywaniu urzędu telekomunikacyjnego, który gwarantuje Falklandom główne połączenia ze światem zewnętrznym.*

*Również jeżeli chodzi o budynek rządowy Argentyńczycy spotkali się z twardym oporem, z którego zrezygnowano dopiero na rozkaz gubernatora. Budynek rządowy stoi na otwartej przestrzeni nieco poza centrum Port Stanley, na drodze wiodącej do Moody Brook. Jest to biały budynek z widokiem na morze. Obok budynku stoją dwa działa, będące jedynie elementem dekoracyjnym, oraz maszt z flagą brytyjską Union Jack.*

*Według doniesień i informacji potrzeba było jedynie trzech godzin, by Argentyńczycy mogli zdjąć brytyjską flagę...*

## UROKI ZIOŁOLECZNICTWA

Na zakończenie garść ciekawostek zaczerpniętych „po sąsiedzku" z żywo redagowanego tygodnika „Życie Pabianic", który na swoim macierzystym terenie cieszy się niezachwianą popularnością. W artykule „Zioła stare jak świat" Danuta Tarczyńska-Szymańska pisze:

*„Nowe tendencje w ziołolecznictwie zalecają, aby większość ziół przyjmować właśnie w stanie surowym (przez parzenie i gotowanie zioła tracą wiele ze swoich bezcennych walorów leczniczych) rozdrabniając je na proszek np. w małym młynku elektrycznym. W takiej sproszkowanej postaci spożywamy zioła w małej ilości (mniej niż pół łyżeczki proszku dwa razy dziennie), popijając najpierw zimnym płynem, a potem zupą, mlekiem czy herbatą.*

*(...) Doskonałe do spożywania w postaci sproszkowanej jest siemię lniane wymieszane z cukrem (3 łyżki siemienia plus 1 łyżeczka cukru), które smakuje jak sezamki, a ma działanie wzmacniające i podawane dzieciom codziennie po łyżeczce z powodzeniem zastąpi tran. Świetnym środkiem odżywczym jest pokrzywa, spożywana dwa razy dziennie po łyżeczce: pobudza działanie wątroby, trzustki, żołądka, zwiększa ilość czerwonych ciałek krwi.*

*(...) Wzmacniająco działa ziele rzepiku, krwawnika, świetlika, bylicy pospolitej, macierzanki, bratka polnego, szyszki chmielu, owoc dzikiej róży, a także liść czarnej porzeczki — wystarczy zażywać je sproszkowane raz na dzień (po pół łyżeczki)".*

Wiedząc już jak się wzmocnić — artykuł jest rzeczywiście interesujący, a zażywanie ziół w stanie sproszkowanym czymś nowym — mamy jednak pytanie do kolegów z Pabianic. Zimny płyn do zapijania znajdziemy ewentualnie w kranie, ale gdzie mianowicie nabyć polecaną potem herbatę?

**(lp)**

# Do Redakcji

*Pan Lucjusz Włodkowski*
*Redaktor Naczelny*
*tygodnika „Odgłosy"*

*Szanowny Panie Redaktorze,*

*W Pańskim artykule wstępnym pt. „Znowu w kioskach", zamieszczonym w numerze 1 (1254) „Odgłosów", znalazł się passus o nowej szacie graficznej pisma, opracowanej przez zespół prowadzonej przeze mnie pracowni projektowania typografii PWSSP w Łodzi.*

*Powyższe stwierdzenie sugerujące bezpośredni udział mój i moich współpracowników w powstaniu projektu rozmija się z rzeczywistością.*

*Przyjęta i zrealizowana wersja jest rozwinięciem projektu wykonanego przez mego absolwenta. Zatem jego nazwisko powinno być wymienione.*

*Moja rola ograniczała się do wyposażenia absolwenta w zespół umiejętności pozwalających mu samodzielnie projektować. I tylko w takim zakresie mogę przyjąć na siebie odpowiedzialność.*

*Będę wdzięczny Panu za opublikowanie powyższego listu na łamach Pańskiego tygodnika.*

*Łączę wyrazy szacunku*
*Krzysztof Lenk, docent*
*Wydział Grafiki PWSSP*
*w Łodzi*

*Łódź, 14 kwietnia 1982 r.*

Od REDAKCJI: Przepraszając docenta Lenka za istotnie niezbyt precyzyjne sformułowanie wyjaśniamy, że autorem projektu jest absolwent PWSSP Zbigniew Koszałkowski, zaś do potrzeb „Odgłosów" przystosował projekt nasz redakcyjny grafik Janusz Szymański-Glanc.

# Maj – 82

Jaki jest, jaki będzie nasz maj 1982 roku? Wiosna, choć spóźniona w tym roku, przyjdzie niewątpliwie i maj wybuchnie świeżą zielenią. Zakwitną jabłonie, wiśnie, grusze, i cała reszta. Na polach brunatna ziemia skryje się pod zielenią zbóż. To wszystko wiemy. Pytam natomiast o polityczny sens maja 1982 roku.

Maj zaczyna się świętem. Jest to święto ludzi pracy. Nie wszyscy pamiętają, albo nie chcą pamiętać, że święto to narodziło się z robotniczej walki. Przeszło sto lat temu. Uchwałą II Międzynarodówki zdecydowano w 1889 roku, że począwszy od 1890 roku dzień 1 maja obchodzić się będzie w formie wieców, pochodów i masowych demonstracji na pamiątkę strajków robotników amerykańskich w Chicago w 1886 roku. Jest to więc święto zrodzone z walki i świętem walki o prawa społeczne i polityczne ludzi pracy jest po dzień dzisiejszy w wielu krajach świata. W krajach socjalistycznych stało się ono świętem państwowym i nabrało charakteru demonstracji radości z dorobku, jaki codziennie w tych krajach tworzą ludzie pracy. Tego dnia na ogół nie mówi się o kłopotach i trudnościach.

Nasz maj jest inny. Obchodzić go będziemy w stanie wojennym. Obchodzić go będziemy z całą świadomością naszych kryzysowych uwarunkowań. Nie może to być jednak święto naszych niepowodzeń. Powinno to być święto naszych nadziei. A przede wszystkim święto pracy.

Jak to rozumiem? Otóż, jakbyśmy na nasz kraj, na jego przeszłość nie patrzyli, to nie składa się ona tylko i wyłącznie z niepowodzeń. Zbudowaliśmy przecież wcale niemały przemysł, dysponujący znacznym potencjałem wytwórczym, stworzyliśmy system kształcenia, który dał rzesze specjalistów różnych dziedzin, wysoko cenionych również poza granicami naszego kraju. Posiadamy bogate złoża surowców. Jesteśmy włączeni do systemu międzynarodowego podziału pracy. Trzeba te wszystkie dane umieć dobrze wykorzystać. Do tej pory tego nie potrafiliśmy. Wikłaliśmy się w zależności od obcego kapitału, przejadaliśmy pożyczki, odkładaliśmy na półki drogo kupione licencje, uzależniališmy naszą gospodarkę od zagranicznych kooperantów. To wszystko trzeba dziś przebudować, naprawić błędy i temu ma służyć między innymi reforma gospodarcza.

Ale nawet najlepsza reforma sama się nie spełni. Potrzebni są do tego ludzie, którzy będą gotowi pokonać piętrzące się i ciągle narastające bariery i przeszkody, którzy mając świadomość, że nie wszyscy są zwolennikami remorm, przygotowani będą również i na działania reformom przeciwne. Potrzebni są ludzie, którzy będą codziennie sumiennie, rzetelnie i dokładnie wypełniali swoje obowiązki, rozumiejąc, że to jest najważniejsza podstawa naszego gospodarczego, społecznego i politycznego odrodzenia.

Nasz maj nie będzie łatwym świętem. Nie będzie powodem do radości z osiągnięć, jak to przed laty bywało. Ale też nie może być świętem niepowodzeń. Obchodzimy go w stulecie polskiego ruchu robotniczego. Od najdawniejszych lat był to dzień, w którym robotnicy formułowali hasła swojej walki, dokonywali oceny tego, co osiągnęli i określali zadania na przyszłość. Powinniśmy sięgnąć do tej tradycji. Niech to będzie dzień, w którym zastanowimy się nad tym, co trzeba zrobić — wspólnym wysiłkiem, razem. Spróbujmy pomyśleć nad tym, czy coś kiedykolwiek zrobiło się samo i czy my możemy zrzec się odpowiedzialności za przyszłość naszego kraju.

A kraj nasz jest w sytuacji głębokiego kryzysu. Jest to kryzys nietypowy. Na ogół kryzysy charakteryzują się tym, że wytwarza się nadmiar towarów i brak jest możliwości ich zbywania. U nas jest odwrotnie. U nas brakuje towarów, mimo, że posiadamy znacznie unowocześniony przemysł, nowoczesne technologie, a więc potencjalne możliwości wytwarzania na miarę naszych potrzeb wewnętrznych i z ambicją wchodzenia na rynki zagraniczne, co wszak jest niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania gospodarki. Brakuje tylko motywacji do rzetelnej, wydajnej pracy. I właśnie nad tym, jak te motywacje znaleźć, jak je pobudzić, jak przebudować system zarządzania i funkcjonowania gospodarki stale myślimy i debatujemy. Obok tego myślenia i debatowania potrzebna jest praktyka, działalność, sprawdzian, jak te założenia realizuje się w trakcie codziennej, żmudnej przecież, ale i niezbędnej pracy.

Wychodzenie z kryzysu jest procesem, bolesną operacją. Trzeba z całą otwartością powiedzieć sobie i innym, że musi to trwać wiele lat. Najtrudniejszy okres wychodzenia z kryzysu przeżywamy obecnie, kiedy robi się wiele niełatwych i skomplikowanych operacji, mających stworzyć warunki dla pełniejszego realizowania założeń reformy gospodarczej. Na VIII plenarnym posiedzeniu KC PZPR dokonano nie tylko analizy pozytywnych i negatywnych zjawisk występujących w naszej gospodarce, ale wykazano, że „rysują się realne szanse wyjścia z kryzysu". Warunkiem, aby te szanse stały się rzeczywistością jest konsekwentne realizowanie uchwał IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i późniejszych postanowień Komitetu Centralnego partii.

Rok 1982 jest rokiem porządkowania wielu spraw. Dokonano bolesnej, ale niezbędnej operacji z cenami. Trzeba dokonać następnej z płacami, aby stały się one motywem do pracy, do podnoszenia jej wydajności, aby płaca zależała od pracy, a nie tylko wynikała z umowy zawartej między pracodawcą i pracownikiem. Odpowiedzieć trzeba sobie na wiele różnych pytań, między innymi o kształt ruchu związkowego w Polsce. Nie jest to pytanie bagatelne. Skonsolidować się i okrzepnąć musi partia. Dokonać się musi porozumienie między tymi wszystkimi siłami, którym droga jest przyszłość socjalistycznej Polski. Pokonać trzeba przeciwników politycznych i ideowych.

Następne lata — dwa, trzy — będą walką o pełną stabilizację w polityce i gospodarce, o pełną realizację reformy gospodarczej, o porządkowanie spraw nadbudowy, a w tym i kultury, która najboleśniej odczuwa kryzys. I dopiero po osiągnięciu tych wszystkich celów może nastąpić okres stopniowego poprawiania warunków życia. Ale jakie byśmy cele nie formułowali, jakie terminy nie określali, jak nie precyzowali założenia, które powinny warunkować różne procesy polityczne, społeczne i gospodarcze, to niczego nie osiągniemy bez pracy, bez naszego wysiłku, bez porozumienia się co do rozmiarów i zgodności działania w tym wysiłku, w naszej wspólnej pracy, działaniu. Trzeba sobie uświadomić, w jak krytycznym, trudnym położeniu znajduje się nasza gospodarka, aby zrozumieć, jak bardzo potrzebne jest porozumienie się, co do wspólnego działania przy wychodzeniu i wyprowadzaniu jej z kryzysu. Dotyczy to również, a może i przede wszystkim Łodzi, gdyż stan gospodarki miasta i województwa jest bardzo poważny.

W maju obchodzimy dwa święta: 1 Maja i 3 Maja. Niegdyś święta te przeciwstawiano sobie. Wyrastają one z różnych tradycji i nie są sobie przeciwstawne. Kto tego nie rozumie, kto dla swoich celów politycznych próbuje te święta stawiać przeciw sobie, działa dla utrwalania istniejących podziałów i pogłębienia ich. Działa przeciw porozumieniu, przeciw jednoczeniu wysiłków dla pracy na rzecz dobra nas wszystkich. Nie takie cele powinniśmy dziś sobie stawiać.

**LUCJUSZ WŁODKOWSKI**

Redaguje zespół: **Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki,** (z-ca sekretarza redakcji), **Teresa Jerzykowska, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Jerzy Panasewicz** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glanc** (grafik), **Grażyna Szypowska** (redaktor techniczny), **Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska, Mirosław Zajdler** (fotoreporter).

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy" al. A. Mickiewicza 11, kod 90-438 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysci 677-70. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo doskrótów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej 1040 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-958 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP: XV oddział w Warszawie nr 1153 201045 139 Prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch" Łódzkie Wydawnictwo Prasowe. Adres: ul. Piotrkowska 96 kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28. Nr indeksu 36762. Zam. 401. F-3

*Dokończenie ze strony 1*

za szpicla. Wybucha śpiew Międzynarodówki przerywany od czasu do czasu głośnymi okrzykami. „Precz" i „Niech żyje" — krzyżują się w powietrzu jak wyostrzone szpady. Droga od Wodnego Rynku do ul. Piotrkowskiej trwa tak niesamowicie krótko, że Kamil się zdziwił kiedy zobaczył, że koniec pochodu tramwajarzy skręca już w ul. Piotrkowską.

W ul. Anny skonsygnowana została policja piesza i konna. Przed pochodem zamajaczyły granatowe mundury i konie gotowe do skoku. Czoło pochodu wstrzymało marsz w oczekiwaniu ataku, dalsze szeregi parły jednak naprzód, tak że z czoła pochodu wytworzyła się skłębiona masa, która teraz już zdecydowanie ruszyła naprzód. W tym momencie końskie kopyta zadudniły po bruku. Jak lawina runęły konie w tłum. (...)

Nietrudno sobie wyobrazić, co działo się w momencie wdarcia się konnicy w szeregi demonstrujących, tym bardziej, że trotuary były również zabite ludźmi. Piersi końskie przewracały ludzi, kopyta tratowały rumowisko leżących ciał. Tych, których nie dosięgły końskie kopyta, dosięgła z góry szabla granatowego munduru. Z kolei po obu stronach trotuaru wdarła się policja piesza z karabinami uzbrojonymi w bagnety. Głuche dudnienie uderzających kolb o głowy, piersi i plecy, świadczyło, że bynajmniej nie próżnują.

Kamil stanął w miejscu jak skamieniały tam, gdzie go zastał odgłos kopyt końskich. Ucieczka towarzyszy, coraz bliższy grzechot końskich podków o kamienny bruk zdawało się nie dochodzić jak gdyby do jego świadomości. Stał i patrzył bez drgnienia powiek na zbliżający się w galopie szwadron konnicy. Ten i ów z uciekających, popchnął go, potrącił i pobiegł dalej. W pewnym momencie ocierając się o niego przemknął koń w galopie. Świsnęła w powietrzu szabla, Kamil nie schylił się nawet i nie usunął, ale szabla uplasowała się na plecach najbliższego

# Pochód 1-majowy 1923

sąsiada. Potem brzuchy końskie migały jeden po drugim, jak na ekranie. Kamil patrzył na to obojętnie jak gdyby to był istotnie ekran a nie rzeczywistość. Dopiero jak to wszystko przewaliło się całkowicie, jak ucichł świst szabel spostrzegł, że szczęśliwym trafem stoi na samym brzegu ulicy, a konnica waliła jej środkiem. Niemal jednocześnie zaczął się rwetes na trotuarze — tam już buszowała piechota z kolbami i bagnetami, następowała więc ucieczka z trotuaru na ulicę, z kolei popychany i potrącany w odwrotnym kierunku znalazł się znów na środku jezdni. Tym sposobem uniknął ciosów z jednej i z drugiej strony.

Oprzytomniał już całkowicie i mrucząc ze złością „Masz więcej szczęścia niż rozumu" — usiłował skierować się na ulicę Piotrkowską. Poczuł szarpnięcie za klapę, spojrzał w tym kierunku i zobaczył tajniaka, który prowadził chorążego jedną ręką, drugą trzymając Kamila za klapę. Szczęście, widocznie znudzone ślamazarnością swojego protegowanego, opuściło go i Kamil wlazł po prostu w łapy tajnego agenta. Tajniak ruszył z nimi w stronę ulicy Anny. O ucieczce już mowy być nie mogło, bo droga została obstawiona z obu stron przez ustawionych szeregowo policjantów. Po drodze tajniak podniósł jeszcze leżący *na ulicy sztandar*, który jakimś cudownym sposobem zawędrował co najmniej kilkanaście metrów od miejsca gdzie go pozostawił chorąży. Nie wiadomo czy widok sztandaru, czy też obecność tajniaka, czy też to, że były to pierwsze ofiary aresztowań spowodowało, że bezpiecznie i bez uderzeń Kamil i chorąży dotarli do bramy domu przeznaczonego na zbiórkę aresztowanych.

Pewne jest natomiast, że od tej chwili zaczął się tak zwany spęd. Policjanci operujący na ulicy Głównej w drodze powrotnej zaczęli uderzeniami kolb sprowadzać jednego po drugim aresztowanych. Nie prowadzili ich, a pędzili. Doprowadzali do ul. Piotrkowskiej i oddawali stojącemu dwuszeregowi, który w międzyczasie zwęził się do jednego metra odstępu i tu już jedna kolba po drugiej pędziła naprzód aż do miejsca zbiórki. Nie były to już uderzenia zdawkowe, popędzające. Uderzony chwiał się pod ciosami od jednego szeregu do drugiego, padał, podnosił się, biegł i padał z powrotem. Oczywiście, przy tego rodzaju spędzie nie mogło być mowy o jakichkolwiek aresztowaniach właściwych uczestników pochodu. Spędzano tych, którzy nawinęli się pod rękę i kolby. Tych, których nos czy twarz nie podobała się granatowemu policjantowi. Tych, którzy w jakiejkolwiek formie, czy to słowem czy spojrzeniem, wyrażali protest lub chociażby tylko zdziwienie, że otrzymali kolbą w plecy, a najczęściej tego rodzaju zdziwienie i oburzenie wyrażali bierni obserwatorzy z trotuaru, ci, którzy w pochodzie bynajmniej żadnego udziału nie brali. A ponieważ wszystko to pomieszało się beznadziejnie, aresztowania były czysto przypadkowe.

Kamil zaobserwował parę, najprawdopodobniej narzeczonych, którzy kurczowo trzymając się pod rękę, biegli między dwuszeregami policji. Kolby za wszelką cenę chciały rozdzielić miłosną parę. Uderzenia z jakąś dziką zaciętością były kierowane właśnie przeciwko tym rękom, trzymającym się siebie kurczowo. Niejednokrotnie silniejsze uderzenie w plecy, zwalało jego czy ją na kolana, wtedy drugi osobnik starał się podnieść swego partnera otrzymywał uderzenia z drugiej strony i padali oboje. Dalsze ciosy podrywały ich wspólnie, zrywali się jednak ciągle trzymając się pod rękę i biegli z krzykiem dalej. Przy zakończeniu tego maratońskiego biegu zdziczenie policji doszło do zenitu. Uderzenia kolb zaczęto kierować wprost w głowy. Kiedy minąwszy w biegu Kamila i chorążego wpadli na plac aresztowań strugi krwi z czoła, nosa i policzków pokrywały całą twarz. Ten sadystyczny stosunek policjantów do tej pary, Kamil zrozumiał później, kiedy na rozkaz policji obmyli krew i rany: była to para żydowskich młodych ludzi.

Drugi fakt, który utkwił Kamilowi w pamięci, to stary, również żydowskiego pochodzenia, robotnik, z przewieszoną przez ramię skrzynką z narzędziami do lutowania. Uderzenia rozsypywały mu narzędzia w biegu, gubił je, wracał z powrotem pod kolby, podnosił i biegł dalej. Z tego powodu otrzymał co najmniej dwa—trzy razy więcej uderzeń. Zgubionego już w bramie młotka nie miał odwagi podnieść. Podniósł go za niego tajny policjant, ale miast mu go zwrócić, użył go jako narzędzia do bicia w głowy tych wszystkich, którzy pędzeni wpadali do bramy. Zaoszczędził tym sposobem kolbę swojego rewolweru, której używał poprzednio.

Plac zaludniał się szybko. Co chwila wpadał ktoś z krzykiem i uderzony karabinem na odlew przewracał się na środku podwórka. Równocześnie ze zwykłym spędem na ul. Głównej przeprowadzona była druga operacja, cicha, niewidoczna dla ogółu obserwatorów. W tej drugiej operacji główną rolę odgrywali defenzywiacy. Oni to, rozstawieni na trasie pochodu, obserwowali poszczególnych uczestników demonstracji i bardziej aktywnych podczas rozpraszania wyłapywali, sprowadzali na plac, notowali nazwiska jako własne trofea i wybiegali po następnych.

Wreszcie na placu nastąpiła segregacja — Żydzi na prawo, Polacy rdzennego pochodzenia na lewo. Podjechała karetka aresztancka zabrała rdzennych „Polaków", odwiozła cichutko do defenzywy, a „Żydów" uformowano w pochód i popędzono przez miasto pod silną eskortą policji. Chodziło, rzecz prosta, o wywołanie wrażenia, że w pochodzie brali udział tylko Żydzi.

**WACŁAW FRANKOWSKI** ■

# Konstytucja 3-Maja

**KAROL JÓZEF STRYJSKI**

**Pisanie artykułów rocznicowych naraża ich autorów na dwojakiego rodzaju niebezpieczeństwo. Pierwsze — to, że oprócz odnotowania historycznego faktu, nie wniosą nic poza tym, co już przedtem napisali inni. Drugie, że nie uwolnią się od przygniatającej i usztywniającej każdą wypowiedź rocznicową „etykiety tradycji" (tradycji mówienia lub pisania dobrze, „na tak", lub wypowiedzi krytycznej, „na nie" o danym fakcie historycznym). Zapewne i mnie nie uda się uciec od wszystkich tego rodzaju obciążeń i uwarunkowań. Chociaż zamiarem moim jest nieco inne spojrzenie na kolejną, sto dziewięćdziesiątą pierwszą rocznicę Konstytucji 3 Maja.**

Na wstępie moich rozważań chciałbym przedłożyć propozycję, aby pisząc o Konstytucji 3 Maja traktować ją jako jeden z trzech elementów pakietu reform majowych, do którego dołączyć jeszcze należy: prawo o miastach (18 IV 1791) oraz reorganizację armii. Uchwały te i reformy miały wspólny cel — uniezależnienie Polski od państw rozbiorczych, a tym samym odzyskanie pełnej suwerenności oraz przebudowę gospodarczą i polityczną kraju.

Reformy majowe z 1791 roku mogły przy bardziej sprzyjających warunkach wewnętrznych, a przede wszystkim międzynarodowych, stać się ukoronowaniem zapoczątkowanego jeszcze w połowie XVIII wieku procesu naprawy Rzeczypospolitej. Mogły być sposobem na wyprowadzanie Polski z głębokiego upadku gospodarczego i politycznego, a tym samym mogły przyczynić się do poprawy jej mocno zachwianej pozycji międzynarodowej. Postępowe i patriotyczne siły narodu podjęły dzieło reformy w sytuacji szczególnie trudnej, skomplikowanej. Dążenia reformatorskie ujawniły się ze szczególną siłą w okresie walki o przebudowę państwa na Sejmie Wielkim, zawiązanym pod węzłem konfederacji Korony i Litwy (1788—1792).

Reformy majowe z 1791 roku choć były dziełem postępowej szlachty miały w dużej mierze charakter rewolucyjny, jak na owe czasy. To stanowiło bodaj największe zagrożenie dla mocarstw ościennych. Usuwały bowiem nie tylko przeżytki feudalizmu w Polsce, ale otwierały jej drogę do przemian o charakterze kapitalistycznym. Zapowiadały ponadto reorganizację państwa i władzy. Był to niewątpliwy postęp w polskiej myśli społecznej i jak oceniali twórcy naukowego socjalizmu: ratująca się przed upadkiem Rzeczypospolita szlachecka stała się obiektywnym sprzymierzeńcem Rewolucji Francuskiej.

W przemówieniu wygłoszonym 22 lutego 1848 roku w Brukseli Karol Marks powiedział:

„W 1793 roku, kiedy Rosja, Austria i Prusy dokonały rozbioru Polski, te trzy mocarstwa wskazywały jako przyczynę Konstytucję 1791 roku, którą zgodnie potępiły z racji jej rzekomo jakobińskich zasad. Cóż głosiła Konstytucja polska 1791 roku? Nic innego jak monarchię konstytucyjną: władza ustawodawcza w ręku przedstawicieli narodu, wolność prasy, wolność sumienia, jawność przewodu sądowego, zniesienie poddaństwa itp. I to wszystko nazywano wtedy najczystszej wody jakobinizmem!".

Uchwalenie Konstytucji 3 Maja stanowiło „pierwszą próbę reformy, świadczącą, że niepodległości nie da się oddzielić od obalenia arystokracji i reform agrarnych wewnątrz kraju" (Marks i Engels).

Reformy majowe spotkały się z natychmiastową i ostrą reakcją magnackiej konserwy pozostającej na usługach Katarzyny II. Zdrajcy ci zawiązali w Petersburgu tzw. Konfederację Targowicką, której celem było zniesienie Konstytucji 3 Maja, powrót do dawnego ustroju pod gwarancją Rosji.

Wojna w obronie Konstytucji, walka o reformy i działania na rzecz ratowania suwerenności Rzeczypospolitej, skończyły się klęską. Ostatnim aktem walki o niepodległość i demokratyzację ustroju Polski przedrozbiorowej było „powstanie obywateli" pod przywództwem T. Kościuszki. Było to pierwsze z serii narodowych, tragicznych i przegranych powstań. Stąd też dla wielu współcześnie żyjących Polaków reformy majowe z 1791 roku pozostawały w świadomości jako symbol klęski, pierwszej, wielkiej narodowej tragedii. Kiedy wielu demokratycznie nastawionym patriotom wydawało się, że uda się Rzeczypospolitą ocalić przed upadkiem pakietem reform, okazało się, że właśnie one stały się przyczynkiem, pretekstem do podjęcia działań przez wrogów dla gwałtownego przyspieszenia jej agonii.

Wkrótce jednak dla Polaków we wszystkich trzech zaborach, stała się Konstytucja 3 Maja i walka podjęta w obronie jej zasad przykładem narodowej, patriotycznej cnoty, symbolem postępu. Pamięć o Sejmie Wielkim i Konstytucji, przekazywano i pielęgnowano przez pokolenia. Na tym historycznym przekazie budowano i umacniano świadomość narodową, poczucie godności, zaszczepiano idee postępu i sprawiedliwości społecznej.

W działaniu na rzecz edukacji narodowej zniewolonych Polaków, spełniła Konstytucja 3 Maja znamienną rolę. Była przy tym przez cały okres zaborów jednym z nielicznych przykładów postępowej, rodzimej myśli demokratycznej, nowoczesnego parlamentaryzmu a nie tylko sejmikowania. Był to więc przykład i symbol nader pojemny w cnoty patriotyczne i obywatelskie.

Nie dziwi więc to, że sięgano po symbol ten w naszych dziejach wielokrotnie nierzadko w trudnych a nawet tragicznych chwilach. Z przykładów stosunkowo najnowszych warto przypomnieć, iż do tradycji patriotycznej Konstytucji, odwołał się w przemówieniu wygłoszonym u „Cegielskiego" w czerwcu 1957 roku W. Gomułka, mówiąc m. in.:

„Był czas, kiedy władza państwowa w ościennych krajach rosła w siłę (...) a u nas święciła triumfy rozkładowa zasada, że «Polska nierządem stoi». Na tym bagnie wyrosła Targowica i upadek Polski. Nie potrafili już ocalić Polski od zagłady patriotyczne, myślące kategoriami państwa i narodu polskiego siły, których dziełem była Konstytucja 3 Maja".

W dziewięćdziesiątą rocznicę proklamowania Konstytucji 3 Maja do jej ideałów i zasad odwołano się w odezwie socjalistycznej pt. „Głos socjalistów polskich":

„Polska święci dziś rocznicę sławnej Konstytucji 3 Maja. Sławnej dlatego, że w niej to szlachta porwana prądem wielkiej Rewolucji Francuskiej, dobrowolnie zrzekła się części swoich przywilejów, poznawszy, że przywileje te są powodem nieszczęść ojczyzny".

Trzeba przyznać, że ruch socjalistyczny często i głęboko sięgał do tradycji reform majowych. Niejednokrotnie się do nich odwoływał, podkreślając jak ważną spełniały rolę w kształtowaniu postępowej myśli społecznej i patriotycznej narodu polskiego.

Nieco mniej przykładów odwoływania się do tradycji Konstytucji z 1791 roku znajdujemy w dokumentach programowych polskich partii robotniczych z nurtu marksistowskiego. Chociaż nie można powiedzieć, iż do reform majowych nie odwoływano się w ogóle. Stosunek KPP do tego symbolu zmienił się szczególnie w okresie próby budowania w Polsce tzw. frontu ludowego, w latach walki o ratowanie zagrożonej niepodległości.

W artykule pt. „Gdzie są wrogowie naszej niepodległości", zamieszczonym w jednodniówce KPP z września 1936 roku, znajdujemy stosunkowo szeroką analizę sytuacji ekonomicznej i politycznej w Polsce okresu rozbiorowego. Konkludując próby ratowania niepodległości i przeprowadzenia reform ustrojowych pisano: „(...) Odtąd już sprawa niepodległości Polski nierozłącznie wiązać się będzie ze sprawą demokracji".

W okresie międzywojennym nie tylko siły i partie postępowe odwoływały się do tak ważnego symbolu narodowego za jaki powszechnie uznawana była Konstytucja 3 Maja. Do tradycji reform majowych, jak do niewyczerpanego źródła patriotyzmu odwoływały się jednocześnie siły, ruchy i partie nastawione do siebie antagonistycznie, głoszące różne, odmienne a nawet wrogie sobie ideologie, opowiadające się za przeciwstawnymi koncepcjami politycznymi. Z jednej strony, jak to wyżej wspomniano do symbolu tego odwoływali się komuniści, a wcześniej jeszcze socjaliści, ale również i BBWR oraz narodowa-demokracja i chadecja.

W dniach kolejnych rocznic majowej konstytucji, organizowano manifestacje i capstrzyki. Do jednych z okazalszych tego typu imprez należała wielka defilada Legionu Młodych w Poznaniu zorganizowana 3 maja 1934 roku (Legion Młodych — Akademicki Związek Pracy dla Państwa o obliczu antyprawicowym i antyklerykalnym, pozostający do 1935 roku pod politycznym kierownictwem sanacji). Również w wielu broszurach Obozu Wielkiej Polski, szczególnie tych adresowanych do Ruchu Młodych, znajdujemy przykłady odwoływania się do części tradycji reform majowych, szczególnie zaś tych, które miały zabezpieczyć siłę państwa i jego autorytet międzynarodowy. Próbowano więc endecki nacjonalizm oprzeć z jednej strony o miecz Chrobrego, a z drugiej zaś o patriotyzm prekursorów polskiego parlamentaryzmu nie wychodząc jednak poza limitowany tamtą epoką katalog postulatów.

Nie ustrzegła się więc Konstytucja 3 Maja losu innych narodowych symboli, które w przeszłości służyły nie tylko sprawie narodowej, ale również nierzadko były jednym z instrumentów gry politycznej rozmaitych sił. Interesy ich były czasami dalekie od zweryfikowanych i uznanych przez historię jako zgodne z polską racją stanu i dobrem Polaków.

W okresie powojennym nie od razu przyznano temu uniwersalnemu symbolowi patriotycznemu należnego miejsca w hierarchii symboli narodowych, w oparciu o które kształtowano świadomość historyczną i polityczną młodych pokoleń Polaków. Był czas, kiedy programy nauczania ledwo „zahaczały" o reformy majowe. Podobnie długo nie eksponowano w kalendarzu oficjalnych obchodów rocznicowych powstań śląskich. Był także czas szczególnej i jak się potem okazało niezbyt obiektywnej interpretacji dziejów schyłku I Rzeczypospolitej. Wtedy to trudno było wielu ludziom odpowiedzialnym za sprawy wychowania zrozumieć, że historia dla Polaków nie zaczęła się od 1944 roku, że z tradycji narodowej, nawet szlacheckiej, ale przecież postępowej, na tamte czasy nawet rewolucyjnej, można i należy mądrze zawsze korzystać. Każdorazowo, uzasadnione sięganie do źródeł, umacnia bowiem poczucie tożsamości narodowej, ugruntowuje świadomość historyczną i ułatwia zrozumienie współczesności.

Wydarzeniem mającym charakter pewnego przełomu w stosunku władz do historycznego znaczenia Konstytucji 3 Maja było dość silne zaakcentowanie tego symbolu w materiałach millenijnych. W przemówieniu na manifestacji w Poznaniu, wygłoszonym 17 kwietnia 1966 roku przez ówczesnego I sekretarza KC PZPR, czytamy m. in.:

„(...) Konstytucja majowa i reformy Sejmu Czteroletniego, łamiąc rządy magnackie w Rzeczypospolitej, otwierając drogę dalszym przeobrażeniom społecznym i politycznym, posiadały ogromną doniosłość".

I dalej w tekście tegoż przemówienia znajdujemy:

„(...) pozostawiły nam po sobie naukę polityczną o zasadniczym znaczeniu: suwerenność narodowa i państwowa Polski może się umacniać tylko wówczas, gdy ustrój społeczny i polityczny kraju na danym etapie dziejowym pozostaje w zgodzie z postępem.

Pomimo tak znamiennej konkluzji oficjalna propaganda długo jeszcze co najwyżej odnotowywała kolejne rocznice reform majowych. Nie świętowała ich.

W latach siedemdziesiątych Konstytucję 3 Maja, jak wiele innych wydarzeń historycznych, jak wiele podobnych symboli narodowych propaganda wprowadziła w arsenał argumentów podpierających lansowaną wówczas głośno i z uporem tezę o umacnianiu jedności ideowej i politycznej całego narodu, zanikaniu sprzeczności grupowych. Był to rodzaj swoiście rozumianego solidaryzmu narodowego. W uprawianiu tego politycznego procederu i ideologicznej hochsztaplerki każdy narodowy symbol był jednakowo ważny. Był to zarazem wyraz fałszywie pojmowanego pluralizmu. Stąd wzięło się zatracenie hierarchii symboli i nieprzejrzystość treści. A równocześnie próbowano realizować tezę o konieczności tzw. „selektywnego stosunku do tradycji narodowej i postępowej".

Zawiłe i skomplikowane meandry naszych dziejów najnowszych nie oszczędziły także największych narodowych symboli i rocznic historycznych, istotnych dla Polaków wydarzeń. Nie lepszy los spotkał Konstytucję 3 Maja. Równocześnie na przykładzie reform majowych z 1791 roku widzimy, że to, co dla narodu naprawdę ważne, co godne przechowania w świadomości historycznej, to w jego pamięci nigdy nie zginie. Nie jest to zależne od politycznego koniunkturalizmu tzw. czynników oficjalnych. Istnieje bowiem pewna granica manipulowania historią. Prawo to posiada charakter obiektywny, którego działaniu podlegają wszyscy manipulanci.

Na koniec jeszcze jedna refleksja. Reformy majowe z 1791 roku, wyzwalały silnie społeczne emocje, rodziły nadzieje i oczekiwania jednych, zapowiadając postęp i ład oraz zawzięty sprzeciw tych, których interesom zagrażały. W przeszłości, i to tej nieodległej, również było kilka podobnych historycznych momentów. Tak jak w okresie ratowania Rzeczypospolitej Obojga Narodów, towarzyszył im społeczny entuzjazm, nadzieja i poparcie z jednej strony, a z drugiej zaś — zaślepiona reakcja.

Nic jednak nie dzieje się w życiu narodu ważnego, wielkiego, jedynie za sprawą entuzjazmu, nadziei i uchwał. Choćby nawet były to uczucia największe, a postulaty najbardziej rewolucyjne. To warunki społeczne i polityczne, determinanty wewnętrzne i zewnętrzne oraz ludzie, naród, decydują o tym czy ustawy stają się przyczynkiem do nowej rzeczywistości, czy też symbolem niespełnionych nadziei, utraconych szans. ■

# Za co klient płaci?

## *Dokończenie ze strony 1*

*— A jeśli producent wkalkuluje w cenę koszt komponentu importowanego, ale go nie dostanie i zastąpi tańszym krajowym, to czy uwzględni to w cenie?*

— Ma w tej dziedzinie pełną swobodę. Jeśli może ustalać ceny umowne, to może takiej zmiany nie ujawnić i utrzymać wyższą cenę.

*— I okradać konsumentów?*

— Prawdę mówiąc — tak to wygląda. Ale, żeby tu była jasność, wbrew powszechnemu mniemaniu u nas nie ma tylu monopolistów w przemyśle, żeby mogli sobie pozwalać na takie rzeczy. Ci monopoliści to przede wszystkim producenci sprzętu elektronicznego, radiowo-telewizyjnego i sprzętu gospodarstwa domowego.

*— Dziękuję. Wystarczy.*

— Ale to nie wszystko. Ja kacham wytwórców, aby eksportowali swoje wyroby nawet po cenach nieopłacalnych, aby obciążali kosztami takiego eksportu rynek wewnętrzny, ale aby za uzyskane dewizy kupowali brakujące im do produkcji części i zespoły.

*— Jak to Pan sobie wyobraża?*

— Na przykład. W „Polarze" stoi kilkadziesiąt tysięcy pralek, bo brakuje im części do programatorów. I w kraju takich części nie zrobi się. Czyż więc nie lepiej sprzedać za granicą około 5 procent tych pralek, kupić brakujące części i operację tę wkalkulować w cenę pralki? Wyniesie to po 300 — 400 zł więcej od jednej pralki.

*— Ale te pralki i tak już są drogie.*

— A mimo to ludzie stoją w kolejkach po nie.

*— Stoją. Ale wróćmy może do tych zawyżonych cen. Czy na takich — nieuczciwych przecież — producentów nie ma żadnej rady?*

— Jeśli jedne komponenty zostaną zastąpione drugimi, gorszej jakości, to musi się to uwidocznić w częstotliwości napraw gwarancyjnych. I wtedy trzeba zadbać o to, aby koszt tych napraw nie był znów wkalkulowany w cenę, ale obniżał zysk przedsiębiorstwa. Przedsiębiorstwa o tym wiedzą, ale jeszcze nie dotknęła ich taka bolesna praktyka.

*— Wniosek z tego, że patrzy Pan optymistycznie w przyszłość naszego rynku?*

— W tym roku będzie trudno. W przyszłym powinna już zacząć wzrastać produkcja, poprawiać się zaopatrzenie sklepów, a więc powstaną warunki dla obniżania cen.

*— Tę prognozę buduje Pan w oparciu o warunki normalne. Ale teraz mamy na przykład kilkanaście programów operacyjnych, co ułatwia zaopatrywanie ludności w takie czy inne artykuły, ale nie sprzyja normalnemu funkcjonowaniu rynku.*

— To prawda. Przykładem tu może być obuwie. Wszystkie surowce przeznacza się dla zaopatrzenia młodzieży w obuwie. I to zostanie osiągnięte.

*— A dorośli pozostaną bez butów.*

— Niestety tak. Ale myślę, że i na to znalazłaby się częściowa przynajmniej rada. Otóż w gospodarnej Wielkopolsce, a konkretnie w Poznaniu otwarto sklepy, gdzie sprzedaje się obuwie trochę używane, ale nie zużyte do końca. Obuwie dziecięce i młodzieżowe oczywiście. Rośnie podaż, a więc można trochę surowca przeznaczyć na produkcję obuwia dla dorosłych. A w ogóle to obuwia mogłoby być więcej, co prawda nie najwyższej jakości, bo obuwia ze świńskich skór. Tylko, że cen skór świńskich nie podniesiono w równym stopniu, jak cen mięsa i zakładom mięsnym nie opłaca się zajmować skórami.

*— I co Pan na to, jako minister od cen?*

— To nie ode mnie zależy.

*— A od kogo?*

— Od zakładów garbarskich, które powinny się zwrócić do mnie, że chcą płacić więcej i mieć skórę. Tylko, że oni nie chcą płacić więcej, a skórę wolą mieć z importu.

*— Za co ten biedny klient nie płaci. Za to, że brak surowców, komponentów, że stoją maszyny, że zła organizacja i za to jeszcze, że jest wadliwa struktura płac.*

— Rzeczywiście obecny system płac sprawia, że wydajność pracy jest niska.

*— Czy to się zmieni?*

— Tak. Pod koniec czerwca ukaże się broszura na temat nowego systemu płac i rozpocznie się dyskusja nad nią. Przypuszczam, że ten nowy system płac wejdzie w życie od przyszłego roku, choć Ministerstwo Pracy, Płacy i Spraw Socjalnych chciałoby ten system wprowadzić już od lipca tego roku. Ale właściwy system płac spowoduje konieczność zmniejszania zatrudnienia.

*— Inaczej mówiąc bezrobocie. Mamy przecież fundusz aktywizacji zawodowej.*

— Ten fundusz zacznie działać dopiero wtedy, kiedy przedsiębiorstwa zostaną zmuszone do obniżania cen, bo teraz mogą jeszcze wkalkulować w cenę przerost zatrudnienia.

*— Wysokie ceny na artykuły pochodzenia przemysłowego spowodowały, że teraz już nie można starego aparatu radiowego łatwo wymienić na nowy, bo nowy jest drogi. Trzeba stary zanieść do reperacji. Czy przygotowując reformę cen zastanowił się Pan nad tym, że nasze usługi nie są przygotowane należycie do takiej roli?*

— Handel i usługi mają charakter monopolistyczny. Boją się konkurencji. Gdyby rzemieślnik mógł nabyć części zamienne, można byłoby znacznie rozbudować usługi. Ale części zamienne dostarczane są głównie do własnych serwisów. Przykładem tego jest „Polmozbyt", który zarabia na tym, że nie dopuszcza do sprzedaży części zamiennych w sklepach.

Tu też muszą zagrać ceny. Chodzi o to, aby każdy detal miał relatywnie wyższą cenę niż zestaw tych detali tak, aby kupienie tych detali i złożenie ich w element jakiejś maszyny było 3 razy droższe niż gotowy element. Wtedy produkcja części zamiennych zacznie się opłacać producentom. Musi też powstać konkurencja między handlem a usługami. Muszą one być zainteresowane w tym, aby na rynku było pod dostatkiem części zamiennych. Reforma gospodarcza daje przemysłowi odpowiednie instrumenty działania w tej dziedzinie. Trzeba jeszcze przełamać monopol handlu, bo inaczej handel będzie utrudniał wprowadzenie reformy.

*Foto: M. Zajdler*

*— Dlatego niektóre przedsiębiorstwa myślą o utworzeniu sklepów fabrycznych.*

— Aby mogły je otworzyć muszą je zabrać handlowi, a handel nie chce oddać swoich sklepów.

*— Dlaczego mówi Pan bez sympatii o dziennikarzach, którzy krytykują wysokość marż w handlu? Przecież wiadomo, że handel jest niesprawny, źle zorganizowany, więc za co my płacimy?*

— Ta argumentacja mi się podoba. Nie krytyka wysokości marż w ogóle, bo one w stosunku do innych krajów są niskie, ale krytyka wysokości marży w stosunku do sprawności handlu. Dlatego chciałbym na Śląsku odbudować sieć dawnych „Delikatesów". Nie w Warszawie, nie w Łodzi, a na Śląsku. Tam ludzie ciężko pracują i dobrze zarabiają. Mogliby kupować po wyższych cenach artykuły luksusowe. Stać ich na to. Na przykład masło prosto od producenta, które po trzecim dniu tanieje, jeśli nie zostanie wykupione. Byłyby to wzorcowe sklepy posługujące się mechanizmami gospodarczymi.

*— Zamiast tego mamy puste sklepy, w których nudzą się sprzedawczynie.*

— A handel mógłby zająć się skupowaniem używanych przedmiotów i ich sprzedażą. W bogatej Anglii, w Londynie, niedaleko centrum miasta jest cała ulica sklepów handlujących używanymi rzeczami. Nikt tam nie wstydzi się sprzedawać coś, co mu jest niepotrzebne i nikt nie wstydzi się kupować rzeczy używanych, jeśli nie stać go na nowe.

*— To piękne marzenia, ale przez przeszło 30 lat nie potrafiliśmy zorganizować nawet przyzwoitego skupu makulatury, a papieru nam ciągle brakuje.*

— Prowadzący skup makulatury mają już wolną rękę w ustalaniu cen. Na przykład za kg starych gazet płaci się od 4 do 8 zł w zależności od tego, kto skupuje. Kształtuje się już rynek surowców wtórnych. Zaczyna się konkurencja.

*— Z kim chce konkurować poczta, która też podnosi ceny za swoje usługi? Tłumaczy się to tym, że nie ma pieniędzy na modernizację. Więc my musimy za to zapłacić.*

— Poczta potrzebuje 13 miliardów zł. Ale nie tylko na modernizację. Na płace również. Dziś panienka przy okienku, aby awansować musi zostać kierowniczką. A chodzi o to, aby mogła więcej zarobić, jeśli będzie dobrze, szybko i sprawnie obsługiwała klientów. I za to warto zapłacić.

*— Czy na wszystkim musimy zarabiać? Lektury szkolne objęte są ochroną, ale już książki dla dzieci nie. „Pan Samochodzik" Zbigniewa Nienackiego kosztuje 120 zł. Kto to kupi?*

— A od czego są antykwariaty. Czy tylko dla bibliofili? Czy rodzice nie mogą w antykwariatach sprzedawać książek, z których dzieci „wyrosły"?

Kiedy ustalaliśmy ceny na kredki i ołówki mogliśmy dać dotację lub ustalić cenę według kosztów. Stanęliśmy na stanowisku, że bez dotacji. Niech matki mówią dzieciom, że to jest drogie i trzeba oszczędzać. Niech dzieci uczą się oszczędzania. To jest wychowawcze.

*— Zmieniając ceny, chce Pan też zmienić społeczeństwo. Czy nie jest Pan zbytnim optymistą?*

— Nie. Ja jestem fachowcem. Prowadzę Zakład Ekonomiki, Konsumpcji i Analizy Rynku. Moje zainteresowania to: rynek, konsumpcja, dochody, ceny. W takiej właśnie kolejności. Ceny traktuję jako instrument do osiągnięcia prawidłowej konsumpcji i rozsądnej struktury konsumpcji. Ceny można porównać do miotły w zaśmieconym pokoju. Nie przypisuję im samoistnej roli.

Na przykład ceny żywności mają zmienić strukturę spożycia. Kto chce dogadzać swemu podniebieniu musi za to więcej płacić. Parlament w Szwecji w 1975 roku zobowiązał rząd do zmniejszenia spożycia mięsa w 1981 roku do 45 kg na osobę. A u nas wmawiano, że im więcej jemy mięsa, tym mamy większy dobrobyt.

*— Tylko, że nasze społeczeństwo weszło w reformę cen znacznie rozwarstwione pod względem wysokości dochodów. Różnica między tymi, którzy mało zarabiają, a tymi, którzy dużo zarabiają jest znaczna. Czy nie widzi Pan w tym niebezpieczeństwa?*

— Ja bym nie nazwał tego rozwarstwieniem. W dochodach liczonych w złotówkach poprzez rekompensaty nastąpiło wyrównanie. Ten proces będzie postępował. Planuje się podniesienie najniższych płac i rent. Przewiduje się wprowadzenie rekompensaty dla niektórych grup ludności, za wzrost cen artykułów przemysłowych.

Spodziewaliśmy się, że struktura wydatków na żywność po podniesieniu cen będzie taka sama, a wydatki wzrosną w równym stopniu, jak wzrosły ceny. A badania za luty i marzec wykazały, że obroty w sklepach spożywczych wzrosły tylko o 76 procent. Czy kupuje się mniej, czy tańsze gatunki — tego jeszcze do końca nie wiemy.

Zbadaliśmy też budżety rodzinne. Okazało się, że w rodzinach wielodzietnych dochody realne wzrosły o 5 procent, ale osoby samotne i zamożniejsze straciły od 30 do 45 procent.

— Jest jednak grupa ludzi bardzo zamożnych. To rzemieślnicy, właściciele sklepów, prywatni producenci. Ich możliwości wydawania pieniędzy najbardziej denerwują ludzi.

— To się pokrywa też z wynikami naszych badań. Podatki w lutym 1982 w stosunku do lutego 1981 wzrosły tylko o 5 procent. Wniosek z tego, że zwiększone dochody tej grupy ludności nie wpłynęły do skarbu w postaci podatków. Potrzebny jest nowy system podatkowy.

*— Mówi się o tym, że mają być wprowadzone dobrowolne oświadczenia o dochodach. Czy sądzi Pan, że coś takiego u nas może się powieść? Przecież to znakomita okazja do ukrywania prawdziwych dochodów.*

— Przez pierwsze lata może się nie udawać. Będzie to długi proces społecznej edukacji. Wymusi się ją jednak sankcjami. Jak ktoś zostanie przyłapany na oszustwie, to kara będzie tak wysoka, że już mu się to więcej nie opłaci. A inni wyciągną z tego właściwe wnioski.

Myśli się także o podatku od „znamion zewnętrznego luksusu".

*— Dając ludziom możliwość donoszenia wzajemnie na siebie?*

— Nie sądzę. Płacić będzie nie każdy, na kogo wskazują „znamiona zewnętrznego luksusu", ale ten kogo na to oficjalnie nie może być stać. Każdy taki „podejrzany" będzie wezwany przed oblicze finansowego spowiednika i jeśli potrafi udokumentować legalność swoich dochodów, to będzie z podatku zwolniony. Proszę nie zapominać, że na skutek niedostatku towarów rozwinęła się spekulacja, a ta zrodziła grupę milionerów, którzy się na naszych trudnościach dorobili owych milionów.

*— Dlaczego Pan nie lubi Federacji Konsumentów?*

— Ja? Jestem jej członkiem.

*— To przepraszam. Ale dlaczego na spotkaniu w „Marko", w Łodzi wyrażał się Pan dość krytycznie o działaniu Federacji?*

— Dlatego, że walka z cenami prowadzona bez umiaru może przynieść konsumentom więcej szkody niż pożytku.

*— A to dlaczego?*

— Kiedy Federacja Konsumentów bierze na warsztat wyrób jakiegoś producenta i ostro go krytykuje, to producent oświadcza bez ogródek: — jak mnie krytykujecie, to ja tego robić więcej nie będę — i zamyka produkcję. Federacja musi działać z umiarem, jeśli chce — a taki jest jej cel — bronić interesów konsumenta.

*— To co ma robić według Pana?*

— Bić się o sprawność handlu, o jakość wyrobów. Podwyżka cen nie jest jednoznaczna z podnoszeniem jakości, ale zwiastuje pojawienie się konkurencji. Tylko, że konkurencja odbywa się nie poprzez ceny, nie tylko przez ich obniżanie, ale poprzez podnoszenie jakości. Tak jest między innymi na Węgrzech i w Jugosławii. Obniżanie cen nie jest tam atrakcyjne dla klientów, ale wyższa jakość — tak. Jak producent mówi: — w moich butach będziesz chodził do grobowej deski, to to jest argument dla kupującego. U nas panowało przekonanie, że nie trzeba robić trwałego obuwia, bo ludzie trochę pochodzą i wyrzucają. Przed 20 laty kupiłem na Węgrzech buty i dziś je zakładam, kiedy idę w góry.

*— To stara zasada, że człowiek niezamożny, a oszczędny kupuje rzeczy trwałe, dobre. Bogaty może sobie pozwolić na kupowanie rzeczy na jeden sezon, bo go na to stać.*

— I tego powinniśmy się uczyć.

*— Zrobił Pan to, co było Pana pasją. Doprowadził Pan do reformy cen. I co dalej?*

— Moje wysiłki zmierzają w trzech kierunkach.

Pierwszy — to przekonać producentów, żeby przestali bać się wszelkich kontroli, bo najlepszym kontrolerem dla nich jest rynek i konsumenci.

Drugi — to handel. Stworzenie podstaw dla działania dobrego, sprawnego handlu. To jest znacznie trudniejsze, bo handlowcy solidnie okopali się na swoich pozycjach i nie chcą wyjść z okopów.

Trzeci — to dobre rozpoznawanie rynku. Kiedy zwróciliśmy się do Ministerstwa Handlu i Usług, aby dano nam obraz tego, co dzieje się na rynku rozłożono ręce. Nikt tego od nich nie żądał. Myślę więc o stworzeniu sieci sklepów, których kierownicy w całej Polsce będą nadsyłali nam dane o popycie i podaży. Co sprzedają i po jakich cenach, co się odkłada. Te dane uzupełnialibyśmy wywiadami z klientami i testami koniunktury z przemysłem.

Jest to też nam potrzebne i po to, aby sugerować zmiany cen umownych, w jakim kierunku powinny zmieniać się ceny regulowane.

Chodzi mi o to, żeby związać trzy ogniwa: producent, handel, konsument. Wtedy powstanie jasny obraz rynku. Producent może bowiem mówić, że ma zbyt na swój towar, ale handel będzie sygnalizować, co się mu odkłada w magazynach, czego konsumenci nie chcą już kupować.

Jak mi się to uda, będę mógł spokojnie zrezygnować ze swego stanowiska i wrócić na uczelnię.

*— Czy można powiedzieć, że rozregulowanie rynku było potrzebne do tego, aby móc go od nowa sensownie tworzyć?*

— To nie jest zła teza. Rozregulowanie rynku nastąpiło w ubiegłym roku. Gdyby nie zawał rynku, to reforma nie postępowałaby tak szybko. Znaleźliby się ludzie, którzy powiedzieliby: — nie jest tak źle, po co więc reformować!

Sądzę, że w przeciągu dwu, trzech lat, jeśli rozwinie się sieć handlu i będzie on prawidłowo funkcjonował, powinien powstać zupełnie przyzwoity rynek.

*— Jest Pan, jak zawsze, pełen optymizmu. Życzę Panu powodzenia.*

**Rozmawiała:**
**BOGDA MADEJ**

# Klient na pierwszym miejscu

## rozmowa z wiceprezydentem m. Łodzi — Jerzym Łapińskim

Brak podstawowych towarów, gigantyczne kolejki sprawiły, że zakupy stały się plagą społeczną. W sklepie, w sposób chyba najbardziej przykry, codziennie stykamy się z kryzysem, jaki objął wszystkie dziedziny życia społeczno-gospodarczego. Ale i wcześniej, gdy jeszcze sklepowe półki były zapełnione, klient miał wiele powodów do niezadowolenia. Tak chyba było w całym powojennym okresie. Przez wiele lat mówiło się o rynku producenta, który dyktuje swoje warunki, nie licząc się z opinią handlu, reprezentującego — przynajmniej w teorii — interes klienta. Zmienić ten układ miała reorganizacja przeprowadzona w 1976 roku, dzieląca między poszczególne piony handlu grupy towarów w sposób obligatoryjny i ścisły. Pochłonęła wiele pieniędzy i sił, ale w rezultacie okazało się sztuką dla sztuki. Rynek, mimo okresów, w których występowała pewna obfitość dóbr, stał się z kolei domeną handlowca. Nadal nie był on rynkiem konsumenta. Czy zmieni ten układ wchodząca w życie reforma gospodarcza? Rozmawiałam na ten temat z wiceprezydentem miasta Łodzi, JERZYM ŁAPIŃSKIM.

*— Panie Prezydencie, czy w ogóle można mówić o reformie w handlu, w czasie, gdy nie ma co sprzedawać, gdy handel zamienia się w biurokratyczną machinę do wycinania kartek?*

— Rzeczywiście, o prawdziwej reformie w handlu, można mówić dopiero wówczas, kiedy będzie towar. Podobnie zresztą, jak w przemyśle — nie można mówić o rzeczywistym funkcjonowaniu zasad reformy, dopóki nie będzie w miarę dobrego zaopatrzenia w surowce i materiały. Bo baza techniczna jest, podobnie kadra. Przeważnie są to ludzie wysoko kwalifikowani. Zatem istnieją warunki do produkcji wśród których brakuje tylko surowców i energii. A czego brakuje w handlu? Sklepy są, półki też — brakuje towarów. Dlatego, jeśli rozmawiamy o reformie w handlu, to za sprawę podstawową na tym etapie nie można uznać kolejnej reorganizacji, zmiany szyldów, nazewnictwa przedsiębiorstw. Nie tu trzeba szukać rozwiązania. Nie jest to tylko moje prywatne zdanie — opieram się na dość szerokich konsultacjach.

Jeszcze przed 1 marca, jako dyrektor Oddziału Handlu Ubiorami WPHW (512 sklepów, obrót roczny według cen 1981 — ponad 7 miliardów złotych) byłem przewodniczącym zespołu opracowującego założenia do reformy w tym przedsiębiorstwie. Wyszła nam jedna rzecz: trzeba zacząć od punktów sprzedaży, czyli od sklepów. Bo, po pierwsze — brak towarów. Jak szybciej ten towar uzyskać, jak, poprzez handel, uruchomić drobną wytwórczość, jak osiągnąć wykorzystanie każdego skrawka surowca, czy to w chemii, czy w odzieży, a nawet w przetwórstwie rolno-spożywczym? Istnieje konieczność odbiurokratyzowania handlu. Żeby tymi sprawami nie zajmował się wyłącznie pion zaopatrzenia czy hurt, lecz żeby robiły to sklepy. Oczywiście, nie małe sklepiki.

— *A zatem, jak do tego dojść?*

— Najważniejsze, jeśli chodzi o tę reformę w naszym systemie społeczno-politycznym, jest uznanie, czy też może uświadomienie sobie, że pierwszoplanowe znaczenie ma klient. To jest ta racja podstawowa. A jednocześnie — szybko i równolegle — myśleć trzeba o tym, że handel musi na siebie zarobić. Musi posiadać środki na inwestycje, uzbrojenie techniczne, magazyny, itp. A zatem nie można handlu traktować wyłącznie w kategoriach minimalizacji zysku. Ale bezwzględnie klient jest sprawą podstawową i osiągnięcie wszystkich celów nie może prowadzić do zapominania o tym.

*— W jaki sposób osiągnąć pogodzenie pozornie sprzecznych interesów klienta i przedsiębiorstw handlowych?*

— Wiadomo, że u nas jedną z trudniejszych spraw są procesy legislacyjne, to jest przepchnięcie jakichkolwiek dokumentów, które umożliwiłyby pójście do przodu i ruszyły cały proces zmian. W tym konkretnym przypadku pierwszy krok jest możliwy już teraz, bowiem odpowiedni przepis istnieje, zresztą nie od dziś. Jest to załącznik do Zarządzenia nr 9 Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług z 22 maja 1979 roku na temat możliwości wprowadzania w punktach sprzedaży ograniczonego wewnętrznego rozrachunku.

Konkretnie, taki punkt sprzedaży (może to być jeden duży sklep, lub zespół mniejszych, połączonych w jeden system ekonomiczny) nie jest ograniczony limitami zatrudnienia i funduszu płac. Kierownik reguluje te sprawy sam, według potrzeb i kalkulacji. Pokrywa także koszty remontów bieżących, niedoborów i strat. Ponadto ma obowiązek odprowadzić określoną ilość pieniędzy, wynikającą z kalkulacji zysku, do przedsiębiorstwa. Są tu dopuszczalne dwie ewentualności: albo kwota, albo procent zysku. Ustalenie należy do dyrektora przedsiębiorstwa, przy czym jest ono dosyć ważne. Procent jest dobry w przypadku dobrze prosperującego sklepu, niekorzystny natomiast, gdy sklep pracuje źle. Wtedy kwota w odpowiedniej wysokości stanowi zabezpieczenie interesów przedsiębiorstwa i pośrednio interesów państwa.

*— Możliwość takiego funkcjonowania handlu istnieje od chwili wydania zarządzenia, a więc prawie trzy lata. Czy była praktycznie wykorzystana i z jakim efektem?*

— Według takiej formuły działania pracowały w Łodzi trzy duże obiekty: „Juventus", „Gosia" i „Pionier". Nadzorowałem ich pracę i z całą odpowiedzialnością stwierdzam, że zdało to doskonale egzamin. Zgodnie z ustaleniami odprowadzali 80 proc. zysku do przedsiębiorstwa, z pozostałych 20 procent pokrywali wszystkie swoje koszty. Załoga zyskała przede wszystkim wyższe zarobki. Obok wszystkich elementów płac występujących w handlu, z tych 20 procent zysku wolno wypłacić pracownikom premie miesięczne do wysokości 50 proc. płacy podstawowej. Jest to bardzo silny bodziec. Dla przykładu — o ile średnia płaca w handlu wynosiła w „Otexie" 6.500 zł, to sprzedawca w „Juventusie" zarabiał średnio 3.000 zł więcej. Ponadto w tych sklepach nie było mank. Jeden pracownik pilnował drugiego, bo wiedział, że manko zmniejszy zysk, a tym samym jego premię. Krótko mówiąc, ludzie pracujący w tym systemie dążą w sposób naturalny do zwiększenia sprzedaży, uzyskania większych obrotów. A osiąga się to między innymi poprzez racjonalne wykorzystanie wszystkich źródeł zakupów, do czego kierownik takiej placówki ma prawo. Może więc nawiązywać bezpośrednie kontakty ze spółdzielniami, państwowym przemysłem drobnym i kluczowym, z prywatnymi wytwórcami, prowadzić skup i sprzedaż, czy wreszcie tworzyć własne zespoły pracy nakładczej, produkujące to, czego szuka klient. Hurt jest na takie działanie zbyt zbiurokratyzowany. Dla wielkiego przedsiębiorstwa rzemieślnik nie jest partnerem, jest nim natomiast dla sklepu pracującego według tych zasad, a także dla agentów. Znowu posłużę się przykładem „Otexu". W 1979 roku roczny zakup od rzemieślników zamykał się kwotą 3 milionów zł. Po uruchomieniu tych trzech domów towarowych na rozrachunku wewnętrznym oraz 127 sklepów agencyjnych, wartość ta wzrosła do 120 milionów złotych.

I tu dochodzę do tego, co nazwałem podmiotem handlu, do klienta. W efekcie on bowiem na tym zyskuje. Wszyscy zatrudnieni w handlu są zainteresowani i mają możliwość ściągnięcia towarów, wśród których klient wybiera, szukając ceny i asortymentu, jaki mu odpowiada. Tu właśnie, na samym dole handlu, w sklepach, tkwi siła motoryczna jego rozwoju, nie zaś w strukturze organizacyjnej. Ważne jest, aby ci na dole, kierownicy sklepów byli osobiście zainteresowani swoją działalnością, żeby czuli, iż ich własny byt zależy od tego, co i jak robią.

Tymczasem, na razie, kierownik sklepu nie jest kupcem czy handlowcem, lecz zagrzebanym w papierach złym urzędnikiem. Zwłaszcza w naszej sytuacji, gdy proporcje są odwrócone. Podczas, gdy na całym świecie 90 procent wysiłków handlu idzie w tym kierunku, aby towar sprzedać, u nas spożytkowuje się energię, aby towar od przemysłu kupić. A sama sprzedaż idzie automatycznie, a nawet, zwłaszcza w ostatnim okresie, jest traktowana jak akt łaski wobec klienta. Konieczne jest przywrócenie właściwych proporcji w tej dziedzinie gospodarki.

*— Czy i kiedy uda się to osiągnąć?*

— Krok po kroku. Jeśli ludzie poczują, że w ślad za wypracowanym przez nich zyskiem idą także odczuwalne korzyści, w formie przede wszystkim wyższych dochodów indywidualnych. Ale nie tylko to. Pokrywanie z zysku kosztów remontów bieżących, możliwość podejmowania decyzji o ich terminie i zakresie umożliwi na przykład lepsze wyposażenie zaplecza socjalnego sklepów, poprawę warunków pracy ludzi. Pierwszy etap reformy w handlu musi polegać na praktycznym doprowadzeniu zasad ekonomicznego myślenia do wszystkich sklepów i ich pracowników. Mam pełną świadomość, że będzie to swego rodzaju rewolucja w handlu, przede wszystkim w sferze psychiki pracowników. Nie wszyscy będą mogli nauczyć się nowych zasad pracy i myślenia. W naturalny sposób pewni ludzie będą musieli przekwalifikować się z kierowników sklepów na sprzedawców, czy nawet odejść. Ale leży to przecież w interesie klienta, a także w interesie samego handlu. Ludzie zaczną zastanawiać się i działać tak, aby minimalizować koszty, zwiększać obroty, podnosić zyski. I tu zasady mogą być dwojakie: wysokie ceny i mała sprzedaż, albo odwrotnie — ceny niższe i duża ilość towarów. Wybór wariantu będzie wypadkową sytuacji rynkowej. Wraz ze zwiększaniem ilości towarów, ceny będą szły w dół.

*— Skoro zasada sprawdziła się w praktyce, dlaczego dotychczas zastosowano ją zaledwie w trzech sklepach?*

— Przede wszystkim, aby sklep czy zespół sklepów przestawić na własny rozrachunek, potrzebna była w każdym przypadku zgoda centrali w Warszawie, bowiem rzecz nie wyszła poza fazę eksperymentu. Trwa on już stanowczo zbyt długo. Obecnie, gdy przedsiębiorstwa uzyskały samodzielność, dyrektorzy w ramach własnych uprawnień mogliby upowszechnić te zasady w podległych placówkach. Istnieje tu jednak kolejna, bardzo istotna bariera: posunięcie takie groziłoby finansowym samobójstwem. Niemal automatycznie wzrosłyby bowiem średnie płace, a w jeszcze wyższym stopniu naliczany od nich progresywny podatek. Konieczna jest korekta przepisów fiskalnych. Podatek progresywny musi być liczony od zwiększonej bazy funduszu płac. Trzeba pozwolić pracownikom handlu zarobić więcej. Oczywiście, poprzez odpowiednie ustalenie stopy progresji trzeba zabezpieczyć wpływy do budżetu państwa, zapobiegać powstawaniu kominów płacowych, itp. Jednak bez zwiększenia bazy funduszu płac podatek pochłonąłby cały zysk, a nawet jeszcze więcej, co praktycznie oznaczałoby w krótkim czasie ruinę przedsiębiorstwa, które przecież, zgodnie z reformą, musi się samofinansować.

*— Wszystkie te założenia i zasady odnoszą się głównie do podstawowych jednostek handlowych. Jak natomiast powinna wyglądać reforma na kolejnych, wyższych szczeblach struktury organizacyjnej handlu.*

— Podstawowym założeniem musi być przywrócenie konkurencyjności. Jest to zresztą zgodne z koncepcjami ministerstwa, poparli tę tezę także wszyscy wicewojewodowie uczestniczący w spotkaniu, jakie odbyło się 1 kwietnia w Łodzi; i na którym przedstawiłem opracowaną u nas koncepcję reformy handlu. Każdy wybór — ukształtowanie się struktur organizacyjnych — jest to sprawa wtórna. Bezwzględnie jednak musi istnieć obok WSS „Społem" także państwowy hurt spożywczy. Wtedy wytworzą się trzy — konkurencyjne mimo obowiązującego systemu reglamentacji — piony handlu spożywczego: państwowy, spółdzielczy i prywatny.

Jeśli chodzi o artykuły przemysłowe, koncepcja ministerstwa idzie w tym kierunku, aby istniały sklepy fabryczne, patronackie i inne. Ale — szczególnie na początku — konieczne jest także przedsiębiorstwo, które będzie ponosić odpowiedzialność za w miarę prawidłowe zaopatrzenie rynku w okresie, gdy nie ma dostatku towarów. Wiodące, ale w żadnym razie nie monopolista. Musi na przykład istnieć przedsiębiorstwo handlu meblami, ubiorami, sprzętem RTv — ale niech handlują tym asortymentem także inni, kto chce i ma możliwości. Bez istnienia takich wiodących, specjalistycznych przedsiębiorstw może zdarzyć się, że jakiś artykuł po prostu zniknie z rynku, co przyniesie fatalne skutki społeczne.

Czy będą to przedsiębiorstwa ogólnopolskie, działające w makroregionach, czy tylko na obszarze województw, to sprawa do uzgodnienia między handlem a władzami terenowymi. Wydaje się jednak, że w niektórych branżach, np. meblarskiej, powinno to być przedsiębiorstwo ogólnopolskie, bo tylko takie będzie partnerem dla producenta — monopolisty. Ale niech handlują meblami także inne przedsiębiorstwa: spółdzielcze, państwowe i prywatne. Mogą się łączyć, tworzyć układy terytorialne lub branżowe, ale jedno, specjalistyczne, będzie gwarantować podstawowe zaopatrzenie ludzi. Wobec braku dostatecznej ilości towarów, w ten sposób wyrażać się będzie interwencjonizm państwowy, chroniący interes społeczny.

Te specjalistyczne przedsiębiorstwa powinny działać przy takiej organizacji sieci, jak mówiłem na początku: a więc duże sklepy i ich zespoły na własnym rozrachunku, sklepy agencyjne (uważam, że należy je utrzymać), sklepy komisowe, stanowiące doskonały interes, poza tym zespoły hurtowo-detaliczne i bezwzględnie usługi łącznie z handlem. Nieporozumieniem jest wyodrębnienie oddziałów usług w WPHW. Jak można odrywać technika reperującego sprzęt TRv od nowości, które są w handlu? Zupełnym paradoksem jest fakt, że odwożeniem mebli zajmuje się inny oddział, nie zaś ten, który je sprzedał. Oczywiście, mówię jedynie o usługach, które są w naszym resorcie, nie zaś o innych, typu „Czystość", itp. Chodzi o to, aby punkty usługowe istniejące przy handlu stanowiły jego nieodłączną część i działały pod jedną batutą.

*— Po wprowadzeniu tych zmian zmieni się również funkcja przedsiębiorstwa. Jaka będzie jego rola w zreformowanym handlu?*

— Ja widzę ją przede wszystkim w taki sposób: przedsiębiorstwo prowadzi politykę gospodarczą: bilansuje zapotrzebowanie, podejmuje decyzje inwestycyjne, realizuje działalność hurtową, sprawy kadrowe i socjalne. Może się bowiem zdarzyć, że kierownik sklepu mający uprawnienia do przyjmowania i zwalniania pracowników, popełni błąd, krzywdząc człowieka, lub przyznając mu zbyt duże prawa. Ponadto do zadań przedsiębiorstwa będzie należał nadzór i kontrola nad działalnością jednostek podstawowych, zapewnienie rentowności działalności hurtowej, kontrola wpłat zysków ze sklepów i ryczałtów od agentów, a także kontrola komisów i punktów usługowych. I to wszystko. W sposób automatyczny zmniejszy się do minimum działalność administracyjna przedsiębiorstwa.

Proszę jednak pamiętać, że do tego, aby reforma w handlu zadziałała, i przyniosła pożądane efekty, potrzebne jest sprowadzenie w dół rozrachunku ekonomicznego oraz stopniowe zwiększanie masy towarowej. Inaczej cała rzecz nie ma sensu.

*— Kiedy można spodziewać się konkretnych decyzji w tych sprawach?*

— Pod koniec kwietnia odbędzie się drugie spotkanie wszystkich wicewojewodów, na którym koncepcja reformy w handlu zostanie przedyskutowana. Wkrótce potem można spodziewać się decyzji, zwłaszcza jeśli chodzi o zwiększenie bazy funduszu płac do liczenia podatku progresywnego. Będzie więc można realizować przyjętą koncepcję. Ale nie oznacza to, że handel zmieni się z dnia na dzień. Będzie to proces długotrwały, realizowany powoli i etapami. Nie jestem w żadnym razie za administracyjnym ustalaniem jakiegokolwiek terminu. Takie rozwiązanie dopiero narobiłoby bałaganu. Sprawa musi dojrzewać sama, musi następować proces doboru i selekcji ludzi, kształtowania nowej świadomości. Nie kolejna rewolucja, lecz stopniowa ewolucja w handlu może przynieść oczekiwane przez obie strony efekty i przywrócić właściwe układy między przedsiębiorstwem handlowym, sklepem a klientem — to znaczy układy, w których ten ostatni jest pierwszoplanowym podmiotem, ku któremu kieruje się cała działalność handlowa.

**Rozmawiała:**
**TERESA JERZYKOWSKA**

*Foto: M. Zajdler*

MYŚL POLITYCZNA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO (2)

# Na drodze do Polski niepodległej

W 1892 roku Józef Piłsudski powrócił z zesłania i osiedlił się w Wilnie. Na jego decyzję związania się z ruchem socjalistycznym miał niewątpliwie wpływ uchwalony w tym samym roku, w czasie paryskiego zjazdu założycielskiego Związku Zagranicznego Socjalistów Polskich „Szkic Programu PPS", w którym jako punkt pierwszy wpisano dążenie do utworzenia samodzielnej republiki demokratycznej.

W styczniu 1893 roku Piłsudski, już jako członek wileńskiej grupy polskich socjalistów, spotkał się w Wilnie ze Stanisławem Mendelsonem, redaktorem emigracyjnego „Przedświtu" i od tej pory w „Przedświcie" zaczęły się ukazywać korespondencje jego pióra.

W połowie 1893 roku Piłsudski wziął udział w I Zjeździe PPS w Wilnie, a w roku następnym, na II Zjeździe w Warszawie, został wybrany członkiem Centralnego Komitetu Robotniczego PPS. Razem z nim, w skład najwyższych władz partyjnych wszedł Stanisław Wojciechowski, późniejszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. Jak pisze we wstępie do tomu pierwszego Pism Zbiorowych Leon Wasilewski, Piłsudski postawił przed sobą zadanie *„...rozszerzenia wpływów partii na główne przynajmniej ośrodki przemysłowe kraju, ujęcia siecią organizacji partyjnej ścisłych kół robotniczych, które by mogły promieniować na masy, zdobycia dla socjalistycznego programu niepodległościowego opinii tych mas..."* 12 lipca 1894 roku ukazał się pierwszy, drukowany w kraju, numer „Robotnika". Drukarnia mieściła się początkowo w powiecie oszmiańskim, następnie w Wilnie, a od czerwca 1899 roku — w Łodzi, przy ul. Wschodniej 19. Redaktorem oraz wydawcą pisma był towarzysz Wiktor — Józef Piłsudski.

Redagując „Robotnika" Piłsudski konsekwentnie przeprowadzał swoje zamierzenia polityczne. W zamieszczonej w numerze kwietniowym z 1895 roku odezwie na 1 Maja pisał: *„...Towarzysze Robotnicy! Pierwszego maja, jak okiem sięgnąć po szerokim świecie — wszędzie ustaje wszelka praca, milkną fabryki, martwieją koła maszyn, wysokie kominy przestają dymić, a lud roboczy rachuje świętujące szeregi. Tak się dzieje na świecie całym. Lecz dla nas, Polaków, dzień ten ma większe znaczenie. Na całym Zachodzie towarzysze nasi co dzień w tysiącach zebrań świadczyć mogą o swym niezadowoleniu, mogą stawiać swe żądania, zmusić, by je wysłuchano. U nas wszelki przejaw ruchu robotniczego, wszelkie próby polepszenia swego losu tłumione są z zajadłością dziką, karane są srożej od zbrodni. Oprócz zdzierstw i wyzysku kapitalistów ciąży ponadto nad nami jarzmo niewoli politycznej i znęcanie się samowładczego rządu najeźdźczego..."*

W lutym 1900 roku Piłsudskiego aresztowano w Łodzi, w czasie pracy nad wydaniem kolejnego — dziewięćdziesiątego szóstego numeru „Robotnika". Po ucieczce z więziennego szpitala w Petersburgu przebywał przez pewien czas w Londynie, a następnie osiedlił się w Galicji.

Wtedy to powstał jego artykuł „Jak stałem się socjalistą", gdzie stwierdzał: *„...socjalista w Polsce dążyć musi do niepodległości kraju, a niepodległość jest znamiennym warunkiem zwycięstwa socjalizmu w Polsce..."*

Wybuch wojny rosyjsko-japońskiej rozpoczął kolejny etap politycznych działań Piłsudskiego. Wychodząc z założenia, że przeciwnik Rosji jest naturalnym sojusznikiem Polaków, a wojna niewątpliwie osłabi zaborcę, postanowił nawiązać kontakt z rządem japońskim. Wyjechał do Tokio i 11 lipca 1904 roku wręczył w japońskim MSZ memoriał, w którym wskazywał na słabe strony Rosji oraz na opozycyjne nastroje ujarzmionych przez nią narodów.

Rachuby Piłsudskiego na poparcie przez Japonię sprawy niepodległości Polski zawiodły, uzyskał jedynie poprawę warunków dla Polaków — jeńców wojennych.

Z początkiem 1905 roku doszedł Piłsudski do wniosku, że czas tworzyć zalążki polskiej siły zbrojnej. W lutym tego roku, na VII Zjeździe PPS, powołano do życia organizację bojową i wydział bojowy. Piłsudski dążył do tego, aby organizacja bojowa była siłą zwartą, działającą na terenie całego kraju, natomiast wielu działaczy PPS chciało ograniczyć jej działalność do sporadycznych wystąpień przeciw policji i żandarmerii.

Tymczasem organizacja bojowa rozszerzała swą działalność. Mnożyły się wystąpienia i zamachy, wśród nich głośne, takie jak Wandy Krahelskiej na gubernatora Skałłona i akcja na stacji w Rogowie kierowana przez Montwiłła-Mireckiego.

1 listopada 1906 roku grupa działaczy związanych z Piłsudskim wydała pierwszy numer dwutygodnika „Trybuna", w którym został zamieszczony artykuł Piłsudskiego „Polityka walki czynnej". Koncepcji rewolucji społecznej w Rosji przeciwstawiał Piłsudski ideę powstania zbrojnego, obejmującego wszystkie siły społeczne. *„...Rewolucja zbrojna — pisał — oto konieczność dziejowa, jaką mamy przed sobą. Musimy wykorzystać wszelkie siły społeczne w celu organizowania zbrojnego powstania. Ono jedynie może zmienić podstawy naszego bytu politycznego..."*

Analizował też Piłsudski przebieg wydarzeń rewolucji 1905—1906 roku, stwierdzając między innymi: *„...współzależność pomiędzy wypadkami w Królestwie i w Rosji bezwarunkowo istnieje, lecz bynajmniej nie w tym ograniczonym sensie, że Królestwo idzie na pasku ruchu rosyjskiego; przeciwnie — wiele najostrzejszych wystąpień rosyjskich jest powtórzeniem taktyki samodzielnie powstałej w Polsce. Czy i o ile stosunek taki będzie trwał i nadal — okaże przyszłość..."*

Na IX wiedeńskim Zjeździe PPS, w listopadzie 1906 roku, działalność Piłsudskiego spotkała się z ostrą krytyką, a organizację bojową postawiono poza partią. Doprowadziło to do rozłamu i powstania odrębnej organizacji pod nazwą Frakcja Rewolucyjna.

Wygłaszając w lipcu 1910 roku w Szkole Centralnej PPS w Krakowie wykład o historii organizacji bojowej, Piłsudski powiedział, że było *„...główną zasługą Organizacji Bojowej — uratowanie idei zbrojnego ruchu, która byłaby zabita, zniszczona zupełnie bez walki Organizacji Bojowej... Organizacja Bojowa przygotowała ludność do walk zbrojnych, wszczepiła jej przekonanie o możliwości boju orężnego...*

Piłsudski miał już pierwsze doświadczenia w realizacji czynu zbrojnego i płaszczyzna walki w ramach programu partii przestała mu wystarczać. W 1908 roku rozwiązał Organizację Bojową. W tym samym roku powstał Związek Walki Czynnej jako wyraz dążeń do stworzenia szerszej płaszczyzny walki niepodległościowej.

W 1910 roku powstał we Lwowie Związek Strzelecki, a w Krakowie Strzelec. Dwa lata później, Józef Piłsudski stanął na czele wspólnej Komendy Głównej. W tym samym czasie w Zakopanem zaczęto tworzyć Polski Skarb Wojskowy, a w Wiedniu powstała Komisja Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.

Czym kierował się Piłsudski podejmując decyzję organizowania zalążków przyszłego wojska polskiego?

W „Robotniku", w okresie od marca do września 1910 roku ukazała się jego praca „Zadania praktyczne rewolucji w zaborze rosyjskim". Pisał w niej tak: *„...Jesteśmy partią rewolucyjną... Rewolucja, której dokonać chcemy, jest to wojna dwóch armii — naszej rewolucyjnej, ludowej z armią rządową, najeźdniczą... Panuje słuszne przekonanie, że sami, w stosunkach normalnych nie damy sobie rady z najazdem i że tylko czynniki zewnętrzne, osłabiające rząd, a więc stawiające nas w korzystniejszych warunkach, mogą nam dać te szanse zwycięstwa, jakich dziś nie posiadamy. Wojna, w którą się Rosja uwikła, jakieś rozruchy wewnętrzne, osłabiające państwo, komplikacje finansowej natury zmuszające rząd do ujawnienia słabości — wszystko to musi potęgować wiarę społeczeństwa w możliwość zwycięstwa nad wrogiem, a więc i przyczyniać się do ułatwienia wybuchu rewolucyjnego...I na tym czynniku musimy opierać swe obliczenia szykując się do walki zbrojnej..."*

Wybuch pierwszej wojny światowej stanowił ten właśnie czynnik zewnętrzny. Piłsudski przeprowadził mobilizację oddziałów strzeleckich i sformował oddział, który 6 sierpnia 1914 roku przekroczył granice Królestwa Polskiego.

Odczytany przed frontem oddziału rozkaz Piłsudskiego głosił: *„...Żołnierze! Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanię..."*

Liczył Piłsudski, rozpoczynając walkę zbrojną, że pojawienie się oddziałów polskich wywoła powstanie narodowe w zaborze rosyjskim. Służyć temu także miała odezwa następującej treści: *„...Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd Narodowy... Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został obywatel Józef Piłsudski..."*

Rządu Narodowego w Warszawie wtedy nie było, natomiast w pierwszych tygodniach wojny utworzono w Warszawie Polską Organizację Wojskową z oficerem strzeleckim, Adamem Kocem, na czele.

W deklaracji podpisywanej przez każdego członka POW stwierdzano, że *„...celem POW jest zdobycie niepodległości polskiej drogą walki zbrojnej. POW skierowuje swój oręż przeciwko największemu swemu wrogowi — Rosji i jest w ciągłym kontakcie z Legionami..."*

16 sierpnia 1914 roku powstał w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy i rozpoczęło się formowanie Legionów Polskich. Piłsudski mianowany pułkownikiem, a następnie brygadierem, podjął polityczną walkę z Austrią, ograniczającą samodzielność polskich formacji wojskowych.

W lutym 1924 roku, przebywając w Sulejówku, w wywiadzie udzielonym podpułkownikowi Stanisławowi Laudańskiemu, Piłsudski tak przedstawił swój pogląd na stosunek wojny do sprawy Polski: *„...Twierdziłem z samego początku, wbrew wszystkim, że wojna potrwa znacznie dłużej niż ogólnie przypuszczano. Wskutek tego obydwie strony — zwycięzca i zwyciężony, będą nadal wyczerpane i osłabione. Ten stan daje możność być w końcu silnym tym, którzy będąc słabymi na początku, będą mieli dożyć siły moralnej i materialnej, by przetrwać... Drugim punktem mego zapatrywania było, że tak wielka wojna nie może się skończyć inaczej, jak wprowadzeniem pewnego przewartościowania psychicznego u obu stron. Żelazne prawa społeczno-polityczne, istniejące poprzednio, muszą ulec zmianie, wobec czego gdyby nawet Polska nie uzyskała niepodległości, to zwycięzca zmuszonym będzie dać jej lepsze warunki istnienia. Lecz wynikiem nieodzownym będzie, by Polska stała się „wartością gry" w ostatniej chwili..."*

W tym samym wywiadzie Piłsudski mówił także: *„...Co do stosunku politycznego i wojskowego względem państw centralnych — stwierdzam, że żaden z nas nie żywił ku nim sympatii. Biliśmy się z Moskalami, będąc z musu w szeregach wojska austriackiego..."*

Ponieważ państwa centralne zachowywały milczenie w sprawie niepodległości Polski oraz prezentowały nieustępliwe stanowisko co do samodzielności polskich sił zbrojnych, Piłsudski w sierpniu 1915 roku, wbrew stanowisku Naczelnego Komitetu Narodowego, wstrzymał nabór do Legionów, a skoncentrował swoją działalność na rozwoju Polskiej Organizacji Wojskowej.

Na znak protestu przeciw milczeniu państw centralnych w kwestii polskiej, Piłsudski wniósł w lipcu 1916 roku podanie o dymisję, a 26 września tegoż roku otrzymał ją.

Trudno powiedzieć, na ile miało to wpływ na pewną zmianę stanowiska Niemiec i Austro-Węgier wobec sprawy polskiej, niemniej 5 listopada 1916 roku został ogłoszony akt dwóch cesarzy stwarzający nadzieję na niepodległość Polski. W utworzonej Tymczasowej Radzie Stanu Piłsudskiemu powierzono kierowanie komisją wojskową. Podjął działalność na szeroką skalę widząc w komisji przyszłe ministerstwo spraw wojskowych, a jednocześnie przez cały czas stawiał wobec państw centralnych żądania realizacji aktu listopadowego.

Wybuch rewolucji lutowej 1917 roku uświadomił Piłsudskiemu, że Rosja przestała zagrażać, a na placu boju pozostały dwa państwa centralne. Już 27 marca Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych wydała orędzie, które głosiło między innymi, że demokracja w Rosji ma stać na stanowisku uznania samookreślenia politycznego narodów i oznajmiało, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym.

Piłsudski znalazł się w trudnej sytuacji. Wojna przeciw Rosji u boku państw centralnych straciła sens, w dodatku wszystko wskazywało na to, że z wielkiej światowej wojny państwa te wyjdą jako pokonane.

Bieg wydarzeń raz jeszcze okazał się dla Piłsudskiego korzystny. W lipcu 1917 roku Niemcy zażądali od legionistów złożenia przysięgi, w której tekście było zawarte między innymi: *„...przysięgam, że w wojnie obecnej dotrzymam wiernie braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier oraz państw z nimi sprzymierzonych..."*

Piłsudski uznał, że przysięgi składać nie należy. Motywy chwilowego sojuszu z państwami centralnymi były już nieaktualne. Postanowił nie podejmować jednak walki zbrojnej z Niemcami. Namawiającym go do tej walki oficerom odpowiedział: *„Nie czas! Chwila nieodpowiednia. Naród znękany rekwizycjami, wygłodzony, wystraszony represjami nie powstanie, nie podtrzyma nas... szliście na pola bitew umierać za Ojczyznę, teraz idźcie za nią do więzienia..."*

22 sierpnia 1917 roku Józef Piłsudski został aresztowany i osadzony w twierdzy w Magdeburgu.

Jednakże państwa centralne w obliczu pogarszającej się sytuacji militarnej, dążyły do poprawy nastrojów na ziemiach polskich. We wrześniu 1917 roku dwaj cesarze wydali reskrypt, w którym stwierdzili, iż pragną kontynuować budowę państwa polskiego zgodnie z manifestem z 5 listopada 1916 roku. Najwyższą władzę państwową oddano w ręce powołanej Rady Regencyjnej, którą tworzyli: arcybiskup Aleksander Kakowski, książę Zdzisław Lubomirski i Józef Ostrowski.

Tymczasem w Warszawie coraz bardziej uaktywniała się konspiracyjna Polska Organizacja Wojskowa. Przygotowywała się, aby wcielić w czyn słowa Józefa Piłsudskiego, wypowiedziane wiosną 1917 roku do grupy zaufanych osób: *„...jesteśmy za słabi, aby zarżnąć wroga, ale jesteśmy dostatecznie silni, aby go dorżnąć..."*

Szykowano się do generalnego uderzenia na jesień 1918 roku, zakładając, że wtedy właśnie nastąpi zakończenie wojny.

7 listopada 1917 roku rozpoczęła się w Rosji socjalistyczna rewolucja, zmieniając w zasadniczy sposób układ międzynarodowych stosunków politycznych. 15 listopada została uchwalona Deklaracja Praw Narodów Rosji do swobodnego samookreślenia się, aż do oderwania się i do utworzenia własnego państwa.

Jesienią 1913 roku wybuchła rewolucja w Berlinie. Wpływy rewolucji rosyjskiej objęły także swym zasięgiem ziemie polskie. W pierwszych dniach listopada powstały w Zagłębiu Dąbrowskim pierwsze oddziały Czerwonej Gwardii.

10 listopada 1918 roku, zwolniony na prośbę Rady Regencyjnej, wrócił z więzienia w Magdeburgu Józef Piłsudski. Na wieść o jego powrocie oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej uderzyły na garnizon niemiecki. 11 listopada 1918 roku był dniem rozbrajania okupantów w Warszawie.

16 listopada 1918 roku Józef Piłsudski, jako Wódz Naczelny, w depeszy iskrowej wysłanej do „...rządów wszystkich państw wojujących i neutralnych" notyfikował powstanie Państwa Polskiego.

ZENON JANUSZ MICHALSKI ■

# Jacy jesteśmy?

## Polski charakter narodowy

Celem niniejszego szkicu jest próba odpowiedzi na trzy pytania. Po pierwsze — jaki jest nasz, polski, charakter narodowy? Po drugie — co zadecydowało o takim kształcie naszego charakteru? Po trzecie — jakie wnioski i postulaty wynikają z naszych cech narodowych?

Przez charakter narodowy rozumiem **dominujący** wśród danego narodu **typ** osobowości. Z tym, że owa dominacja może być pojmowana dwojako: że większość narodu ma bardzo zbliżone postawy do skonstruowanego modelu, lub że ci najbardziej zbliżeni do modelu odgrywają wiodącą rolę w narodzie. A jeszcze inaczej charakter narodowy można by określić jako *stereotyp postępowania członków narodu.*

Istoty polskiego charakteru narodowego upatruję w tragicznej przepaści między ZAMIARAMI I ZDOLNOŚCIAMI a PRAKTYKĄ ŻYCIA CODZIENNEGO. Nasze zamiary, deklaracje i zdolności są bardzo wielkie, wzniosłe i szlachetne, zaś praktyka życiowa jest dość uboga materialnie i moralnie. Wspaniałe możliwości pozostają nie spełnione, nie mogą się jakoś urzeczywistnić. Na tę sprzeczność możliwości i rzeczywistości oraz charakterystyczną **dwoistość** naszego narodu często zwracali uwagę poeci, pisarze, uczeni, politycy — ludzie wrażliwi i spostrzegawczy, o silnych postawach patriotycznych.

W pochodzącej z 1832 roku III części „Dziadów" Adama Mickiewicza znajdujemy niezwykle znamienny i często cytowany fragment, w którym literat Nabielak i Piotr Wysocki krytycznie oceniają elitę narodu. Ten ostatni powiada:

*„Naród nasz jak lawa,*
*Z wierzchu zimna i twarda,*
*sucha i plugawa,*
*Lecz wewnętrznego ognia*
*sto lat nie wyziębi;*
*Pływajmy na tę skorupę*
*i zstąpmy do głębi".*

Podobnie Juliusz Słowacki wskazywał na olbrzymią różnicę między tym, co z wierzchu i urzeczywistnione, a ukrytym wnętrzem. W słynnym wierszu „Grób Agamemnona", powstałym w 1839 roku, poeta pisał, że nie będzie z Polską dobrze dopóty, dopóki „duszę anielską" będzie „więziła w czerepie rubasznym". Społeczeństwo nasze musi wyzwolić się spod prostackiego czerepu wad. Jest ono bezmyślne i ślepo naśladuje innych.

Dużo interesujących socjologicznie obserwacji i uwag można znaleźć w twórczości Cypriana Kamila Norwida. W 1862 roku postawił ciekawą i — jak sądzę — bardzo trafną tezę:

*„Jesteśmy żadnym społeczeństwem. Jesteśmy wielkim sztandarem narodowym".* A dalej podkreślał, że *„Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo, a pierwszy na planecie naród".*

Norwid wytykał Polakom niedojrzałe i fałszywe pojęcie ojczyzny, która jest dla nich jedynie czymś *„inspirującym tylko, a nie obowiązującym".* I tym tłumaczył naszą *„lotność podrywania się za lada echem — za lada wykrzyknikiem".*
Czego zaś Polacy nie rozumieją? — to tak elementarnej prawdy: *„Że Ojczyzna jest to wielki — zbiorowy — Obowiązek".* Poza tym, zdaniem poety, za późno myślimy, a za wcześnie działamy.

Znany galicyjski działacz gospodarczy i polityczny Stanisław Szczepanowski ubolewał w końcu XIX wieku, że Polacy reagują tylko jedną iskierką ukrytą pod popiołami, związaną z walką na śmierć. Nie trafiają zaś zupełnie do naszego narodu hasła pracy organicznej. Pisał on: *„W każdym Polaku widzę to rozdarcie, tę przepaść pomiędzy ideałem a rzeczywistością, obowiązkiem narodowym a faktyczną nieporadnością i niemocą. (...) Znikczemniały nawet na pozór Polak, gdyby trąbka do boju zagrała, potrafi umrzeć — pójdzie na śmierć. On tylko żyć nie potrafi".*

Na przepaść między zamiarami a rzeczywistością w Polsce zwracał też uwagę Stanisław Wyspiański. Poeta z dramatu „Wesele", podczas rozmowy z Gospodarzem, powiada:

*„Duch się w każdym poniewiera,*
*że czasami dech zapiera;*
*tak by gdzieś het gnało,*
*gnało,*
*tak by się nam serce śmiało*
*do ogromnych wielkich*
*rzeczy,*
*a tu pospolitość skrzeczy".*

Wielkim pragnieniom i aspiracjom wielu naszych pokoleń, jak na ironię, towarzyszyła *„pospolitość niska".* A duża odległość między niebotycznym ideałem i przyziemną realnością paraliżowała wolę. Przyjmowaliśmy bowiem postawę: albo wszystko, albo nic.

Wyspański sugerował, żebyśmy porzucili w końcu przesadne *utopie i zabrali się do solidnego robienia zwykłych rzeczy,* jak to czynią inne narody. Konrad z „Wyzwolenia" mówi do Maski II: *„Ja wiem, czego ty chcesz: że Polska ma być mitem, mitem narodów, państwem ponad państwy, prześcigającym wszystkie, jakie są, republiki i rządy; oczywiście niedoścignym, wymarzonym".* Cel ten — zdaniem bohatera dramatu — nie da się **nigdy** zrealizować. Sam więc pragnie jedynie tego *„co jest wszędzie".*

Ale w następnych latach nadal poszukiwano Polski — mitu. Motyw ten wprowadził również do swej ostatniej powieści Stefan Żeromski. Stary Baryka roztaczał przed synem fantastyczną wizję Polski jako zupełnie nowej cywilizacji szklanych domów. Miały one przewyższać najpiękniejsze pałace arystokracji i wille milionerów amerykańskich. Przeznaczone były dla każdego szarego człowieka: robotnika, chłopa, inteligenta. Szklane miały też być szpitale, szkoły, kościoły i nawet obwałowanie Wisły. Później, po przyjeździe do kraju, Cezary konfrontował ojcowską utopię z ubogą rzeczywistością polsko-żydowskiego miasteczka.

Ciekawą koncepcję typu psychologicznego Polaka przedstawił w latach 1945 i 1946 neurolog krakowski Eugeniusz Brzezicki. Badania i obserwacje, które prowadził od około 30 lat skłoniły go do uzupełnienia znanej typologii Kretschmera (cyklotymik i schizotymik) o trzeci typ — spotykany w szczególności u Polaków — który nazwał skirtotymnym (od greckiego „skirtao" — tańczę, skaczę, kołyszę). Poza Polską typ ten ma często występować u Białorusinów i Ukraińców, mniej zaś we Francji i Włoszech, a prawie wcale w Niemczech. Skirtotymika charakteryzują — według Brzezickiego — trzy podstawowe cechy:

1) słomiany ogień uczuć, który bucha wprawdzie wysoko, lecz jest krótkotrwały, zmienny i wielokierunkowy;

2) życie z gestem i fantazją, próżność i lekkomyślność, indy-

widualizm prowadzący do samowoli, brawura i odwaga (zwłaszcza przy widzach);

3) wytrwałość, cierpliwość i odporność w ciężkiej sytuacji, a miękkość, rozklejalność i lekkomyślność w okresach powodzenia. Skirtotymicy mają dużo dobrych chęci i zamiarów, ale są niewytrwali i przez to nieproduktywni. Ich bogatą wyobraźnia nie idzie w parze z poczuciem rzeczywistości i obowiązkowości. *„Styl życiowy skirtotymików — czytamy — wypływa bardziej z chęci użycia niż z pracy i obowiązku, które uważane są tylko za przykrą konieczność życiową".*

Nieco inny obraz psychiki Polaków prezentował Antoni Kępiński. Wyróżniał on w naszym społeczeństwie dwa przeważające typy osobowości: histeryczny i psychastheniczny. Pierwszy wynika z tradycji szlacheckiej i odpowiada skirtotymikowi Brzezickiego. Cechują go: *„chęć imponowania otoczeniu, efekciarstwo bez poczucia obowiązku, polskie «zastaw się, a postaw się», fantazja graniczące z pseudologią phantastica, uczucia burzliwe, choć płytkie, łatwo i szybko przechodzące z jednej skrajności w drugą".* Natomiast uosobieniem drugiego typu jest polski kmiotek — człowiek cichy, pracowity i obowiązkowy, lecz nie mający inicjatywy i wiary w siebie. Jak z tego wynika naród nasz składa się z ludzi o przeciwstawnych charakterach. Szlacheckiej fanfaronadzie towarzyszy kmiecia pilność. Przy czym zarówno histeria jak i psychastenia oznaczają w psychologii stany nerwicowe.

Podobny, co ciekawe, pogląd o społeczeństwie polskim sformułował już w XIX wieku — zdecydowanie nieprzyjazny wobec nas — Bismarck. Pisał on: „W Polsce istnieją *dwa narody różniące się naturą, obyczajem i całą istotą: szlachta i włościaństwo. Pierwszy jest niespokojny, skory do rozruchów; drugi spokojny, pracowity, trzeźwy".* Twierdził ponadto, że gdyby nie polskie duchowieństwo i szlachta, to Niemcy mogliby z powodzeniem współżyć z naszym ludem. Warto tu jeszcze odnotować, że także pewnego majora USA, który po I wojnie światowej przebywał w Polsce, uderzył olbrzymi kontrast między osobami z ludu a inteligentami. Miał wrażenie, iż są to dwie — przed wiekami ukształtowane — odrębne „kasty".

Histeryka i psychastenika polskiego łączy, zdaniem Kępińskiego, szczególna troska o opinię otoczenia. Obaj przywiązują wielką wagę do tego, co inni o nich pomyślą. Ma to świadczyć o pewnej „niedojrzałości psychicznej", jest charakterystyczne dla wieku młodzieńczego. Czyż więc bylibyśmy narodem infantylnym? A może nasza „młodość" wskazuje, iż dopiero w nadchodzących wiekach Polacy, wraz z innymi Słowianami, odegrają właściwą sobie rolę historyczną? Przypuszczenie takie wyrażali w odniesieniu do Słowian Herder i Hegel.

Antoni Kępiński sądził, że nie obca jest nam nuta „heroiczno-samobójcza" i dostrzegał w naszych zachowaniach jakiś *„cień tęsknoty za bohaterską śmiercią".* Za symptomatyczne uważał początkowe słowa Mazurka Dąbrowskiego, że Polską jeszcze nie zginęła oraz słowa Warszawianki: *„dziś Twój triumf albo zgon".* Przykłady te zresztą można uzupełnić.

Inny nasz wybitny psychiatra Kazimierz Dąbrowski, na pytanie — czy Polacy są znerwicowani? — odpowiedział: *„Raczej psychicznie labilni, to znaczy bardzo chwiejni i nieobliczalni w swoich reakcjach, dlatego tak trudno nimi rządzić, tak trudno u nich o rozsądną i akceptowaną powszechnie dyscyplinę społeczną, która narzuca pewne więzy, ale w zamian zwiększa poczucie bezpieczeństwa psychicznego".* Duszę polską cechuje krańcowy dualizm, który powinny uwzględniać nasze systemy wychowania. Dwoistość charakteru narodowego Polaków dobrze rozumiał i plastycznie ujął, według uczonego, Juliusz Słowacki pisząc o więzieniu anielskiej duszy w czerepie rubasznym.

Już w XIX wieku mówiono, że naród nasz jest wręcz niepoczytalny. Aleksander Wielopolski stwierdził nawet z sarkazmem, że *„Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy!"* Notabene do podobnego wniosku miał potem dojść Józef Piłsudski.

Owa labilność duszy polskiej czyli niestałość i łatwe przechodzenie z jednej skrajności w drugą, z pewnością wpływa na przebieg naszych dziejów. Już Norwid — rzecz znamienna — dostrzegał cykliczne powtarzanie się różnych przypadków i nieszczęść „co piętnaście lat". A przeszło sto lat później, w 1957 roku, poeta i satyryk Leon Pasternak napisał:

*„W mojej ojczyźnie*
*nigdy normalnie,*
*albo wstydliwie,*
*albo nachalnie,*
*albo jest zdrajca,*
*albo jest bożek,*
*albo jest odwilż,*
*albo przymrozek,*
*albo jest klęska,*
*albo powstanie,*
*albo do piwnic,*
*albo na szaniec,*
*albo entuzjazm,*
*albo nie wierzym,*
*albo niech żyje,*
*albo precz reżym,*
*albo milczenie,*
*albo gadulstwo,*
*albo anarchia,*
*albo ni stąd ni zowąd*
*wmordekujstwo.*
*W ostatnim «albie»*
*z rytmem fatalnie,*
*w mojej ojczyźnie*
*nigdy normalnie".*

Nie ma na świecie kraju, który nieprzerwanie rozwijałby się bez żadnych zwrotów i załamań kryzysowych. Cykliczność jest prawem rozwoju zarówno przyrody jak i społeczeństwa. Jednakże w Polsce depresje i wybuchy zbyt często występują w tak dużej skali. Dlaczego? Przyczyn upatrujemy zwykle na zewnątrz — w ustroju, władzy, stosunkach zagranicznych. Odrzucamy natomiast stanowczo podejrzenie, że w nas samych znajduje się główne źródło anomalii rozwojowych. A przecież nie może być przypadkowa zgodność gwałtownych wahań historycznych z labilnością charakterologiczną. Z postawy „wszystko albo nic" rodzą się różne „albo — albo".

Elias Canetti — laureat literackiej Nagrody Nobla z 1981 roku — głosi, że każdy naród ma swój specyficzny „symbol masy". Stanowi on podstawę wyodrębnienia narodu, wyraża w skróconej formie jego ducha, umożliwia samoidentyfikację poszczególnym członkom. Dla Niemców takim symbolem ma być wojsko, odczuwane jako maszerujący las prostych, sztywnych, szorstkich i równoległych drzew. *„Wojsko i las — stwierdza pisarz — złały się dla Niemca na wszelkie sposoby w jedno, nawet jeśli on nie zdawał sobie z tego sprawy".* Z kolei odpowiednim symbolem Anglików jest morze. Francuzów — rewolucja, a Żydów — nieustanna wędrówka po wyjściu z Egiptu.

Co można by uznać za symbol masy Polaków? Moim zdaniem — SEJM i SEJMIK. Instytucja ta ma w Polsce bardzo długą tradycję; wywodzi się z wieców rycerskich i tzw. „sejmów obozowych" znanych już w XIV wieku. Wcześnie ukształtował się trójstopniowy system sejmowania, obejmujący:

1. walny sejm ogólnopaństwowy,

2. generalne sejmy prowincjonalne (wielkopolski i małopolski),

3. lokalne sejmiki ziemskie.

Były to po prostu trzy szczeble samorządu społecznego, równolegle funkcjonujące od drugiej połowy XV wieku.

Z instytucją sejmu i sejmiku ściśle związane są dwie naczelne wartości naszej kultury politycznej: wolność i równość. Każdy poseł mógł mówić co chciał, a jego głos liczył się tak samo jak innych. Naród szlachecki, jeśli nie wojował lub świętował, to obradował. Stąd też Łukasz Opaliński w połowie XVII wieku, pisał: *„Sejmiki to pierwsze pole pracy dla Rzeczypospolitej".* Najlepiej zaś rozumiał znaczenie tej instytucji w historii i kulturze Polski Adam Mickiewicz. W 1843 roku mówił: *„Jądrem narodu polskiego jest zgromadzenie, zebranie wolnych ludzi, sejmik. Dzieje Polski to dzieje ciągu różnych zgromadzeń, zbierających się już to wspólnie, już to oddzielnie, często niezgodnych z sobą, niekiedy wrogich, działających rzekłbyś, bez ustalonego celu. Jest przecież moralne ognisko, a mieści się ono w tak zwanym walnym zgromadzeniu albo zgromadzeniu wolnym: to sejm".*

Każdy pewnie zauważył, że jak dawniej, tak i dziś permanentnie dyskutujemy i wciąż coś uchwalamy. A przy tym kłócimy się, ujawniamy arogancję, nie słuchamy uważnie argumentów innych, przekrzykujemy wzajemnie, przesadzamy w wypowiedziach. I co bardzo ważne: sprawy omówione tylko, traktujemy jak gdyby już załatwione zostały. Duch sejmiku panuje nad nami. Odznaczamy się zdumiewającą wiarą w moc i siłę sprawczą słów i deklaracji.

Z historią sejmu i sejmików związane są tak ważne i polskie instytucje, jak: konfederacja, rokosz, nihil novi, liberum veto, pacta conventa, wolna elekcja, przywileje. Konfederacje szlacheckie pojawiły się już w XIV wieku. Celem ich było usunięcie nadużyć władzy, przeforsowanie określonych postulatów i nawet wyręczanie lub zastępowanie króla. Konfederację w zasadzie mógł zawiązać każdy obywatel dążący do naprawy Rzeczypospolitej albo realizacji własnych interesów. Przez to jednak naprzeciw jednej organizowała się druga i powstawał chaos, który doprowadził państwo do upadku. *„Nikt też inny* — pisał w 1877 roku Michał Bobrzyński — *tylko konfederacja kraj nasz ostatecznie zgubiła".* A w innym miejscu podkreślał: *„Nie mieliśmy rządu i ta jest jedna, jedyna upadku naszego przyczyna".* Sami za to ponosimy winę i nie powinniśmy jej szukać gdzie indziej — uczył autor „Dziejów Polski w zarysie".

Obok konfederacji mieliśmy rokosze — zapoczątkowane w 1537 r. „wojną kokoszą" pod Lwowem — będące buntami zbrojnymi przeciw władzy centralnej. W 1505 r. konstytucja sejmu radomskiego wprowadziła zasadę, według której król nie mógł bez zgody narodu (sejmu) podejmować żadnych ważnych decyzji (nihil novi). Obecny wówczas w Radomiu chan tatarski był zdziwiony, że władca nasz ma tak dużo ludzi do rady, a mało do wojny. W następnym wieku, od 1652 r., utrwaliła się zasada jednomyślności sejmu (liberum veto) — anarchistyczne „nie" stało się środkiem ochrony „złotej" wolności. Od dawna istniała w Polsce wolna elekcja, czyli konkurs na króla. A po śmierci Zygmunta Augusta ustalono, że w wyborach może brać udział cała szlachta (elekcja viritim). W tym samym 1573 roku podpisano umowę społeczną (pacta conventa) między królem a narodem. Nie mógł być z niej zadowolony Henryk Walezy, gdyż praktycznie oznaczała tyle, że naród (szlachta) ma prawa i korzyści, a władza (król) obowiązki i ciężary. Szlachta nasza jak przysłowiowej źrenicy oka strzegła swoich przywilejów, całkowicie przy tym abstrahując od stanu państwa. Nawet w uważanej za postępową Konstytucji 3 Maja zagwarantowano i skrupulatnie wymieniono jej przywileje. *„Szanując pamięć przodków naszych* — czytamy — *jako fundatorów rządu wolnego, stanowi szlacheckiemu wszystkie swobody, wolności, prerogatywy, pierwszeństwa w życiu prywatnym i publicznym najuroczyściej zapewniamy, szczególniej zaś prawa, statuta i przywileje temu stanowi od Kazimierza Wielkiego, Ludwika Węgierskiego, Władysława Jagiełły i Witolda, brata jego, Wielkiego Książęcia Litewskiego, nie mniej od Władysława i Kazimierza Jagiellończyka, od Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I braci, od Zygmunta Augusta, ostatniego z linii jagiellońskiej, sprawiedliwie i prawnie nadane* (sic!), *utwierdzamy, zapewniamy i za niewzruszone uznajemy".* Przede wszystkim zadbano więc o partykularne interesy, choć kraj był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

**EDMUND LEWANDOWSKI**

# 1882 – 1982

# Pamięci Karola Darwina

Gdy przed stu laty, 19 kwietnia 1882 roku zmarł Karol Darwin, po 73 latach niezwykle pracowitego życia, stało się to wydarzeniem w ówczesnej Anglii mimo, że był on postacią dla współczesnych kontrowersyjną. Karol Darwin to przecież twórca teorii doboru naturalnego, wyjaśniającej mechanizmy ewolucji i szokującej dla wielu koncepcji pochodzenia człowieka od zwierzęcych, wspólnych z małpami, przodków. Wzbudzały one uznanie i uwielbienie u jednych, a oburzenie i kategoryczny sprzeciw u drugich, zwłaszcza w kręgach związanych z ortodoksyjnym Kościołem anglikańskim i innymi religiami. Autor „O powstawaniu gatunków droga doboru naturalnego" był nazywany „Newtonem nauki" przez zwolenników, a „najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Anglii" przez przeciwników. Jednakże w obliczu śmierci tego znakomitego Anglika ucichły spory wokół głoszonych przez niego poglądów, które rozpalały emocje nie tylko uczonych, ale również szerokich kręgów społecznych i wynarażono zgodę, by pochowany został w panteonie angielskich uczonych, w północno-wschodniej nawie Opactwa Westminsterskiego obok grobowców I. Newtona, Lorda Kelwina, M. Faradeya i innych. W pogrzebie, który był bardzo uroczysty, i odbył się 26 kwietnia, poza rodziną i przyjaciółmi uczestniczyli wybitni przedstawiciele angielskiego społeczeństwa i świata nauki, a także reprezentanci oficjalni USA, Francji, Niemiec, Włoch, Hiszpanii i Rosji. Na grobowcu widnieje tylko bardzo skromny napis „Charles Robert Darwin ur. 12 lutego 1809, zm. 19 kwietnia 1882".

Niewielu jest uczonych, których odkrycia i głoszone poglądy tak zaważyły na dalszym rozwoju nauki, jak właśnie prace Karola Darwina. Jego teoria doboru naturalnego stała się nie tylko podstawą współczesnego przyrodoznawstwa, a nauk biologicznych w szczególności, lecz także wywarła znaczny wpływ na inne nauki, w tym na filozofię. Termin „ewolucja" został wprowadzony nie przez Darwina, on używał pojęcia „descendencja", a przez wybitnego filozofa angielskiego H. Spencera, gorącego zwolennika idei Darwina. Ewolucję, czyli rozwój uważał on za zasadę powszechnie obowiązującą. Poglądy Darwina wywarły znaczny wpływ na ukształtowanie koncepcji filozoficznych Marksa i Engelsa. Wiadomo, że Karol Marks nosił się z zamiarem zadedykowania Darwinowi angielskiego wydania „Kapitału". Jednakże Darwin nie wyraził zgody, unikał bowiem sytuacji, które mogłyby przeszkadzać w pełnej akceptacji zasady doboru naturalnego przez ogół świata naukowego. Engels zaś w swych pracach nawiązywał do myśli Darwina. Jest to swoisty paradoks, że Darwin, absolwent wydziału teologicznego Uniwersytetu w Cambridge, został autorem koncepcji, które legły u podstaw naukowego materializmu. Wierzył on bowiem głęboko w możliwość racjonalnego wytłumaczenia zjawisk otaczającego świata.

**Niezwykła była droga Darwina do kariery naukowej jako przyrodnika.** „Najważniejszym — jak sam pisze w swej autobiografii — wydarzeniem mego życia była podróż na okręcie „Beagle". Czułem zawsze, że podróży tej zawdzięczam moje pierwsze prawdziwe wykształcenie". Uczestniczył w niej jako „naturalista", którego zadaniem było dokonywanie i notowanie obserwacji oraz zbieranie, konserwowanie, katalogowanie i przygotowywanie do transportu do Anglii wszelkich okazów z zakresu zoologii, botaniki, geologii i paleontologii. Podróż ta prowadziła dookoła świata, trwała 5 lat, od roku 1831 do 1836. Zaobserwowane wówczas fakty, żmudne dalsze badania, a także wszechstronne zainteresowania, doprowadziły go do opracowania teorii odrzucającej koncepcję stałości przyrody i niezmienności gatunków. Została ona opublikowana w roku 1859 w dziele „O powstawaniu gatunków droga doboru naturalnego, czyli o utrzymywaniu się doskonalszych ras w walce o byt". Dziełem tym Darwin zapoczątkował nową erę rozwoju nauk biologicznych, zmienił obraz świata widziany przez naukę, wprowadził nowe zasady metodologiczne w naukach biologicznych, a także w wielu dziedzinach stworzył zupełnie nową problematykę. Teoria doboru naturalnego ma u podstaw zjawisko powszechnej zmienności, i ograniczonej rozrodczości spowodowanej walką o byt, która powoduje, że przeżywają osobniki najlepiej przystosowane. Darwin myśli te sformułował następująco w swym dziele: „W przeżywaniu najbardziej przystosowanych osobników i ras, w ciągłej walce o byt, widzimy potężną i nieustannie czynną formę doboru". Teoria ta tłumaczy zarówno różnorodność i bogactwo form świata organicznego, jak i mechanizm powstawania gatunków.

Drugim paradoksem dzieła Darwina było to, że w znalezieniu odpowiedzi na pytanie jak zmieniają się dziko żyjące gatunki pomogły mu nie prace innych biologów, pionierów myśli ewolucyjnej, jak Lamarck, lecz dzieła uczonych reprezentujących inne dyscypliny jak np. znakomitego geologa angielskiego K. Lyella „Podstawy geologii", z którego przejął zasadę aktualizmu stwierdzającą, że w przeszłości działały te same siły i czynniki, które kształtują powierzchnię ziemi i obecnie, czyli teraźniejszość jest kluczem do przeszłości. Zasada ta, nadzwyczaj ważna, przeniesiona przez Darwina do nauk biologicznych pozwoliła w oparciu o badania współczesnych organizmów wypowiadać się, jak kształtowały się dzieje życia w przeszłości. Zastosował ją Darwin m.in. przy opracowywaniu swej koncepcji pochodzenia człowieka. Opierając się wyłącznie na metodzie badań porównawczych: anatomicznych, embriologicznych, fizjologicznych, i psychologicznych, bez uwzględnienia materiałów kopalnych, które w zasadzie były wówczas nieznane, wysunął on 4 hipotezy — człowiek i małpy są ze sobą blisko spokrewnione (1), zarówno człowiek, jak i małpy człekokształtne mieli wspólnego przodka (2), który żył w Afryce (3), w okresie mioceńskim (4). W ciągu 110 lat, które minęły od opublikowania przez Darwina rozprawy „O pochodzeniu człowieka" można było zweryfikować jego poglądy. Okazało się, że zostały one na gruncie poznanych dotychczas faktów w pełni potwierdzone. Jest to przykład świetnie ilustrujący skuteczność metod pracy Darwina, jak i jego niezwykły dar prawidłowego kojarzenia faktów i wyciągania z nich wniosków.

Natomiast koncepcję walki o byt jako czynnika selekcjonującego organizmy, a więc podstawowego dla mechanizmu przemian ewolucyjnych, zaczerpnął Darwin z dzieł klasyków ekonomii angielskiej A. Smitha i T. Malthusa oraz matematyków — statystyków. Geniusz Darwina pozwolił mu dostrzec w ich koncepcjach nie zawsze sprawdzających się i przyjmowanych w ekonomii, zjawiska ogólniejsze, występujące powszechnie we wzajemnych relacjach między żywymi organizmami. Mogły więc one stanowić klucz do rozwiązania zagadki mechanizmu selekcji i doboru dziko żyjących organizmów.

Jest to rzadki przypadek w dziejach nauki, by teoria naukowa jaka jest teoria doboru naturalnego przetrwała 100 lat od śmierci jej twórcy niekwestionowana i właściwie nie zmieniona. Zwracają na ten fakt uwagę autorzy prac i artykułów poświęconych 100 rocznicy śmierci Darwina, jakie ukazują się obecnie w literaturze światowej. Trzeba jednak dodać, że w ostatnich latach pojawiają się koncepcje, których autorzy nieco inaczej niż Darwin i jego kontynuatorzy — neodarwiniści, jak Mayr, Simpson i inni wyjaśniają mechanizm i przebieg ewolucji. To koncepcje krytyczne wychodzą jednakże od wybitnych specjalistów ewolucjonizmu, a nie od przeciwników ewolucji.

Jakkolwiek wymieniane już prace: „O powstawaniu gatunków" i „Pochodzenie człowieka", a także „Dobór płciowy" i „Zmienność zwierząt i roślin w stanie udomowienia" stanowią jego najwybitniejsze osiągnięcia w zakresie teoretycznym ewolucjonizmu, to jednak nie można zapominać, że był on niezwykle wszechstronnym uczonym i nie ograniczył się do prac z tej dziedziny. Zostawił również trwały dorobek w publikacjach pionierskich i podstawowych z zakresu zoologii, botaniki, etologii, a nawet geologii i paleontologii. Przedstawiona przez niego teoria powstania wulkanicznych wysp oceanicznych i raf koralowych jest aktualna do dnia dzisiejszego. Natomiast duże znaczenie dla praktyki hodowlanej miały prace: „O skutkach krzyżowania i samozapylenia roślin" i „Zmienność roślin i zwierząt w stanie udomowienia".

Należy również podkreślić, że ten wybitny dorobek naukowy, którym Darwin wyprzedził epokę, osiągnął badacz który działał jako prywatny uczony, nie był nigdy zatrudniony w żadnej instytucji naukowej. Umożliwiła mu to korzystna sytuacja materialna, żył bowiem z kapitałów i honorariów za publikacje.

Wkrótce po powrocie z podróży na „Beagle" ożenił się i osiadł w swej posiadłości położonej w małej miejscowości Down. Opuszczał ją coraz rzadziej, nabawił się bowiem w Ameryce Płd. ciężkiej choroby prawdopodobnie pasażytniczej, na skutek której z trudem się poruszał i okresami cierpiał na dotkliwe bóle. Nie zarzucał jednak pracy z tego powodu, był tytanem pracy. Jeszcze na dwa dni przed śmiercią pracował. Był on w ogóle człowiekiem niepospolitym, odznaczał się wielką siłą charakteru, był bardzo systematyczny i obdarzony nieprzeciętnym darem dokonywania obserwacji, krytycznym i wszechstronnie uzdolnionym. Wyróżniał się także jako człowiek nadzwyczaj wyrozumiały i wielkiej dobroci dla najbliższych i przyjaciół, którym zawsze gotów był przyjść z pomocą. Warto również podkreślić, że jego żona Emma, z domu Wedgwood była utalentowaną pianistką, jedną z angielskich uczennic Fryderyka Chopina.

Pragnąc złożyć hołd pamięci tego znakomitego Anglika Telewizja Angielska przygotowała serial o jego życiu, którego emisję rozpoczęła TvP w sobotę 10.04. br. Zapowiada się on bardzo interesująco. Film ten ukazuje jeszcze jedną cechę charakteru Darwina, nieczęsto spotykaną w ówczesnym społeczeństwie angielskim, mianowicie wrażliwość na cudza niedolę i kategoryczne potępienie niewolnictwa, a także przekonanie o biologicznej i społecznej równości wszystkich ludzi.

*Okręt — „Beagle"*

**EDWARD TRANDA**

dr nauk biolog.
Muzeum Zakładu Biologii Ewolucyjnej
Uniwersytetu Łódzkiego

## JAN HUSZCZA

★
★ ★

Szedłem od Oki
Dłuższe miejsce postoju
w Lublinie

Rozdawałem znośną przyszłość
skąpo
ale jednak rozdawałem
dla siebie też
przydział przewidując

Aż
kuśtykający
znalazłem się przed sklepem
w kolejce po chleb

W wierszach z postojów
zostały puste puszki po tuszonce

Dobrze
że mnie nie widzą
bliscy i znajomi
Znaleźli swój piach

Czasem jednak wydaje mi się
że słyszę
jak drapią się
w moją głowę

★
★ ★

Wiklina z baziami
czyli wierzby purpurowej witki.
Co za awantura ze śniegiem?!
Topniejąc rozłażą się drogi,
tylko wieczorem łapie je w uzdy
przymrozek.
I którym iść brzegiem,
bo jest przecię trochę zimy?
Przedwiośnie, przedwiośnie —
i wokół same synonimy!

## Rozmowa

— Ja to, proszę pana,
trzymam zawsze kupę drewek w kącie
(mamy kozę na wszelki wypadek),
w kredensie leży krzesiwo i hubka,
wodę co jakiś czas zmieniam w wiadrach,
zdobyłem lampę
i naftę...
— Atawizm?
Dziadek tego chce? A może mamusia?
— Skądże! Ani dziadek, ani mamusia...
To przez te częste awarie, proszę
pana, a poza tym
miasto, proszę pana, to sprawa bardzo
niepewna...
Zwłaszcza u nas, proszę pana...
Wystarczy, żeby przez trzy dni
śnieżyca
i po mieście, proszę pana...

24.IV.1981

**Jeden z najciekawszych szkiców o twórczości Jana Huszczy pojawił się ostatnio w organie pisarzy ZSRR, miesięczniku „Litieraturnoje Obozrienije" (Moskwa, styczeń 1981). Ten sam szkic w nieco zmienionej formie znalazł się w listopadowym numerze znanego w Polsce miesięcznika „Literatura Radziecka". Przedrukowując go, dodajmy jedynie, że jego autor, z zawodu geolog, jest sam świetnym poetą, aktywnym tłumaczem poezji z angielskiego i polskiego. Za liczne przekłady z naszej poezji otrzymał nagrodę „ZAIKS"-u.**

WŁODZIMIERZ BRITANISZSKI

# Poczucie wspólnoty
## (o polsko-białoruskiej twórczości Jana Huszczy)

Pierwszy tom wierszy Jana Huszczy — „Ballada o podróżnych" ukazał się w 1938 roku w Wilnie, gdzie młody poeta studiował na Uniwersytecie. Ukończył Uniwersytet w 1939 roku. Potem nastąpiły lata tułaczki. Wojsko. Jako oficer oświatowy III Dywizji im. Romualda Traugutta Huszcza przebył drogę od Oki do Wisły — od wiersza „Chwieją sosny dno błękitu...", datowanego „Sielce nad Oką, 7.III.44" do wiersza „Przyczółek pod Warką, sierpień 1944". Jego drugi zbiór poetycki „Pamiętnik liryczny. 1940—1944" ukazał się w 1945 roku w Lublinie. Niemal wszystkie późniejsze jego książki — poezja, proza i przekłady — wyszły z Łodzi, gdzie Jan Huszcza zamieszkał w 1945 roku i mieszka po dziś dzień.

„Te kryształy — pisał o wierszach Huszczy z lat wojny Kazimierz Wyka — powstały pod wielkim ciśnieniem autentycznej tęsknoty, widocznej w każdym utworze, i dlatego tak ostro są obrysowane, ponieważ poeta oczyścił je z każdego zbędnego przydatku". Od tamtego czasu upłynęło wiele wody. „Emocjonalny realizm" poety, jak pisała o liryce Huszczy w latach pięćdziesiątych życzliwa mu krytyka, pogłębił się i skomplikował wchłonąwszy dorobek prozy psychologicznej pisarza. Jamby, trocheje i wiersz toniczny młodego Huszczy ustąpiły w jego książkach miejsca wierszowi wolnemu, w którym Huszcza lat sześćdziesiątych — siedemdziesiątych wykazał się jako twórca oryginalny i niezależny od mody poetyckiej. W poemacie „Fest" (z tomu „Od starorzecza", 1978) rozdziały napisane wierszem wolnym i prozą poetycką tworzą skomplikowaną w swej strukturze, ale organiczną jedność „muzyczną". Przemyślana konstrukcja łączy się z naturalną organicznością również w kompozycji całej książki „Od starorzecza" — tomu wierszy oryginalnych i przekładów.

W książce „Od starorzecza" są przekłady z poezji rosyjskiej — Lermontow i Aleksy Tołstoj, Turgieniew (wiersze prozą), Kuźmin, Achmatowa, Chlebnikow, są przekłady z poezji ukraińskiej — cztery wiersze Łesi Ukrainki; ale otwierają ten dział i dominują w nim przekłady z białoruskiego — 46 wierszy 29 poetów: Janki Kupały i Jakuba Kołasa, Maksima Bahdanowicza i Maksima Tanka, a także autorów liczących niewiele po czterdziestce i jeszcze młodszych.

Przekłady białoruskie opublikowane w tomie „Od starorzecza" to zaledwie znikoma część kolosalnej długoletniej pracy Jana Huszczy, największego w Polsce Ludowej tłumacza poezji białoruskiej. Dziś łatwo jest przekonać się, jak wiele dokonał w tej dziedzinie: ukazały się dwie fundamenalne, rzetelnie opracowane przez niego antologie — „Wiersze białoruskie" (Wydawnictwo Łódzkie 1971) i „Antologia poezji białoruskiej" („Ossolineum", 1978). Nie ulega wątpliwości znaczenie każdej z tych antologii. Przemyślany i niezwykle obszerny wybór autorów. Sumienne przekłady (Huszcza korzystał z pomocy głównie swoich ziomków — poetów łódzkich, ale podstawy konstrukcji obu tomów są jego własne, i sam on nadał główny ton). Rzetelne przedmowy i noty o autorach. Antologia 1978 roku opatrzona jest przypisami. Ale szczególną wartość mają te dwie antologie razem wzięte. Druga zaczyna się od białoruskich pieśni ludowych i wierszy anonimowych autorów, a kończy się Maksimem Tankiem. Pierwszą otwierają wiersze Janki Kupały i kończą utwory młodych poetek białoruskich urodzonych w latach 1945—1948. Antologie tworzą dwutomowy wybór, jakkolwiek tom „pierwszy" ukazał się później, a tom „drugi" — wcześniej. Zaznaczę, że między 1971 a 1978 rokiem Huszcza ogłosił też drukiem tomik przekładów z Maksima Bahdanowicza.

Właśnie na Białorusi poznałem Jana Huszczę osobiście. Było to jesienią 1976 roku podczas Dni Literatury Polskiej. W pewnym sensie były to również „dni Jana Huszczy". W świeżym wrześniowm numerze białoruskiego miesięcznika „Połymia" duży cykl przekładów Maksima Tanka ze współczesnej poezji polskiej otwierał przekład wiersza Huszczy „Miesiące". Lada dzień miał się ukazać wybór prozy Huszczy w języku białoruskim. A jego nazwisko wymieniali wszyscy występujący w owych dniach na spotkaniach i wieczorach pisarze i krytycy białoruscy, którzy co i raz wspominali pierwszą polską antologię poezji białoruskiej i jej twórcę. Słowa były różne, ale niezmiennie życzliwe — nie pamiętam wszystkich, przytoczę jedynie Uładzimira Kaleśnika, który poświęcił szczegółowej analizie antologii 1971 roku duży artykuł. Kaleśnik podkreśla, że „bez olbrzymiej pracy twórczej Jana Huszczy, bez jego umiłowania poezji białoruskiej i wreszcie bez jego odwagi podjęcia się niełatwego zadania i odpowiedzialności — długo by jeszcze nie było w Polsce antologii białoruskiej", wskazuje on na takie walory antologii, jak „wysoka kultura estetyczna" i „szacunek dla wiersza białoruskiego, który mimo zewnętrznej prostoty i komunikatywności wcale nie jest łatwy do tłumaczenia".

Wyznam szczerze, że dopiero wtedy, jesienią 1976 roku na Białorusi, uzmysłowiłem sobie i oceniłem wyczyn twórczy Huszczy — tłumacza. Ale równocześnie wyznam, że słuchając wyrazów wdzięczności pisarzy białoruskich dla Huszczy — tłumacza, myślałem o jego własnej poezji i prozie, o jego najnowszych — w owym czasie — tomikach poezji „Stara pijalnia" (1968) i „Rozmowy i zaklęcia" (1973) oraz o innych, wcześniejszych. A także o tym, jaką właściwie rolę grają w jego własnych książkach tłumaczenia, które włącza do tkanki swoich zbiorów poetyckich, opowiadań autobiograficznych i eseju biograficznego o Syrokomli. Ma się rozumieć to, że Huszcza „zrównał w prawach" swoje przekłady białoruskie z własnymi wierszami, zamieszczając je w swoich książkach nieraz nawet w postaci całych rozdziałów, świadczy, jak poważnie traktuje on swoją pracę tłumacza. Ale można białoruskie przekłady Huszczy uznać za uzupełnienie, komentarz „białoruskich" wierszy i poematów samego Huszczy. I wtedy okazuje się, że drogi leśne i kałuże na tych drogach z wiersza Maksima Bahdanowicza „Starość" włączonego przez Huszczę do tomika poezji „W kwieniu czajek" (Warszawa 1959) i z wiersza Huszczy „Syrokomla", opublikowanego w tymże zbiorze, są te same. Że te same — białoruskie — brzozy i jeziora otaczają umierającego starego lirnika z młodzieńczego wiersza Maksima Tanka włączonego przez Huszczę do swojej książki 1959 roku i zakochanego chłopaka z wiersza samego Huszczy „Wspomnienie" (z książki 1957 roku).

*„chmury szły nad borem nisko,*
*gdy zostawiałem usta, dłonie.*
*Wołałem wtedy, myśląc o niej:*
*Jezioro! Brzozo! Wrzosowisko!..*

Huszcza ma cykl wierszy „Notatki znad jezior", napisany na Pojezierzu Mazurskim, gdzie bywał często w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Ale poza szkicami z natury poświęconymi poszczególnym konkretnym jeziorom, w liryce Huszczy spotykamy często motyw jeziora jako takiego. Niekiedy jezioro jest u niego metaforą autentycznej żywej poezji (w odróżnieniu od „zmistyfikowanych źródeł", nad którymi pochylają się snobi i esteci i „z których nigdy nie wytryśnie woda"). Kiedy indziej zaś topos jeziora związany jest z „sercową topografią" poety, z krajem jego dzieciństwa, lat pacholęcych i młodości, krajem lasów, bagien i jezior — z Białorusią. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że również jeziora mazurskie Huszcza pokochał, gdyż przypominały mu one jeziora białoruskie.

Podobnie rzeki Huszczy, poza rzadkimi wyjątkami, kiedy zostały wymienione z nazwy (Oka w wierszach wojennych czy Wisła w powojennych) to rzeki poezji, rzeki życia, rzeki historii, lecz równocześnie — rzeki białoruskie. Najczęściej są to dwie rzeki: „dwóch rzek srebrne pluski" (wiersz z 1954 roku), lub „przyjazny plusk obu rzek, szukających wspólnie jakiegoś Bałtyku" (w prozie poetyckiej poematu „Fest" w książce z 1978 roku). Jest to Dźwina i wpadająca do niej Dzisna. W miejscu, gdzie Dzisna wpada do Dźwiny, znajduje się miasteczko Dzisna, kilka wiorst stąd, w Zagościniu, urodził się w 1917 roku Jan Huszcza. Już sama nazwa „Zagościnie" budzi skojarzenia historyczno-literackie: w Zaosiu urodził się Mickiewicz, w Załuczu przez wiele lat mieszkał Syrokomla.

Autobus wiezie nas z Mińska do Nowogródka. Obok stacji Stołbce przejeżdżamy przez most na Niemnie, skręcamy z szosy i jedziemy na północ. Po prawej stronie pozostawiamy wieś Żukow Borok, w pobliżu której znajdował się kiedyś chutor Załucze. A my jedziemy do Mira z jego zamkiem — pierwowzorem zamku Horeszków: zaczynają się okolice związane z topografią „Pana Tadeusza".

Pierwszy raz rozmawiałem z Huszczą w muzeum Mickiewicza w Nowogródku. Tego samego dnia staliśmy w milczeniu nad brzegiem Świtezi, pod rdzawymi już po jesiennemu dębami, z których spadały żołędzie. A potem autobus zawiózł nas z powrotem do Nowogródka — tu, na wieczorze w klubie fabryki wyrobów metalowych przy ulicy Mickiewicza, Huszcza recytował swój wiersz „Świteź".

*...Ciągi kaczek nad pomarszczoną wodą*
*Horyzonty zapadają za lasami*
*Wkoło drzewa w czerwieni*
*jesienne egzekwie...*

Postać Mickiewicza pojawia się (przy czym nie natrętnie; zamiast imienia zaimek) dopiero na samym końcu:

*...ten*
*który pozostawił ciebie w spadku*

Ten napisany w 1970 roku wiersz zamieszczony w książce z 1973 roku znałem już przedtem. Ale dopiero teraz zrozumiałem „nagle", że przecież Huszcza jest rzeczywiście spadkobiercą Mickiewicza. Że obok pojęcia „szkoły ukraińskiej" w poezji polskiej (Antoni Malczewski, Seweryn Goszczyński, poniekąd również Juliusz Słowacki), pojęcia obiegowego dla historyków literatury polskiej i nawet nieco wytartego od zbyt częstego używania, mogłoby istnieć — nie dla „symetrii", lecz w imię prawdy historycznej i sprawiedliwości, a co najważniejsze, w imię głębszego zrozumienia wielu utworów poetyckich — pojęcie „szkoły białoruskiej". Mickiewicz i Syrokomla. I jeśli współczesnym poetą polskim „szkoły ukraińskiej" jest — w wielu swoich książkach poetyckich — Jarosław Iwaszkiewicz, urodzony i wychowany na Ukrainie, to współczesnym poetą polskim „szkoły białoruskiej" jest — zwłaszcza w swej późnej liryce — Jan Huszcza. Myśl, że późna liryka Iwaszkiewicza jest „polsko-ukraińska", nasunął krytykom i literaturoznawcom sam Iwaszkiewicz. Po spotkaniu białoruskim uświadomiłem sobie, że również poezję Jana Huszczy można właściwie odczytać i zrozumieć tylko jako poezję „polsko-białoruską". Dopiero wtedy w pełni odczułem całą zawiłość biografii wewnętrznej poety polskiego, urodzonego i wychowanego wśród Białorusinów, i całe znaczenie jego niepowtarzalnych doświadczeń jako pisarza i człowieka dla dalszego, głębszego zbliżenia kultury polskiej z białoruską.

A potem pożegnaliśmy się w hotelu w Mińsku. Huszcza wrócił do Łodzi, ja — do Moskwy. Moje myśli — od polsko-białoruskich więzi literackich, kulturalnych i historycznych — wróciły do stałego swego przedmiotu — poezji polskiej jako takiej, do wewnętrznych, immanentnych właściwości jego rozwoju. Ale to, co zrozumiałem wtedy, w Nowogródku i nad Świtezią, nie opuszczało mnie. I im uważniej wczytuję się od owego czasu w wiersze poetów polskich minionego i niniejszego stulecia, którzy urodzili się i wychowali na Ukrainie i Białorusi, tym oczywistsze jest dla mnie, że taka poezja „polsko-ukraińska" czy „polsko-białoruska" za każdym razem okazuje się przy tym — choć zakrawa to na paradoks — intensywnie polska. Poeci, którzy swym życiem, biografią, sobą poznali język i kulturę swoich słowiańskich sąsiadów, wzbogacili własną twórczość i własny język. Ma to, jak sądzę, dwie przyczyny. Po pierwsze, znajomość sąsiednich języków słowiańskich, naturalnie pr dziwa znajomość („Mowę polską i białoruską usłyszałem chyba równocześnie" — pisze Huszcza o swoim wczesnym dzieciństwie w przedmowie do białor..skiego ydania swej prozy) czyni poetę dwakroć bogatszym. Po drugie, sama polszczyzna owego *środowiska polskiego, w którym kształtowali* się poeci polscy pochodzący z kresów, czyli z ziem zamieszkałych przez Ukraińców i Białorusinów, była bogatsza, gdyż więcej się w niej zachowało archaizmów, więcej było nowych żywych dialektyzmów rodzących się w skomplikowanym współdziałaniu z sąsiednim językiem słowiańskim oraz bezpośrednich zapożyczeń z tego sąsiedniego języka.

Oto jeden przykład. Artykuł Uładzimira Kaleśnika o antologii białoruskiej Jana Huszczy nazywa się „Pierwszy wyraj". Słowo „wyraj" istnieje również w języku polskim. Rozpowszechniło się tam dzięki Mickiewiczowi, który objaśnia je w „Panu Tadeuszu" wskazując, że wzięte zostało z „mowy gminnej". Lingwiści polscy notują to słowo jako gwarowe, ale nie jest wykluczone, że Mickiewicz zapożyczył je z „mowy gminnej" Białorusinów, u których żyje ono po dziś dzień, jest rozpowszechnione i posiada wiele znaczeń.

Swoista polska kultura kresów nie ograniczała się jednak do języka. Kiedy Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" nazywa Soplicowo „centrum polszczyzny" (w odróżnieniu od sfrancuziałej Warszawy początków XIX wieku), ma on na myśli nie tylko język, ale też patriarchalny staropolski styl życia, dawne obyczaje. Właśnie tu, na peryferiach kultury polskiej, Jan Huszcza mógł jeszcze zastać w dzieciństwie relikty etosu czasów „Pana Tadeusza", podobnie jak autor „Pana Tadeusza" zastał jeszcze w dzieciństwie relikty obyczajów siedemnastowiecznej Rzeczypospolitej, epoki wojen szwedzkich i Sobieskiego. Ów koloryt staropolski, który poeci polscy powojennej generacji usiłują wskrzesić jako coś cennego i już utraconego, Jan Huszcza (podobnie jak Iwaszkiewicz lub Kazimiera Iłłakowiczówna, której dzieciństwo upłynęło na Witebszczyźnie) posiada od urodzenia.

Tematyka białoruska i koloryt staropolski nie wyczerpują całego bogactwa twórczości łódzkiego poety. Trzydzieści sześć lat życia w przemysłowej Łodzi, jednym z największych miast Polski, również nie minęły dlań bez śladu. Tom wierszy z 1973 roku nazywa się „Rozmowy i zaklęcia" — ludowe zaklęcia, które Mickiewicz odtworzył w „Dziadach", którymi tak zachwycał się Błok, utkwiły w pamięci również Huszczy, podsłuchane w dzieciństwie, ale w jego książce przeplatają się one z rozmowami miejskimi, też jak gdyby podsłuchanymi i nagranymi na taśmie przez współczesnego dziennikarza: w wielu wierszach późnego Huszczy, nieoczekiwanie nowatorskich w formie i gatunku, widzimy wyraźnie ślady dawnych doświadczeń dziennikarskich. „Historyk" i „archeolog" Huszcza piszący o Jaćwingach, o których wzmianki znajdujemy w latopisach rosyjskich z X i XI wieku i „Słowie o wyprawie Igora", potrafi pisać również o tym, co się dzieje w wieku XX. A potężne korzenie jego „dwusłowiańskiej" poezji pozwalają wierzyć, że drzewo to będzie trwałe.

(„Literatura radziecka" 11/1981)

■

ZDZISŁAW KŁAPCIŃSKI

# Festiwalowe problemy

Tradycja festiwali wywodzi się ze starożytnej Grecji. Na zorganizowanym przez Pizystrata w 534 r. p.n.e. pierwszym festiwalu dramatycznym Tespis zdobył pierwszą nagrodę za jedną ze swych sztuk. Od czasów Peryklesa (ok. 500—429 r. p.n.e.) Wielkie Dionizje stanowiły odświętne wydarzenie nie tylko w życiu religijnym, ale i artystycznym. Dawni dramaturdzy, Ajschylos, Sofokles, rywalizowali z sobą w agonach tragików — zgłoszone i zaakceptowane wstępnie tragedie były wystawiane a następnie oceniane i nagradzane. Do dziś zachowały się protokoły z owych konkursów.

Festiwale nowożytne początkowo poświęcone muzyce, zrodziły się w krajach niemieckich w XIX stuleciu. Pierwszy wielki festiwal — święto chórów Wirtembergii, z udziałem zagranicznych związków śpiewaczych — odbył się w 1827 roku. Może nie będzie od rzeczy dziś kiedy często narzekamy na festiwalomanię, wspomnieć na marginesie, że na przestrzeni dwudziestu lat (1826-46) w Niemczech zorganizowano aż 355 festiwali!

W latach czterdziestych XIX wieku zaczęto festiwale organizować również we Francji.

Pierwsza wielka impreza tego rodzaju — z udziałem Napoleona III — odbyła się w Pałacu Przemysłu, w Paryżu w 1857 roku. Brało w niej udział 3 tysiące śpiewaków, reprezentujących 172 towarzystwa śpiewacze.

Pierwsze nowoczesne festiwale dramatyczne to przeglądy realizacji dzieł wybranych autorów. W 1864 roku w Monachium zaprezentowano 12 spektakli sztuk Lessinga, Goethego i Schillera. Od 1879 r. w Stratfordzie nad Aronem — prezentowane są sztuki Szekspira.

Współczesne festiwale dramatyczne tradycją sięgają roku 1920. W tym właśnie roku, latem w Salzburgu — gdzie już od roku 1877 odbywały się festiwale „Mozartowskie" — Max Reinhardt zrealizował swą ideę festiwali dramatycznych. Wielkie międzynarodowe festiwale w Avinionie, Edynburgu czy Holand Festival, powstały po wojnie, w 1947 roku. W 1954 zorganizowano Festival de Paris, który stał się zalążkiem Teatru Narodów. Dla ścisłości dodajmy, że miejscem festiwali, które zdobyły wielką renomę są takie miasta, jak Berlin (Berliner Festwoche), Florencja, Bergen, Nancy, Epidauros, Nowy Sad oraz... Wrocław i Warszawa.

Pierwszym ogólnopolskim festiwalem teatralnym, którego finał odbył się w 1947 roku w Warszawie był Festiwal Szekspirowski. Zdaniem historyka teatru St. Marczaka-Oborskiego impreza ta „ożywiła ambicje teatrów, nadała im pewną rangę, przyniosła parę nowatorskich inscenizacji". Rok 1949 przyniósł Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich — „największy festiwal jaki kiedykolwiek miał u nas miejsce; wzięły w nim udział wszystkie teatry i prawie wszyscy wybitniejsi twórcy. Plonem festiwalu było sześćdziesiąt inscenizacji". W roku 1952 Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych, w czasie którego przedstawiono pięćdziesiąt siedem widowisk. W swym założeniu festiwal ten miał być formą konfrontacji dokonań i stymulować twórczość współczesnych dramatopisarzy polskich. W formie zmodyfikowanej Festiwal Polskiej Dramaturgii Współczesnej odbywa się od 1960 r. we Wrocławiu.

Od 1959 roku w Toruniu odbywa się Festiwal Teatrów Polski Północnej. Impreza ta, konfrontująca dorobek teatrów skupionych w jednym rozległym rejonie Polski, dzięki swojej wysokiej randze artystycznej uzyskała rezonans ogólnokrajowy i cieszy się zainteresowaniem do dzisiejszego dnia.

W rok po Toruniu pojawiła się druga lokalna inicjatywa, w Kaliszu — Kaliskie Spotkania Teatralne. Szczepan Gąssowski w „Gazecie Poznańskiej" (nr 121 z 1961 r.) komentował: „W okresie kiedy teatry polskie zaczął coraz bardziej nawiedzać impas artystyczny i ideowy i kiedy tym samym również dawał się odczuć poważny kryzys na widowni, wszelkie tego rodzaju inicjatywy mogą tylko przynieść ogólny pożytek: z jednej strony wpłynął w jakimś stopniu na podniesienie poziomu artystycznego poszczególnych zespołów startujących w turniejach poprzez ambicje aktorskie, reżyserskie, repertuarowe: z drugiej zaś — rozbudza zobojętniałą nieco od pewnego czasu naszą publiczność do aktywnego udziału w życiu teatralnym".

Festiwale zaczęły się mnożyć, jak grzyby po deszczu. W 1978 r. było już ich osiemnaście, w dwa lata później — 23. W roku ubiegłym Słupsk upominał się o „swe prawa", ale skończyło się na zorganizowaniu przeglądu i to wysiłkiem miejscowym. Powiodło się Łodzi — znów mamy spotkania baletowe.

„Umieranie" jednych i „rodzenie się" innych nowych form festiwali wydaje mi się zdrowe. Świadczy to o żywotności polskiego środowiska teatralnego. Niewątpliwe jest także społeczne znaczenie części festiwali. Jest rzeczą przecież pewną, że festiwal teatralny organizowany w mieście skazanym na co dzień na to, co oferuje mu jeden tylko teatr, ma swe i odświętne i czasem poznawcze znaczenie. Festiwale naruszają inercję miejscowego teatru i widzów teatralnych. Winny jednak być nie tylko użyteczne, ale i bronić się swym poziomem. Tknęliśmy sprawy bolesnej, wstydliwej i stosunkowo mało ogółowi znanej, mianowicie problemu utraty znaczenia i spadku poziomu festiwalowych form. Okazało się bowiem, że nie zawsze ilość przechodzi samoczynnie w jakość. Życie narzucało konieczność rezygnacji z konsekwentnego realizowania założeń. Trudności techniczne spowodowały np., że na VI Rzeszowskich Spotkaniach Teatralnych nie pokazano najbardziej interesujących spektakli sezonu 1966/67. Jakże też często prezentowane są na festiwalach spektakle niesprawdzone, których premiera odbywa się tuż „przed". Że dobrze jest sprawdzić spektakl świadczy decyzja dyrektora Gawlika podjęta w 1980 r. Do Kalisza na XX KST — jak podaje program — miał przyjechać „Romans z wodewilu". Po premierze ukazały się nieprzychylne recenzje. Teatr Stary wycofał się z poprzednim kandydatem, wystawił do konkursu spektakl Grzegorzewskiego, który wygrał festiwal. Tylko trzy nagrodzone na Kaliskich Spotkaniach Teatralnych przedstawienia miały wcześniej duże powodzenie i w swoim teatrze. Nagrodzonym festiwalowo też nie lepiej wiodło się w następnym sezonie. To znaczy oczywiście, że nie zawsze najwybitniejsze spektakle przyjeżdżały nad Prosnę. A może jurorzy się mylili?

Na I Konfrontacjach Opolskich w 1975 r. rozdzielono ogółem 26 nagród w różnych kategoriach, z czego osiem nagród aktorskich przypadło Teatrowi Powszechnemu z Warszawy za „Sprawę Dantona" St. Przybyszewskiej. Czy nie za dużo?

Nie w pełni można się też zgodzić z faktem przyznania nagród aktorskich i to za główne i konstruktywne dla dramatu postacie Gustawa — Konrada w „Dziadach" Adama Mickiewicza w opolskim spektaklu przygotowanym przez Tomasza Zygadłę — w przedstawieniu uznanym przez krytykę, publiczność a także jurorów za nieudane. Równocześnie na tychże samych IV Opolskich Konfrontacjach w 1978 roku pominięto aktorów ze „Snu srebrnego Salomei" J. Słowackiego prezentowanego przez Teatr Narodowy, nagrodzonego za reżyserię i inscenizację opartą o rzetelną pracę z aktorem.

Po VII KST w 1967 r. krytycy wyjechali z „kacem" — „Jury tegoroczne — to znowu odrębne zagadnienie. Nieporozumienia zaczęły się już od samego składu osobowego a zaaprobowanego przez organizatorów. Skutki tych nieprzemyślanych propozycji okazały się przysłowiowym kijem o dwóch końcach. Osoby nagrodzone werdyktem jury na pewno na wyróżnienie nie zasłużyły i co do tego nikt nie miał żadnej wątpliwości". (Szczepan Gąssowski „Gazeta Poznańska" nr 116 z 1967 r.).

Śmiechy i protesty kwitowały werdykt jury XX KST przyznający 6 nagród sztuce „Dziesięć portretów z czajką w tle" w reż. J. Grzegorzewskiego, podczas gdy „Trenom" reżyserowanym przez A. Hanuszkiewicza i w wykonaniu Teatru Narodowego dał wyróżnienie jednej tylko wykonawczyni i nie dostrzegł reżysera. Zdziwienie publiczności budziło niedostrzeżenie spektaklu gospodarzy — „Czekając na Godota". Ponoć prywatnie jeden z jurorów mówił, że jest to niesprawiedliwe i należało przyznać jedną lub dwie nagrody aktorskie.

Wielokrotnie słyszało się sceptyczne sądy o festiwalu wrocławskim.

Decyzje o jakich była wyżej mowa są nieodwołalne. Wywołują zbyteczne i niekorzystne dla imprezy i ludzi w niej zaangażowanych opinie i sądy, które krążą w środowisku teatralnym i wśród publiczności. Może więc organizować festiwale bez nagród, tak jak to ma miejsce na Spotkaniach Jeleniogórskich, czy na Międzynarodowych Spotkaniach Teatralnych w Warszawie?

Próbowano tak eksperymentować w Toruniu w 1965 r. Żelazna kandydatka do nagrody do dziś tego przeboleć nie może... A inni protestowali. Nagrody przywrócono.

Jak więc przywrócić rangę festiwalom, zwłaszcza tym o których krytyka od dobrych czterech lat mówi z troską?

Przede wszystkim trzeba sobie jasno postawić cel, a tym niewątpliwie jest stymulacja i rozwój teatru. Tego nie da się osiągnąć bez autentycznej konfrontacji bez rzeczywistej wymiany doświadczeń. W sytuacji kiedy zespoły konkursowiczów rozmijają się, o tym ostatnim być mowy nie może. A o innych rozwiązaniach na razie marzyć nie ma co — koszty są zbyt duże.

Co się da zrobić?

Najpierw: regulamin powinien być ściśle określony. Jakkolwiek stosowanie jednolitych kryteriów w ocenie dzieła teatralnego czasami jest niemożliwe, trzeba precyzyjnie opracować system nagradzania i wyróżniania, dając jednocześnie punkt pozwalający jury podjęcie innej decyzji. Po drugie obowiązkiem organizatorów jest odpowiednie skompletowanie jury. Mobilizacja festiwalowa nastąpi wtedy tylko, kiedy werdykty będą sprawiedliwe. Wystarczy zwykły obiektywizm, czasami zgodność z odczuciami publiczności i obserwatorów. Przypuszczam, że inne kryteria niebawem dorzuci — przewidywana już w 1980 r. przez Ministerstwo Kultury i Sztuki — konieczność samookrślenia. Dobrze byłoby, aby oprócz imprez poświęconych określonej tematyce, przeglądów regionalnych utrzymały się festiwale prestiżowe.

P.S.: Czy Państwo wiedzą, że problemy z jurorami mieli także starożytni Grecy?

Pierwsze zwycięstwo, 28-letni wówczas, Sofokles odniósł nad starym mistrzem Aischylosem w sytuacji dość niezwykłej. Opinia widzów, którzy obejrzeli utwory obu poetów, przychylała się na stronę Sofoklesa. Kierujący konkursem obawiał się, że sędziowie, w normalny sposób wybrani, nie będą mogli zdecydować, po czyjej stanąć stronie. Do uczestnictwa w sądzie zaprosił najwyższych urzędników ateńskich, strategów. Oni właśnie przyznali Sofoklesowi pierwsze zwycięskie laury.

# Pełnomocnictwa recenzenta

## (III)

**Raz jeszcze zacznijmy od pieca, od eseju Jerzego Stempowskiego „Pełnomocnictwa recenzenta" (pierwodruk w czasopiśmie „Pióro" z 1938 r., przedruk w numerze 8/1958 „Dialogu"), z którym zgadzam się tak głęboko, że ośmieliłem się nawet zapożyczyć tytuł od znakomitego krytyka.**

Stempowski powiada — przypomnijmy — iż zróżnicowana pod względem wykształcenia, gustów estetycznych i upodobań publiczność współczesna dawno już przestała obdarzać recenzenta mandatem zaufania, a zawarte w sprawozdaniach osądy bynajmniej nie skłaniają widza do wyboru tego czy innego spektaklu. Pełnomocnictw do oceny przedstawień nie udziela również wydawca, bo choć dobrze napisany felieton teatralny może być niekiedy ozdobą czasopisma, to brak podobnego felietonu — zwłaszcza w gazecie codziennej — nie wywołałby żywszych protestów ze strony czytającej publiczności.

Sprawę pełnomocnictw ze strony wydawcy należałoby jednak skomentować, jako że we wczesnych latach powojennych, w dobie walki o ciasno, schematycznie, wulgarnie pojmowany realizm, recenzja — nie tylko teatralna zresztą — miała niekiedy wagę wyroku, potrafiły nad nią tygodniami debatować redakcyjne kolegia, zdarzały się też recenzje nie podpisane, wyrażające niejako oficjalny osąd gazety. Potem to się wszelako zmieniło, ideologię przestano mieszać z estetyką, czy z poetyką tylko, hasło o „rozkwitaniu stu kwiatów" dość szybko przyjęło się na polskim gruncie, a jeżeli instancje partyjne bywały niekiedy mieszane w spory między recenzentami a teatrami, działo się to najczęściej za sprawą samych teatrów, szukających jak gdyby neutralnego arbitra.

Jedną z ostatnich takich scysji rozgrywających się na łódzkim gruncie bardzo pięknie i rozsądnie rozstrzygnął ówczesny sekretarz propagandy KŁ PZPR Zbigniew Faliński, który wysłuchawszy rozeźlonych artystów Teatru Wielkiego powiedział coś w tym guście: — Drodzy towarzysze, gdyby szło o kwestie ideologiczne, instancja czułaby się oczywiście zobowiązana do zajęcia stanowiska, ale — o ile dobrze rozumiem — chodzi jedynie o sprawy czysto artystyczne, a do tego nie czujemy się upoważnieni wtrącać. Zaprosiliśmy przedstawicieli teatru, zaprosiliśmy recenzentów, chętnie użyczyliśmy wam sali, a teraz — proszę — podyskutujcie sobie sami....

Za szyk słów oczywiście nie ręczę, ale sens był dokładnie taki i coś mi się zdaje, że ten kubeł zimnej wody taktownie wylany na rozpalone głowy zrobił nam wszystkim bardzo dobrze. No bo jakże można równocześnie żądać, aby partia pozwalała na maksymalną swobodę twórczej wypowiedzi, a zarazem zabawiała się w jakiegoś super-recenzenta kontrolującego czy aby szeregowi recenzenci są sprawiedliwi aż do samiutkiego końca?!

Tak więc i ten mandat wygasł, powracamy tedy do Stempowskiego.

*„Najsilniejsze oparcie* — przytaczam ten fragment ponownie, przedłużając jednak cytat — *recenzent znajduje u dyrektora teatru. Ten ostatni nie przywiązuje większej wagi do opinii recenzenta i przez to samo już w granicach swoich wpływów uznaje prawo recenzenta do tzw. libra examen. Kierownik przedsiębiorstwa teatralnego jest osobą najbardziej zainteresowaną w zachowaniu przy życiu tego rodzaju literackiego i osób uzdolnionych do jego uprawiania. Gdyby dla tych czy innych przyczyn osób takich zabrakło, i recenzje zniknęły ze szpalt prasy, dyrektorzy teatrów musieliby własnym kosztem starać się o przywrócenie stanu poprzedniego.*

*Recenzent teatralny posiada zazwyczaj pewną niewielką pozycję społeczną i towarzyską wynikającą z jego zawodu. We wszystkie dni uroczyste otrzymuje zaproszenie do pierwszych rzędów krzeseł. Jest gościnnie witany za kulisami. Urzędnicy teatralni kłaniają mu się pierwsi. Publiczność pokazuje go palcem jako jednego z notabilów. Tę niewielką pozycję daje mu środowisko teatralne. Recenzent w miarę tego jak coraz mniej był delegatem publiczności i wydawców, stawał się coraz bardziej człowiekiem teatru".*

Jeżeli zgodzimy się z tą myślą, jeżeli uznamy, że mandat recezenta jest pośrednio udzielany przez teatr (pośrednio, gdyż choć teatr potrzebuje recezenta, to przecież go nie wybiera i nie opłaca), łatwiej nam chyba będzie odnaleźć właściwe miejsce w szyku.

Recenzent — powinienem się tu chyba wyraźnie zastrzec, że chodzi mi o recenzenta właśnie, autora krótkich sprawozdań pisanych najczęściej w kilka dni po premierze, nie zaś o krytyka publikującego w fachowych czasopismach i z pewnego oddalenia, dystansu, próbującego dokonywać pewnych uogólnień, bądź też poddającego konkretny spektakl szczegółowej analizie — otóż recenzent podsuwa wprawdzie teatrowi lustro, przede wszystkim jednak reprezentuje teatr wobec publiczności, jest heroldem, zwiastunem scenicznych dokonań. Jest, a może raczej powinien być, zgadzam się bowiem ze Stempowskim, iż pochlebna recenzja bynajmniej nie ściąga widzów do teatru, tak jak zła wcale tychże widzów nie odstrasza.

O przyczynach mówiliśmy już wcześniej — recenzent zwraca się do czytelnika, o którego gustach, upodobaniach, ba, stopniu przygotowania teatralnego nic właściwie nie wie, a że uparcie stara się być obiektywny i chce trafić do wszystkich, w rezultacie nie trafia niemal do nikogo. Potencjalny widz może i czyta nawet recenzję, dokonuje jednak wyboru posługując się własną wiedzą — mówi mu coś tytuł sztuki, zna nazwisko reżysera — bądź korzystając z „recenzji mówionej", opinii znajomych o dobrze sobie znanych gustach.

I w tej zbieżności gustów tkwi, jak sądzę, cała sprawa. Nie należę do kinomanów, filmy oglądam raczej rzadko, wybierając — co przyznaję z niejakim wstydem — pozycje łatwiejsze, bardziej relaksowe (świetnie relaksuję się np. na horrorze, za to na komediach kiepsko...). W pewnym sensie jestem więc w sytuacji przeciętnego teatralnego widza, który też nie czuje się zmuszony do snobistycznego „zaliczania" tzw. wydarzeń, a chciałby się w teatrze wzruszyć, odpocząć, uśmiać, co tam kto woli. Cóż tedy mogę zrobić, gdy ja z kolei wybieram się do kina? Zasięgnąć porady Iksa, bo Iks wie co lubię, bądź — przypadek, traf prawdziwy, człowieka znam bowiem tylko z okienka telewizora — przeczytać Kałużyńskiego. Kałużyński ma wyraziste upodobania, zadziwiająco z moimi zbieżne. Lubi Kurosawę, co modne i godne, ale potrafi też rozsmakować się w mniej nobliwej fantastyce, no i tak dalej, i tak dalej. Nie mogę więc wprawdzie powiedzieć — wracam do opowiadanej przez Stempowskiego historii opata i kleryka — że to ja, widz, wysyłam Kałużyńskiego do kina, aby w moim imieniu zdegustował parę filmów, ale mam przyjemną świadomość, iż znalazłem w Kałużyńskim kipera na którego gustach mogę śmiało polegać. Dla kogoś innego owym właściwym kiperem może być oczywiście inny recenzent, przedtem jednak ów recenzent musi swoje gusta uczciwie i jasno określić.

Tylko w historii literatury — a więc i dramatu także — jest tak uroczo i pięknie, że każdy twórca ma swoją szufladkę, a na szufladce etykietkę z wypisaną rangą. Szekspir był wielki, Molier był wielki, Lope de Vega był wielki (ale trochę mniej jakby), parunastu czy parudziesięciu wielkich i mniej wielkich też by się jeszcze znalazło. A jeżeli ja nie lubię Moliera, nie trawię go po prostu, tak jak Karol Irzykowski nie trawił, to co? Mam pisać wbrew sobie, pomny iż Molier geniuszem był i zajmuje własne miejsce w historii dramatu, czy też mam się do tej niechęci przyznać? W pierwszym przypadku wysmażę recenzję mdłą i nieszczerą, którą nikogo raczej przekonać nie zdołam, w drugim — narażę się polonistom (o romanistach już nie wspominając) i nie daj boże zamącę w głowach uczniakom, może jednak ktoś z widzów powie „oho, a więc nie ja jeden na Molierze się nudzę". Jeżeli zaś szczęśliwym przypadkiem spotkamy się potem drugi, trzeci i czwarty raz na tej samej „długości fali", ów anonimowy widz zechce mnie może uznać za swojego kipera, tak jak ja Kałużyńskiego uznałem?!

Zachodząc rzecz od innej strony powiedzmy tak oto: próżno się starać, iżby każdy widz oglądał każdy spektakl z jednakowym ukontentowaniem. Jeżeli więc recenzent ma teatrowi służyć, jeżeli chce mu towarzyszyć w sukcesach, czy klęskach nawet, winien nade wszystko zadbać, aby właściwy widz trafił na właściwe przedstawienie. Wypisywane przy okazji laurki czy przygany, komplementy czy złośliwostki są — jestem o tym doprawdy głęboko przekonany — sprawą drugorzędną, nie ważącą ani na losie teatru, ani na losie aktora, choć doraźnie, na godzin czy dni parę, mogącą kogoś ucieszyć bądź zadrasnąć. Wiem dobrze, ile się na mnie wyłoszczono, wiem też, ile się złoszczono na innych, co parę lat pojawia się jakiś „młody gniewny", który próbuje obalać dyrektorskie trony i wprowadzać własne miary wartości, z owych czupurnych poczynań rzadko kiedy coś jednak wynika. Mimo wszystko — choćby dla podgrzania atmosfery wokół teatru, dla higieny psychicznej — tacy recenzenci też są niezbędnie potrzebni; trudno, ktoś musi robić za ordynusa i brutala, a gdyby nie było chętnych trzeba losować, albo wyznaczać wedle alfabetu... Żartuję, ale trochę tylko, chwaląc wszystkich po równi nikogo się bowiem nie chwali, a zapieszczając — zanudza przy okazji.

Zaś co do publiczności, to pisując o teatrze ćwierć wieku z górą zaledwie parę razy — i to doraźnie tylko zdołałem w jakimś tam stopniu wpłynąć na frekwencję, a i to nie przez mnożenie określeń „genialne", „wspaniałe", „przecudowne", lecz w możliwie atrakcyjny sposób streszczając sztukę, której tytuł mało co komu mówił. Sposób nie jest nowy, genialnie stosował go Boy, stąd piekielna nośność jego recenzji, choć samemu teatrowi, inscenizacji i wykonaniu Boy zazwyczaj poświęcał mało uwagi.

No i na tym — prawdę powiedziawszy — wybór by się kończył. Jeżeli nam się zdaje, że mamy coś ogromnie ważnego do powiedzenia teatrowi, umówmy się z dyrektorem na towarzyską herbatkę, chcąc jednak coś powiedzieć publiczności i mieć w dodatku nadzieję, że zostaniemy wysłuchani, możemy jedynie iść śladami Boya bądź Kałużyńskiego, choć Kałużyński — zważcie państwo — też streszcza.

Recenzja typu Boya nie jest właściwie recenzją, teatralnym felietonem raczej (oby jednak umieć go tak błyskotliwie napisać!), ma jednak tę zaletę, iż czytelnik bez natrętnego podpowiadnia sam potrafi się z niej rozeznać, zainteresuje go sztuka, czy też raczej nie bardzo. Wzór ten polecałbym raczej gazetom codziennym, a że łódzki „Express" poprosił mnie iż bym wypełnił wytworzoną lukę i przynajmniej przez czas jakiś zajął się bieżącą sprawozdawczością teatralną, postaram się go na tych gościnnych łamach w miarę skromnych sił stosować.

W „Odgłosach" — gdzie ostatnio pełnię wprawdzie rolę współgospodarza, lecz o teatrze pisywać będą różni autorzy — próbowałbym natomiast absolutnej szczerości, ekshibicjonizmu niemal. Czytelnik ma swoje gusta, ja swoje, coś mnie nudzi, coś drażni, coś uwielbiam, nie musimy się zgadzać, nie musimy być w upodobaniach jednacy, ale „casus Kałużyńskiego" może się przecież powtórzyć i dla tej szansy próbować warto.

Natomiast wypisywanie cenzurek, aptekarskie wyważanie zasług i grzeszków, przydaje się wprawdzie do teatralnej dokumentacji, czytelnika natomiast obchodzi bardzo, bardzo mało. Albo nic zgoła, co byłoby już ogromnie smutne.

JERZY PANASEWICZ

# Dwa spojrzenia na Strindberga

# Heystowie — tu i teraz?

*Motto: „Niekiedy i zacny Homer się zdrzemnie".*

Musiałoby to być wybitne dzieło, żeby w każdym czasie i miejscu mogło widza poruszyć, niezależnie od tego czy odbierałby je on zbieżnie czy rozbieżnie z intencjami twórcy. „Wielkanoc" jest zresztą do tego stopnia nie znana ze słyszenia polskiemu widzowi, że jej tytuł już prędzej mu się skojarzy z międzywojenną Schillerowską premierą „Historyi..." Jana z Wilkowiecka (tej samej, którą przed kilkunastu laty wystawiał w Łodzi Dejmek) lub z powojenną sztuką Stefana Otwinowskiego, niż z nazwiskiem Strindberga.

Na jaki oddźwięk może liczyć sztuka nie będąca arcydziełem, której akcja odbywa się w kraju, gdzie kradzież spotyka się z tak silnym potępieniem opinii, że winowajca i jego najbliżsi uginają się pod brzemieniem wstydu i hańby? Do jakiego stopnia, może to wciągnąć widownię w społeczeństwie, w którego sferze pojęć „rok nie wyrok" (zwłaszcza, jeśli winowajca per saldo wyszedłby na swoje)?

Rzecz dzieje się w społeczności, w której wyższe motywacje, w tym przypadku religijnej natury, i to protestanckie, ustanawiają normy postępowania, a szczęścia każą upatrywać w spokoju sumienia. Bo nikt z człowieka ciężaru win nie zdejmie, u żadnego konfesjonału nie usłyszy on upragnionych słów: „Ja cię rozgrzeszam", po których mógłby się poczuć lekki jak ptaszek, aż do następnego razu. W ubiegłowiecznym, skandynawskim luteranizmie, gdzie te sprawy brano bardzo serio, każdy wiedział, że o zbawieniu decyduje niemal wyłącznie łaska Boża, na której pozyskanie uczynki nie mają istotniejszego wpływu i nie wiadomo nigdy czy cieszyć się z cierpień jako z promyka szansy zesłanej przez Boga, czy uznać je za widomą oznakę niełaski i zapowiedź wiecznego potępienia. Czyż nie pobrzmiewa w tym starotestamentowe, fatalistyczne przekonanie, że kryteria sprawiedliwości, jaką kieruje się Jahwe, nie są do objęcia ludzkim rozumem?

Więc jak odbieramy to dziś u nas — pogodni relatywiści moralni, — ufni w wyrozumiałość dobrego Boga wobec katolickiego plemienia Polaków, przedkładających niekłopotliwą dewocję nad utrudzające dociekania teologiczne (ideologiczne!), z których Bóg jeden wie, jakie by trzeba wysnuć moralne nakazy, jakie sobie narzucić wyrzeczenia i ograniczenia? Oglądamy sztukę o Wielkanocy, a właściwie o Wielkim Tygodniu, na której ani razu się nie zakąsza, a tylko odprawia masochistyczne rodzinne rekolekcje i obfitymi łzami opłakuje — przy wtórze fisharmonii — mękę Ukrzyżowanego, także i przez to, że się ojcu rodziny powinęła noga, ale znów nie tak bardzo, bo co to jest rok.

Jak by więc wystawić tę sztukę, której dramat — w bardziej przyziemnym wymiarze — sprowadza się do obawy, że przyjdzie wierzyciel i ogołoci mieszkanie z mebli. Ta brutalna prawda prześwituje przez zasłonę mistycznej egzaltacji, potem znów znika z pola widzenia. Bo a nuż wierzyciel się nie upomni? Wszystko wszak w ręku Najwyższego. Dopiero, gdy onże Lindkvist pojawia się w drzwiach, nikomu już nie w głowie moralne rozterki, bo ostatecznie musi jakoś człowiek mieszkać. Tylko syn malwersanta, Elis Heyst zgrywa się do końca na wzniosłego moralnie. Ale co w tym jest intencją autora, a co zamierzeniem realizacji scenicznej — trochę trudno wyrozumieć.

Czy nie należałoby może stworzyć dystansu, nawet satyrycznego dystansu w stosunku do ideowo-moralnych przesłanek utworu, aby obnażyć niehumanistyczny sens bezwzględnej penetracji życia osobistego jednostki i współżycia zbiorowego przez mistyczną doktrynę, zamiast przejmować ten bagaż z „dobrodziejstwem inwentarza"? Na szczęście nie jestem reżyserem, a gdybym nim był, to zapewne nie ryzykowałbym wystawienia „Wielkanocy", wyrzekając się splendoru polskiej prapremiery.

Ubolewam, iż jako szeregowy widz nie potrafiłem zdobyć się na lojalne podporządkowanie całej uwagi temu, co rozgrywa się w czasie i przestrzeni zamkniętej ramami utworu, rozpatrywać przedstawienia jako bytu samoistnego, chwilami bowiem nasuwały mi się rozmaite odniesienia do życia, jakim ono bywa poza sceną. Nie przeczę, że to trochę nie fair wobec spektaklu.

Zwierzę się jeszcze, że nie wiem też, jak bym sobie poczynał z rolą Elisa („Jakże bym zagrał Hamleta, gdybym w ogóle grać umiał!"). Żeby uwiarygodnić tę kabotyńską i skrajnie egoistyczną osobowość, znaleźć do niej jakiś „klucz" może poczytałbym sobie przedtem „Braci Karamazow", postarał się poobcować z nimi za pan brat. A może po prostu **MARIUSZ WOJCIECHOWSKI** został nietrafnie obsadzony? Panie chyba miały lepiej. **ALICJA ZOMER** — pani Heyst i **MAŁGORZATA ROGACKA — WIŚNIEWSKA**, jako Krystyna, narzeczona Elisa, wygrały co tam było do wygrania. Przed bodaj trudniejszym — i wdzięczniejszym — zadaniem stanęła **BOŻENA MILLER-MAŁECKA** (studentka PWSFTviT, jako Eleonora, córka Heystów, żarliwa religijnie aż do granic psychopatii, niezbyt odpowiedzialna życiowo (sprawa kwiatów), to nadmiernie ożywiona, to pogrążająca się jakby w somnambulicznym transie. Z chwalebnym umiarem i dyskretnym rysem komizmu wcieliła się w postać dojrzewającego uczuciowego gimnazjalisty **HANNA BIELUSZKO.**

No i jedyny w całym tym towarzystwie prawdziwy człowiek z krwi i kości, przybysz z realnego świata, oceniający ludzi zdrowymi miarami wartości, **BOGUSŁAW SOCHNACKI** jako Lindkvist. Dobrze, że się w ogóle pojawił, bo bez wprowadzenia tej postaci i wygłoszenia przez nią dobitnie i jasno charakterystyki moralnej Elisa, autor raczej nie zdołałby nas przekonać co on jest wart.

# Augusta Strindberga dłużnicy i wierzyciele

Sztuki Strindberga niestety niezbyt często goszczą na naszych scenach. Niezbyt chętnie też — co po prostu trzeba sobie jasno powiedzieć — ogląda je publiczność. Czasem, gdy za sprawą wykonawców, inscenizacje jego dzieł stają się koncertami gry aktorskiej, tym właśnie charakterem skupiają na sobie uwagę widzów. „Ojciec" czy „Panna Julia" są dla wyrobionej publiczności zawsze interesującymi pozycjami repertuarowymi. Nigdy jednak nie stają się sukcesami kasowymi prezentujących je teatrów.

August Strindberg, którego utwory przewijają się przez nasze sceny, jest z jednej strony ciągle w teatrze polskim obecny, z drugiej zaś wydaje się pozostawać poza głównym nurtem jego zainteresowań repertuarowych i dokonań inscenizacyjnych. Ta jego niby to stała obecność w repertuarze naszych scen przypomina kłopotliwą sytuację niezbyt pożądanego gościa, którego podejmuje się „dla honoru domu" z cichą nadzieją, że nie zabawi w nim zbyt długo, a powróci niezbyt szybko. Czy dzieje się tak dlatego, że ani naturalizm, ani symbolizm zarówno w „czystych" postaciach, jak i — co spotykamy w utworach Strindberga — nie znalazły w dramaturgii polskiej pełnego artystycznego wyrazu, czy też o takim właśnie rodzaju percepcji sztuk autora „Panny Julii" decydowała i nadal decyduje ich problematyka, klimat i nasz sposób ich prezentacji — trudno dziś dociekać. Dzieje inscenizacji dramatów Strindberga na polskich scenach są dość skomplikowane. Układają się one w historię ich trudnej, ale zawsze tylko połowicznym zwycięstwem uwieńczonej walki o pełne i z całą pewnością należne im uznanie polskiego widza.

Pojawia się August Strindberg na polskich scenach najczęściej wtedy, gdy teatry nasze nie znajdują w najusilniejszych nawet poszukiwaniach repertuaru doraźnie „aktualnego"; repertuaru, który „korespondowałby" bądź „odzwierciedlał". Inscenizacjami jego sztuk teatry polskie interesują się w myśl wielce u nas krzywdzącej klasykę zasady, która każe grywać ją wtedy, gdy „nie ma co grać", choć właśnie ona stanowić może niewyczerpane źródło zarówno głębokiej wiedzy o człowieku i świecie, jak i inspiracji do równie głębokiej refleksji o uniwersalnym i ponadczasowym charakterze. Reakcje krytyki — bo jakże często sami oszołomieni rytmem i rodzajem towarzyszących naszemu życiu zdarzeń o charakterze politycznym i społecznym dziwimy się „nagiej" i doraźnie nie dającej się uzasadnić obecności na scenie „Hamleta" bądź „Króla Edypa" — sprawiają, iż każdą kolejną tego typu decyzję repertuarową teatry podejmują z uczuciem desperacji, gdy tymczasem w przekonaniu o słuszności tych decyzji (pod warunkiem podejmowania ich we właściwych dla współczesnego teatru proporcjach) powinniśmy owych rzekomych tylko desperatów podtrzymywać. Współczesny i przyszły teatr oraz jego współczesna i przyszła publiczność są i będą dłużnikami klasyki. Współczesna dramaturgia tworzy ją dla przyszłych pokoleń. Nazbyt często jednak te już zaciągnięte długi wydają się nam ciążyć, choć przecież powinniśmy traktować je jako wielce zobowiązujące nas długi wdzięczności.

Naszym wierzycielem nazwał Strindberga Jean-Paul Sartre, a charakter zaciągniętego u autora „Ojca" długu współczesnych mu i przyszłych pokoleń najpełniej określił Tomasz Mann pisząc o nim, iż *„Jako twórca, myśliciel, prorok, prekursor nowego spojrzenia na świat za bardzo wybiegał naprzód, aby dzieło jego w najmniejszym bodaj stopniu mogło się zestarzeć i utracić siłę oddziaływania. (...) Stojąc poza szkołami i prądami, a zarazem ponad nimi, Strindberg łączy je wszystkie w sobie. Ten naturalista i neoromantyk jest również prekursorem ekspresjonizmu, zasługując na wdzięczność całego pokolenia, które hołdowało temu kierunkowi, i jest zarazem pierwszym nadrealistą — pierwszym w każdym tego słowa znaczeniu. A przy tym w jego wrodzonym awangardyzmie tkwi wiele stabilizujących elementów tradycji."*

Współczesny teatr, jest więc, jak widać, doprawdy wiele winien Augustowi Strindbergowi. Równie dużo jako wnikliwemu badaczowi natury ludzkiej, znawcy praw rządzących człowiekiem, odkrywcy dla teatru całej złożoności jego konstrukcji psychofizycznej i podświadomości zawdzięcza Strindbergowi współczesny widz. Warstwa obyczajowa jego utworów nie jest dla polskiego widza szczególnie bliska, to prawda. Przesłanie filozoficzne i moralne jego dramaturgii jest jednak uniwersalne, mimo, że podyktowane rygorami i wymogami innego niż katolicki Kościoła, wydawać się może nazbyt ostre i imperatywne. Potrzeba przestrzegania imperatywu kategorycznego tak wyraźnie zaostrza się w naszych czasach, że rygoryzmowi moralnemu, jaki wnoszą na nasze sceny niektóre dramaty Strindberga winniśmy się przynajmniej dokładnie przyjrzeć.

Ogląd, analizę i ocenę rozmaitych postaw moralnych, na których skupił swe zainteresowanie August Strindberg zaproponowały ostatnio w tym samym niemal czasie dwa teatry. Łódzki TEATR IM. JARACZA przygotował na swojej dużej scenie polską prapremierę „Wielkanocy", warszawski TEATR „ATENEUM" zaprezentował „Wierzycieli".

„Wielkanoc" będąca znakomitym studium udręki oparta jest w swej warstwie fabularnej o rzekomo tylko banalne zdarzenie. Ojciec ogólnie szanowanej rodziny sprzeniewierzył pieniądze powierzonych jego opiece sierot. Złoczyńcę spotkała za to zasłużona i wymierna kara, ale ciężar jego winy (bo nie tylko hańbiący sam w sobie fakt odbywania kary) spadł na jego rodzinę, co z kolei dla niej stało się karą przynoszącą skutek w postaci cierpienia niewymiernego. Psychologiczne studium członków tej rodziny daje nam obraz cierpienia „czystego", obraz czegoś, co nazwać można absolutem udręki. Fakt, iż sztukę swą opatrzył Strindberg tytułem „Wielkanoc" tylko pozornie wynika z czasu, w jakim rozgrywa się jej akcja. Pozornie — bo mogłaby się ona toczyć w każdej innej porze roku. Wielkanoc i jej kalendarzowa pora są naturalnym symbolem naturalnego biegu wszystkich rzeczy, symbolem odrodzenia, budzenia się do życia. Każdy powrót do życia możliwy jest pod warunkiem naprawienia zła. Do tego zaś — mówi Strindberg — zobowiązani są wszyscy, niezależnie od indywidualnej interpretacji wzajemnych zależności między winą a karą, niezależnie od stopnia oceny własnego w akcie zła udziału. Różne postawy ludzkie w tej właśnie kwestii przedstawia Strindberg w „Wielkanocy". Ku jednym zdaje się skłaniać, inne wyraźnie potępia, ale utwór jego, co w ocenie tej sztuki jest kwestią najważniejszą, daje pełny ich przegląd. Dla autora sposób wywiązywania się wobec świata z zaciągniętych u niego moralnych zobowiązań jest równie ważny, jak ich ciężar i rodzaj.

W łódzkim teatrze „Wielkanoc" otrzymała interesujący kształt inscenizacyjny. Dramat ludzi zrujnowanych i dla pełnego oczyszczenia nadal rujnujących się psychicznie toczy się boleśnie wolno. Muszą oni przejść przez wszystkie upokorzenia jakich nie szczędzi im świat, muszą długo cierpieć męką sprawianą sobie wzajemnie. Jedni wyjdą z niej bogatsi o nowe doświadczenia, jakie daje ból, inni muszą obnażyć swą nicość, przyznać się do niej i odrzucić ją, by dane im było doznać oczyszczenia. Powolne tempo spektaklu wyznaczane głównie aż do granic wytrzymałości przeciągającymi się chwilami napiętego milczenia w pełni oddaje zamysł autora, zapisaną przez niego partyturę cierpienia. Reżyser spektaklu BOGDAN HUSSAKOWSKI na czasie niezbędnym dla pełnego wybrzmienia udręki skupił najwięcej uwagi. Ten spektakl grany wartko nie miałby właściwie żadnego sensu, w moim zatem przekonaniu rytm przedstawienia tak organicznie związany z przesłaniem sztuki jest jego największym walorem. Podobnie cennym elementem spektaklu jest scenografia. Jej autor GRZEGORZ MAŁECKI w początkowo niedostrzegalny dla widza sposób zwieńczył realistycznie potraktowane wnętrze domu Heystów wielką cierniową koroną, w którą układają się drewniane wiązania stropu. W jego scenografii nawet meble zdają się cierpieć i czekać przejmując na siebie doświadczenia i przeżycia swych właścicieli. Celnie dobrany w warstwie muzycznej motyw „Siedmiu Słów Chrystusa na Krzyżu" Józefa Haydna podkreśla atmosferę i wymowę spektaklu.

Wizję autora i odpowiadającą jej koncepcję inscenizacyjną reżysera z różnym powodzeniem realizują aktorzy. MARIUSZ WOJCIECHOWSKI w wiodącej roli Elisa Heysta wyraźnie nie radzi sobie z jej ciężarem. Nieumiejętnie rozkłada siły i emocje, czym o tyle zubaża nasz odbiór i interpretację przechodzącej przecież znaczną metamorfozę postawy swego bohatera, iż demaskująco zgoła odsłania ją już w pierwszej scenie, a zatem przestaje skupiać na sobie uwagę w scenach następnych. Tę bowiem niezwykle szybko porzucamy na trzy intrygujące postacie kobiece: narzeczoną, matkę i siostrę Elisa, wśród których najbardziej intrygującą, za sprawą znakomitej w tej roli MAŁGORZATY ROGACKIEJ-WIŚNIEWSKIEJ, okazuje się narzeczona Krystyna. Krystyna jest w interpretacji Rogackiej-Wiśniewskiej tak skupiona, że niemal chłodna, choć przecież w gruncie rzeczy najbardziej pełna wewnętrznego żaru. Aktorka obdarzyła tę postać niezwykle oszczędnym gestem, łagodnym to znów z trudem tłumiącym gorętsze uczucia spojrzeniem, głosem o niemal jednostajnej, ale przecież łagodnie zmieniającej się barwie. Tę rolę Małgorzaty Rogackiej-Wiśniewskiej uważam za prawdziwy popis bardzo już dojrzałego warsztatu aktorskiego. Niezdecydowana co do wyboru środków aktorskiego wyrazu wydała mi się ALICJA ZOMER w roli pani Heyst. Nawet bogactwo stanów psychicznych tej postaci nie usprawiedliwia faktu wykorzystania dla jej sportretowania jedynie skrajnych środków wyrazu. Mimo ubogiego jeszcze warsztatu, ze szlachetnym zapałem podeszła do bardzo trudnego zadania BOŻENA MILLER-MAŁECKA, którą oglądaliśmy w roli Eleonory. Prawdziwą satysfakcję sprawiła widzom HANNA BIELUSZKO w trudnej roli Beniamina. Niewielką rolę BOGUSŁAWA SOCHNACKIEGO publiczność premierowa nagrodziła specjalnymi oklaskami w trakcie granej przez niego sceny, co jest najlepszą jej oceną, której fakt i charakter z przyjemnością odnotowuję.

„Wierzyciele", których dosłownie w tym samym czasie wprowadził do swego repertuaru warszawski Teatr „Ateneum" są podobnie jak „Wielkanoc" sztuką o tak dalece posuniętych zależnościach między ludźmi, że stopień tych zależności i przedmiot odniesienia sytuuje bohaterów na pozycjach wierzycieli i dłużników. W tej sztuce nie chodzi o pieniądze, nie z nimi związane kwestie są pretekstem fabularnym. Tutaj dług zaciągnięty przez bohaterkę stanowi suma uczuć „zainwestowanych" przez dwóch po kolei mężczyzn w rozwój jej osobowości i uczuciowości. Dług ten swą osobistą tragedią spłaci cała trójka bohaterów sztuki. Kobieta będąca nieuczciwym dłużnikiem, który przejąwszy na swoje konto cały zainwestowany kapitał będzie eksploatować go na inne niż określone przez wierzycieli cele spłaci ten dług tragedią śmierci kochanego przez siebie człowieka. Dwóch jej mężów, będących wierzycielami, spłacać go będzie również. Pierwszy będzie musiał nieść ciężar nieszczęścia swojej byłej żony i jej drugiego męża. Drugi — nazbyt gwałtowną chęć odzyskania kapitału uczuć przypłaci śmiercią w momencie uświadomienia sobie własnego bankructwa życiowego. Długi są więc wzajemne, wszyscy słusznie wydają się sobie zarówno wierzycielami jak i dłużnikami.

„Wierzyciele" są bardzo zręcznie pod względem dramaturgicznym napisaną jednoaktówką. Stanowią znakomity materiał dla reżysera i jeszcze wspanialsze tworzywo dla aktorów. Przedstawienie w Teatrze „Ateneum" sprawnie wyreżyserował JANUSZ WARMIŃSKI. Właściwie rozłożył akcenty dramatyczne i świetnym rysunkiem sytuacyjnym punktując najistotniejsze kwestie dialogu nadał spektaklowi wartkie tempo, które skróty tekstu mogłyby jeszcze urytmicznić. Znakomicie wywiązali się ze swych zadań aktorzy. Dzięki nim przedstawienie staje się koncertem gry scenicznej Dwa pierwsze w tym spektaklu miejsca przyznaję ex aequo świetnej doprawdy ALEKSANDRZE ŚLĄSKIEJ i JERZEMU KAMASOWI. W roli Aleksandry Śląskiej tylko scena trywialnej kokieterii wydała mi się nieco ryzykowna. Z mniejszym powodzeniem w postać byłego męża pięknej pani wcielił się MIECZYSŁAW VOIT.

Obydwa spektakle, choć odmienne i z odmiennych powodów wprowadzone do repertuaru (drugi tzn. warszawski, wydaje się być „zaplanowany" właśnie na popis aktorski) w tym samym stopniu dowodzą niezbicie, iż obecność dramatów Strindberga w naszym teatrze nie musi być przypadkowa, ani wymuszona brakiem innych sztuk „do grania", że tłumaczy ją ich głębia i uniwersalny charakter prawdy o człowieku. Ta prawda o człowieku czyni dramaturgię Strindberga niezbędną na naszych scenach w każdym czasie.

**EWA PANKIEWICZ**

*August Strindberg — „WIELKANOC"*
*na zdjęciu: Bożena Miller-Małecka i Hanna Bieluszko.*

Scenografia, wyznam przy okazji (bo nie jest to recenzja) nie przeszkadzała mi absolutnie, a muzyki z „Siedmiu słów Chrystusa" Haydna słuchałem na ogół z większą przyjemnością niż dialogów. A to pewnie dlatego, że nawet najgenialniejszy twórca miewa momenty obniżenia lotu, sądzę, też, że do „Wielkanocy" Jana Augusta Strindberga można z powodzeniem zastosować stare łacińskie porzekadło: „Aliquando bonus dormitat Homerus".

**JERZY KWIECIŃSKI**

Chłopak z dziewczyną, mimo iż trzymają się czule za ręce nie patrzą sobie w oczy. Rozpalone spojrzenia obojga błądzą we wnętrzu secesyjnej szafki-gabloty, gdzie na ciemnym suknie spoczywają kieszonkowe zegarki, wymyślne w kształtach wisiory, piękne bransolety. Obok półka ze świecznikami, dalej srebrne sztućce. Jeszcze kilka papierośnic, jakiś naszyjnik, niewielki dzbanek, puderniczka Do każdego z wystawionych przedmiotów przyczepiona niewielka karteczka z napisem „Desa" i dalej następuje krótka charakterystyka, choć najszybciej rzuca się w oczy starannie wykaligrafowana cena... Kwoty są wysokie, niektóre bardzo, młodzi z widoczną rezygnacją zerkają jeszcze w kierunku sąsiednich gablot, pytają pani siedzącej za niewielkim biureczkiem o jakieś nieistotne szczegóły. Ale nic dziś nie kupią, te piękne srebrne cacka są powyżej ich finansowych możliwości. Ona stara się go cicho pocieszać: — Daj spokój, zajrzymy jutro, może coś się trafi, przecież dopiero zaczynamy... Chłopak jest bardziej zgnębiony, dyskretnie wskazuje głową w kierunku jednego ze stolików gdzie tęgawy jegomość, po pobieżnej tylko lustracji, nabywa właśnie potężny srebrny świecznik. Dopytuje z zainteresowaniem o drugi; leżący przed mężczyzną pękaty portfel świadczy dobitnie o realności zamiarów. — O rany, prawie 70 tysięcy... — szepcze ktoś nabożnie nad jego ramieniem...

Zgiełk, ścisk, tłok. Zardzewiałe części do rowerów, nowe dzinsy, sztuczne róże, wszelkiej maści odzież, stoiska z rybkami, książkami i spinaczami. Czyli — bazar, „pchli targ", ewentualnie „ryneczek", jak pieszczotliwie nazywają cotygodniowe zbiegowisko starzy bywalcy.

Tu niezbyt dyskretnie rżną w trzy karty, obok czeka kolejka chętnych na piwo z teczki przyglądając się od niechcenia, jak korpulentna kobitka mierzy na poczekaniu wyraźnie przyciasną bluzkę. Pod rachitycznym płotem — bazarowa elita: zbieracze lub jak kto woli — kolekcjonerzy. Ciszej tu niż w innych rejonach rozległego placu, na pudłach i derkach czekają na nabywców moździerze, kufle, jakiś dzbanek, wyszczerbiona taca, pobieżnie tylko odkurzona lampa. Jedni ze sprzedających pełni skupienia i pewnej nonszalancji odpowiadają tylko zdawkowo na podstawowe pytanie. — Ile to? Inni zachwalają towar zarzucając „oglądaczy" lawiną „specjalistycznych" danych. — To? No, kochany — pełna Miśnia, ubiegły wiek, wczesna secesja, tu jest znak firmowy, ten rant się podszlifuje, ale widzisz pan ten cudny ornament, a kosztuje „ósemkę"... Wujek, co stukasz paluchem, przecież to nie dębowe... Proszę pani, to naprawdę piękny, oryginalny kufel, tak, tak, „górna" Lotaryngia, stąd te scenki myśliwskie... Że w NRD takie można wszędzie dostać? Co też pani opowiada, to może tę miskę, żelazko albo dzbanuszek? Ćmielów, Ćmielów — jasne, u mnie innych nie ma...

Jedni przechodzą obojętnie, rzucą tylko okiem i brną dalej w tłumie. Inni zaciekawieni przystają, ów się schyli, obejrzy, tamten już sięga do kieszeni. A niezdeydowany słyszy tylko pozornie obojętny szept: — Figurkę pastuszka mam po dziadku jeszcze, to strasznie stara rzecz, za dwadzieścia „kawałków" naprawdę nie ma pan krzywdy.

Kolekcjonerzy? Miłośnicy staroci? Zbieracze czy raczej handlarze?...

Niedziela, godziny południowe. W eleganckiej kawiarni niemal wszystkie stoliki zajęte. Część sali okupują młodzi — czyli sernik, herbata, piwo (jeśli jest). Obok starzy bywalcy: — Aaa, witam drogiego mecenasa... Dla pana prezesa to co zawsze?... Czyli: gazetka, kawka koniaczek, czasem odświętne cygarko. Na uboczu dwóch dystyngowanych panów leniwie sączy parujący płyn, do sąsiadów docierają tylko skrawki dyskretnie prowadzonej rozmowy: —..yński nie chce się jednak tego pozbyć... tak, wiem — to rodowa pamiątka, no i w pięknym stanie... ale dla pana magistra mam niespodziankę niedzisiejszej urody.. Jeden z mężczyzn rozwija delikatnie serwetkę i chowając w dłoni przed oczami innych jakiś drobiazg podsuwa go interlokutorowi. Ten nie bacząc na zaciekawione spojrzenia wokół wyciąga zegarmistrzowski kukier i chciwie pochyla się nad ledwie tylko rozchyloną dłonią. — Ale to wie pan, tylko na wymianę, za tego... — brzęk spadającego na podłogę talerzyka przywołuje obu do porządku. — Pani Janeczko, chciałbym zapłacić — pan z widocznymi wypiekami na twarzy kiwa w kierunku kelnerki — i dokończymy tę rozmowę u mnie, wieczorem, dobrze? — kontynuuje w kierunku partnera. Przecież ja tego szukam tyle lat.

Kolekcja. Magiczne słowo, które u początkujących zbieraczy choćby znaczków pocztowych wywołuje dreszcz emocji. Ilu ich jest w kraju? Choćby tych najbardziej „utytułowanych", posiadających iście muzealne zbiory? Setki, tysiące czy tylko kilku? Nikt nie wie Jakaż idea im przyświeca, jakaż namiętność ich opętała? Czy to wyłącznie kult gromadzenia określonego rodzaju przedmiotów dla ich wartości artystycznych, naukowych, dydaktycznych? Czy traktują swą działalność jak powołanie, czy kieruje nimi instynkt pewnej lokaty kapitału? Czyż ta wymarzona kolekcja bądź jej najmniejsze odpryski służą zaspokojeniu bezinteresownych skłonności do samego kolekcjonowania czy stają się obiektem zwykłej, przyziemnej spekulacji?

Nie odpowiemy dziś sobie na te pytania ze zrozumiałych powodów. Nawet gdyby udało się wyznaczyć w miarę ostrą granicę między kolekcjonowaniem a handlem starociami. Człowiek naturę ma ułomną, a wiele, jeśli nie większość tych najbardziej atrakcyjnych transakcji odbywa się dyskretnie, w domowych zaciszach, bez narażania na wścibskość ze strony choćby jednej, zbędnej pary oczu. Fascynujący to jednak światek marzeń, ambicji, spełnionych lub nie namiętności, choć mający jakże często realny, wymierny kształt i format. Oparłych równie często, jeśli nie zawsze na pieniądzach. Na dużych pieniądzach...

Mówi się, że początkujący kolekcjoner zawsze tu trafi i od wizyty w „Desie" — bo i o niej tu mowa, zaczyna swą trudną, pełną wyrzeczeń drogę. Ale nawet dysponujący już wieloletnim doświadczeniem zbieracze czasem do licznych w kraju salonów firmy zaglądają, ot, tak dla orientacji „co w trawie piszczy". Ci legitymujący się już pewnymi osiągnięciami mniej lub bardziej wyrafinowanymi i pełnymi kolekcjami kupują tu co prawda jakieś brakujące im ogniwo niezmiernie rzadko. Choćby z tego prostego powodu, że „Desa", spełniając funkcję ochrony zabytków, stanowi praktyczne zaplecze krajowego muzealnictwa. Oznacza to zaś, że wszelkie przedmioty o wartości muzealnej, dostrzeżone w porę w proponowanej przez oferentów masie, po kwalifikacji i wycenie oferowane są do nabycia konkretnym, specjalizującym się w danej „branży" placówkom muzealnym. Dopiero, gdy te nie wyrażą zainteresowania — mają one szanse trafić do rąk prywatnych. Tego typu unikaty są jednak zwykle rejestrowane, w „Desie" zakłada im się specjalne karty, a nabywca podpisuje zobowiązanie, iż o każdorazowej zmianie właściciela zawiadomiony zostanie wojewódzki konserwator zabytków.

Co trafia do „Desy"? Ogólnie rzecz ujmując — wszystko, co powstało przed 1945 rokiem, w przypadku malarstwa przyjmowane są dzieła artystów już nieżyjących. Inne obrazy przyjmują galerie współczesne, z tym, że spełniony musi być podstawowy wymóg, czyli tworca nie może być amatorem.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

# ...fanatykami niemal jesteśmy

Łódzka „Desa", którą odwiedziłem by podreperować nieco skromne wiadomości z fascynacji kolekcjonerstwem, nie „prowadzi" dla przykładu (choć nie jest to regułą) medalierstwa. I chyba jeszcze tylko znaczków. Można tu jednak już znaleźć piękne, stylowe... klamki, a nie tak znów dawno trafiły się wyjątkowej urody, XIX-wieczne karnisze mosiężne, które nawiasem mówiąc zdobią dziś Muzeum Miasta.

Zawsze do salonu przy ulicy Piotrkowskiej trafiało sporo naczyń, głównie mosiężnych, nie brakowało srebra (przede wszystkim sztućców). Ostatnio srebro jednak jakby mniejsze miało powodzenie. Sprawiły to zapewne ceny, bowiem dziś srebrne świeczniki czekają na nabywcę tygodniami, co dawniej było niemożliwe. Sporo osób proponuje do sprzedaży mebie, bywa — piękne, z minionego wieku, ale i pozniejsze, secesyjne. Jest z nimi jednak sporo kłopotu, choć bowiem wyjątkowe egzemplarze trafiają do muzeów, to trudno znaleźć na większość nabywcę. Nawet jeśli dysponuje on dużym M-4...

Salony „Desy" także odczuły tak charakterystyczny dla rynku jeszcze parę miesięcy temu „zalew" pieniędzy. Gabloty były puste, ludzie przestali pozbywać się wartościowych przedmiotów, chętnie natomiast kupiliby cokolwiek, traktując operację jako interesującą i pewną lokatę kapitału. Ale ostatnie tygodnie znów przyniosły zmianę. Skoki cen, co odczuwamy dziś tak dotkliwie na każdym kroku, sprawiły, że zwiększa się powoli podaż. A jeśli już o cenach mowa, to godzi się odnotować, że firma dostosowała się elastycznie do ogólnokrajowych „trendów". Dość powiedzieć, że jeszcze w 1980 roku do łódzkiego salonu trafiło kilka egzemplarzy niezwykle pięknej secesyjnej biżuterii, wśród których znalazły się m.in. urokliwe wisiorki wysadzane rubinami, brylantami, perłami, ze srebrnymi i platynowymi elementami kompozycji i nim trafiły do muzeum w Płocku wyceniono je w granicach 50—60 tys złotych za sztukę. Dziś w gablocie przy ulicy Piotrkowskiej kusi wszystkich odwiedzających „zwykła" złota bransoletka, tzw. plecionka za jedyne 206 tysięcy.

Jacy są klienci „Desy"? Najróżniejsi, pełna gama typów i charakterów, specjaliści nie znający praktycznej wartości proponowanych np. przez siebie do sprzedaży przedmiotów. Wspominały mi pracowniczki salonu przypadek skromnego klienta, którego zapewne życiowe kłopoty zmusiły do sprzedaży podniszczonego, srebrnego czajnika. Gdy — co jest regułą przy transakcjach — zapytano go o cenę owego cacka, „zasugerował" nieśmiało 500 złotych. Namiastką wygranej w „Totka" była później dla niego wiadomość, że czajnik, kupiony „na pniu" przez muzeum w Płocku, wyceniony został komisyjnie na bodaj... 60 tysięcy. Zdarzają się jednak przypadki krańcowo odmienne. Pani, próbująca sprzedać obraz, praktycznie na pograniczu amatorstwa, który wstępnie można było maksymalnie oszacować na 10 tysięcy złotych, zaproponowała ze swej strony — milion. Gdy nie udało jej się przekonać personelu, oburzona, z okrzykiem „Kompletnie się nie znacie!..." raczyła opuścić niegościnne progi.

Praktycznie zupełnie nie trafiają ostatnio do łódzkiego salonu egzemplarze broni, a w ubiegłych latach głównie biała broń nie należała tu do rzadkości. Trafiały się i falsyfikaty, kopie, niektóre z żalem oddawane po komisyjnych oględzinach właścicielom, bo pięknie podrobione, ale któż — nawet jeśli przyjęta ona zostanie przez „Desę" — wyrazi zgodę na sprzedaż za niższą kwotę. Przecież można na własną rękę szukać mniej fachowego nabywcy. Jeśli już o kopiach i wszelkich pseudooryginałach mowa, to trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, że wykształciła się warstwa ludzi trudniąca się tzw. „pasówkami", czyli dorabianiem, najogólniej mówiąc, brakujących elementów do — powiedzmy — niekompletnego świecznika. Tego typu montaże i przeróbki, przeprowadzane zwykle w sposób niefachowy, a nadwyrężające część autentyczną przedmiotu — najczęściej obniżają bardzo lub wręcz niszczą jego wartość.

Nawet na część z postawionych na początku pytań nie znalazłbym zapewne odpowiedzi i po kilku wizytach w „Desach" i na bazarach, gdyby nie zgoła przypadkowe spotkanie. Starszy, o ujmującym sposobie bycia pan, mieszkaniec jednego z naszych południowych województw, po długich wahaniach przystał na parę minut rozmowy. Namiętnym kolekcjonerem jest od lat bodaj 20, ale o swojej pasji niech opowie on sam. Człowiek z „klanu".

*— Długo się nad tym zastanawiałem, bowiem chciałbym od razu przeprosić, że nie przedstawię cię bliżej. Powodów jest co najmniej kilka, a przecież nie zależy panu tylko na moich zdawkowych odpowiedziach w stylu „tak" i „nie".*

*— Proszę pana, powiedzmy sobie wprost — kolekcjonerstwo upada coraz bardziej i ten proces będzie się pogłębiał. I nie chodzi tu tylko o to, że wszystko co bardziej wartościowe znajduje się u ludzi; dla mie główna przyczyna leży gdzie indziej. Dam panu prosty przykład: gdy zaczynałem, a robiłem to podobnie jak wszyscy, czyli najpierw kierowałem się do „Desy", kupiłem piękną starą „Doxę" z ornamentem myśliwskim na kopercie. Proszę pana — ona kosztowała 500 złotych. Zarabiałem wówczas około 5 tys. złotych, czyli teoretycznie mogłem sobie kupić 10 takich zegarków. Dziś gdyby taką dostać za powiedzmy 15 tysięcy — byłaby to manna z nieba. Ale kogo z początkujących, ambitnych zbieraczy na to stać?*

*— No tak, ale żeby trafić coś naprawdę wartościowego na tzw. wolnym rynku, to po prostu trzeba się na tym znać. A namnożyło się teraz różnych — jak ja to nazywam — destruktów, czyli przedmiotów uszkodzonych, niepełnowartościowych, z których bardzo łatwo można czasem zrobić „pasówki" i dajesz pan za coś takiego szalone pieniądze. Zdarzy się, że i sam coś przerobię, ale dla siebie, do swojej kolekcji. O, pamiętam trafiłem kiedyś kapitalne secesyjne wieczko od kałamarza. Odciąłem „szarniery", lekko spasowałem, wcisnąłem od dołu korek i mam secesyjny korek do karafki. Ale jak mówię — zrobiłem to dla siebie.*

*— Nigdy nie byłem handlarzem, nigdy nie nabywałem jakichś przedmiotów z myślą o dalszej sprzedaży, czy zarobku. Oczywiście, może się zdarzyć i zdarza, że kolekcjoner sprzedaje jakąś rzecz czy kilka, by z kolei kupić coś bardziej wartościowego, pasującego do własnego zbioru. Bo własną kolekcję trzeba bezustannie „szlifować" i nikt o tego typu handel czy wymianę z ewentualną dopłatą nie powinien mieć pretensji. Przecież stanowimy autentyczne zaplecze muzealnictwa, ileż to rzeczy taki zapaleniec, ba — maniak odnawia, restauruje, kompletuje, a za te 50 czy 60 lat i tak zbiór trafi do muzeum. Tak się zwykle dzieje.*

*— W czym się specjalizuję? Proszę pana, naprawdę nie chcę wszystkiego szczegółowo opowiedzieć; cóż, wymienił bym kilka przedmiotów i koledzy z branży wiedzieliby z kim pan rozmawiał. Skąd te opory? Wielu z nas ma naprawdę cenne rzeczy w domu, wie pan, włamania do muzeów sypią się coraz częściej, ilu bardziej — nazwijmy to — rozmownych kolegów padło ofiarą złodzieja... Nie kuśmy losu, to podstawowe założenie, bo niech pan nie wierzy, że uwielbiamy wyłącznie samemu oglądać nasze zbiory. A propos kradzieży: radzę wszystkim, którzy dopiero zaczynają, bądź jeszcze tego nie uczynili, profilaktycznie sfotografować swoje starocie. To może być pomocne w nieszczęściu, czego nikomu, to jasne, nie życzę.*

*— Ależ się pan uparł... No mam trochę obrazów, dopracowałem się przez lata wystroju jednego dużego pokoju, mam trochę porcelany, srebra, parę egzemplarzy „galle". To są wie pan wyroby ze szkła, XIX wiek, technika szkła warstwowego, wyjątkowej urody, której nikt mimo wielu późniejszych prób nie zdołał opanować. Odsyłam pana do muzeum płockiego, gdzie znajduje się największa kolekcja „galle" w kraju. Tak, kiedyś bywało w „Desie", lecz bodaj od 3—4 lat nigdzie się już nie pojawia...*

*— Wie pan, rezygnować nie można, niektórych rzeczy szuka się całe życie i często bezskutecznie. Sam, bodaj nawet na łódzkich bazarach kupiłem parę ładnych lat temu kapitalną czarkę od kielicha, wie pan — samą górę Nie ma stopki, podstawy. A niewielki stempel głosi, że wszedłem w posiadanie przedmiotu należącego kiedyś do waszego, łódzkiego fabrykanta — Kohna (dobrze mówię?). I cóż — stopki i podstawy nie znalazłem do dziś, ale kto wie? Zdarzają się i inne przypadki: od paru lat namawiam jednego staruszka, biednego stojącego nad grobem, by odstąpił mi stojący fantastyczny zegar z kurantem, idealny do mojego, trochę eklektycznego wnętrza. Staruszek ma tylko ten zegar, nic więcej i za żadną kwotę nie chce go sprzedać. Żeby jeszcze powiedział mi „nie", ale on wciąż „wie pan, jeszcze się zastanowię". I tak mnie zwodzi chyba już z 7—8 lat, ale nie rezygnuję...*

*— To fakt, trzeba być specjalistą. Wie pan, ja jak się na czymś nie znam — to nie kupuję, choćby mi się podobało. Boję się, że mnie ktoś oszuka. Cóż, wydaje mi się, że na srebrze trochę się znam i żadna niespodzianka mnie nie spotka. Przeciętną „podróbkę" odkrywam na pierwszy rzut oka, no, nie mówię o platerach, jeszcze z wlutowaną próbą. Choć pamiętam, przyniósł mi kiedyś ktoś z rodziny srebrną tabakierę z wygrawerowanymi bardzo misternie motywami holenderskimi. Była to zresztą miniatura obrazu jednego z holenderskich mistrzów. Chyba ze 40 postaci na niewielkiej płaszczyźnie, a widoczna jest doskonale nawet mimika twarzy. Kupiłem bez wahania, suma była wysoka, ale jak na srebro — raczej okazja. Tabakiera wyłożona była sandałowym drewnem, kawałeczek się kiedyś odkleił, chciałem klej zdrapać i... Okazało się, że był to kolorowy metal bardzo grubo posrebrzany, ale techniką, której wielu znajomych grawerów nie rozpoznało. Oczywiście, że ją mam — prawdziwe arcydzieło sztuki grawerskiej.*

*— Tak, jest to również lokata kapitału, choć do tego wystarczy być handlarzem starociami, a prawdziwy kolekcjoner i tak odda swój zbiór do muzeum. A dziś? Cóż, czuję się stabilniej nieco niż dawniej. Poza tym — nowoczesny wystrój wnętrza, te dzisiejsze kanapy, dywany, biblioteki — ile lat panu wytrzymają? Po 10—15 latach musi pan wszystko praktycznie zmienić. A ja, mówiąc w slangu zbieraczy — „będę jeszcze lepszy, cenniejszy"... Ale jest to suma też wielu wyrzeczeń, iluż znam takich co nie kupili palta tylko zegar z kukułką...*

*— Czasy, jak mówiłem dla kolekcjonerów coraz cięższe, na tych giełdach staroci też różni ludzie się zdarzają, widziałem już takie co bardziej typowy bazar przypominały. Niech mi pan wierzy, takie samo zdanie ma zresztą wielu kolegów: na tych giełdach, bazarach, rynkach naprawdę nie ma już nic wartościowego. Wie pan, filatelista odklei od koperty dwa znaczki po 5 złotych i już zaczyna, ma perspektywy, ale prawdziwy kolekcjoner? Kilka przedmiotów to jeszcze nic, tego nie widać, dopiero jak kilkadziesiąt w domu — zaczyna się je dostrzegać, no, a potem to już lata całe dobiera, cyzeluje się ten swój zbiór, często bezskutecznie całymi miesiącami, ale rezygnować nie wolno, wszak jesteśmy graczami, fanatykami niemal...*

*— Nie, nie wiem jaka może być wartość moich zbiorów, nie uwierzy pan pewnie, ale się nad tym nie zastanawiałem. Zresztą i tak bym panu nie powiedział prawdy. Tak, znam takich, którzy mają bogatsze, efektowniejsze kolekcje, u kilku z nich byłem. Wie pan, to są fachowcy, bywa — po historii sztuki, wiedzą więcej niż niejeden kustosz. Choć byli i tacy, którzy, no — psychicznie mi nie odpowiadali. Wie pan: trudno byłoby powiedzieć czego w domu nie ma, ale na dobrą sprawę każdą z tych rzeczy można od niego kupić. I to mi się nie podoba.*

*— Myślę, że czas już kończyć naszą rozmowę. Tych ogólnych myśli musi panu wystarczyć. Cóż, przepraszam że nie zapraszam pana do siebie do domu, a i tak miał pan trochę szczęścia. Przyjechałem do Łodzi — to nie żadna tajemnica — po bardzo ładną, stylową pudernicę ze srebra. O, proszę niech pan zerknie, piękna robota, prawda?...*

Foto: M. Zajdler

# Mazowsze, ciapciarap i spółdzielnia łupu – cupu

## KORESPONDENCJA Z AFRYKI ZACHODNIEJ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

### 1.

Jest to truizm, który powtarza się przy każdej okazji: Francuzi zostawili po sobie w koloniach piękne miasta, Anglicy — brud, smród, nędzę i ubóstwo. Trudno przeciwko temu oponować, aczkolwiek każda ciasna definicja ma swoje luki. W każdym razie na Zachodnim Wybrzeżu Afryki stolice krajów frankojęzycznych, tak na przykład: Dakar, Abidjan czy Lome są zamożniejsze od pobrytyjskiego Freetown, Banjulu i Akry. Widać to na każdym kroku, na ulicach, w bankach, sklepach i hotelach; widać to po ubiorze i zachowaniu ludzi, a także ich, poważniejszym niż gdzie indziej, stosunku do pracy — wystarczy spojrzeć na urzędników, dokerów albo robotników drogowych.

Dawne kolonie francuskie, za poręczeniem i gwarancją Paryża, dysponują ujednoliconym, wspólnym dla wszystkich tych krajów systemem bilateralnym. Jest to silna, ogólnowymienna, bita na dobrym papierze waluta, która kojarzy się z francuskimi frankami, a nazywają ją „Abidżanem". Inne pieniądze tamtego rejonu: gambijskie dalasy, ghańskie cedisy czy leony z Sierra Leone są w pogardzie nawet u miejscowej ludności.

W sumie jednak, przekraczając Zwrotnik Raka i kierując się w głąb Zatoki Gwinejskiej, mijasz granice owych stref językowych niepostrzeżenie, bez wrażenia jakichś istotniejszych zmian w krajobrazie i obyczaju. Ot, Afryka — wszędzie duszno, wszędzie gorąco, wszędzie obrzeża miast przypominają jedno wielkie, nie kończące się targowisko, gdzie sprzedawca jest zazwyczaj takim samym nędzarzem, jak kupujący, a od oszustów, prostytutek, złodziei i pospolitych bandytów wprost się roi.

Ktokolwiek i skądkolwiek jedzie po raz pierwszy od Afryki Zachodniej, słyszy od jej wytrawnych, białych znawców: — Powrócisz stamtąd rasistą. — I w wielu wypadkach przepowiednia się sprawdza. Niechęci do Murzynów nabrał nagle pewien antropolog, zagorzały wielbiciel czarnej rasy, w momencie, kiedy jakiś senegalski farmazon odciął mu z ramienia kamerę filmową. Bal zraził się do nich przewodniczący Przyjaźni z Narodami Afryki, gdy rozebrano go do naga (wraz z kąpielówkami) we Freetown i musiał tak paradować, w towarzystwie kilku innych golasów, do hotelu. Temu podsunęli fałszywy brylant, tamtemu złoto, ów zaś kupił żonie bransoletkę z kości słoniowej, która okazała się wypolerowanym krążkiem gipsu.

Podobne incydenty mogą zdarzyć się jednak w każdej innej stronie świata, ostatnio nawet Szwecja bywa widownią włamań i brutalnych grabieży w biały dzień. Nie ma narodów i ras WYŁĄCZNIE uczciwych, tak jak i nie ma WYŁĄCZNIE złych. I tu właśnie kryje się cały problem.

Zastanawiam się często nad zjawiskiem rasizmu i dochodzę do wniosku, że sprawa nie tyle polega na uprzedzeniach, co błędnych, i to od samego początku, założeniach, przy czym winę dzielą tu solidarnie zarówno rasiści, jak i zagorzali bojownicy przeciw jakimkolwiek dyskryminacjom. Ci pierwsi wrzeszczą: — Murzyn jest podły! — Ci drudzy odwrzaskują: — Jest dobry! — Ci pierwsi: — Jest leniwy! — Ci drudzy: — Jest tytanem pracy. Jeśli, nie daj Boże, społeczność murzyńska popełni zbiorowo jakiś zły czyn, ci pierwsi stwierdzają z triumfalną nienawiścią: — Znowu bruździą te piekielne czarnuchy! — podczas gdy ci drudzy oświadczają bez zastanowienia: — To są jakieś wredne prowokacje; niepodobna, aby mogła dopuścić się tego czarna ludność.

W tym właśnie tkwi błąd. Dla rasistów Murzyn jest uosobieniem wszelkiego zła, dla antyrasistów — świętym bez mała i bezgrzesznym męczennikiem. Nikt natomiast nie chce traktować Murzynów normalnie, jak wszystkich pozostałych (białych) ludzi, którzy, w większym lub mniejszym procencie, mają swoje różnorakie słabostki i podlegają wszelkim ułomnościom ludzkiej natury: część z nich kradnie, oszukuje, morduje, i tak dalej. Gwałt popełniony na nieletniej przez białego zwyrodnialca znajduje co najwyżej miejsce w kronice wypadków; jeśli dopuści się tego samego czarny zwyrodnialec, udokumentowana zdjęciami informacja znajdzie się w prasie na czołowych kolumnach i urośnie do rangi uogólnienia.

Tak samo jest z wszelkimi innymi przypadkami. Jedna czarna, łakoma pielęgniarka w londyńskim szpitalu popsuła reputację wszystkim innym czarnym pielęgniarkom na wyspie, a to dlatego, że ukradła choremu tabliczkę czekolady. Niektóre białe pielęgniarki dopuściły się w międzyczasie znacznie gorszych wykroczeń przeciwko zdrowiu i mieniu pacjentów, ale nikt jakoś tego nie komentował.

Zatem należy powtórzyć: rasiści mogliby się przekonać do czarnych tylko wówczas, gdyby żaden Murzyn, bez względu na płeć i wiek, nie dopuścił się nigdy żadnego przestępstwa. Samoobrona Murzynów, ich odwieczna walka o równouprawnienie, trzyma się nierzadko tych samych szablonów. Wystarczy zapoznać się z życiorysem i kazaniami Martina Luthera Kinga: program tego wielkiego człowieka był jasny: precz z Czarnymi Panterami, precz z wszelkim gwałtem. Walczmy, ale bez użycia pięści. Manifestujmy, ale bez broni u boku. Pokażmy, że jesteśmy wielkoduszni, lepsi, że nie żywimy do nikogo nienawiści. Kiedy świat w to uwierzy, Biały Człowiek i Czarny Człowiek zostaną braćmi w Chrystusie.

Rasizm jest tematem tabu, i to nawet w krajach demokracji ludowej. Lepiej o tym nie pisać, bo a nuż ktoś się obrazi. A jeśli już pisać, to zawsze na to samo kopyto, jednostronnie, tak, jak nauczyła nas tego literatura, publicystyka i film: wstrętne, białe, wymachujące pejczem panisko i biedny, pokorny, zagłodzony Negro. Nie lubię powtórzeń, ale tym razem muszę powtórzyć raz jeszcze: Nikomu nie wolno popełniać przestępstw, lecz dokąd będzie istniało na świecie zło, czarna rasa ma je niejako prawo popełniać, tak, jak biała rasa, i jak każda inna rasa. Wszyscy jesteśmy ludźmi, a kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy.

### 2.

Szukanie tła jest oczywiście świętym obowiązkiem publicystów. Warunki bytowania mają niewątpliwy wpływ na szerzenie się przestępstw i złych nawyków w enklawach. Klimat jest taki, że naruszanie norm prawnych kojarzy się wprawdzie czarnemu człowiekowi ze strachem przed odpowiedzialnością karną, z drugiej strony całkowicie pozbawione jest jednak tak luksusowych wzruszeń, jak na przykład wyrzuty sumienia czy żal za grzechy. Głód usprawiedliwia złodziejstwo, szlachetny imperatyw, aby wyżywić rodzinę, tłumaczy prostytucję, dla morderstwa też dałoby się znaleźć szereg tego typu „okoliczności łagodzących".

Fałszem byłoby stwierdzić, że społeczność Afryki Zachodniej wolna jest od tego typu mentalności. Zdążyła zakorzenić się, ona tak głęboko, że upłynie jeszcze wiele lat, nim cokolwiek zmieni się w tej sferze, i to tylko wówczas, kiedy przeobrażą się struktury ustrojowe, ciągle jeszcze obciążone feudalno-kolonialnym bagażem. W tym momencie staje przed oczami obrazek, jaki miałem okazję zobaczyć w Dakarze 18 września minionego roku, o godzinie czternastej z minutami, kiedy to robotnicy portowi byli już po krótkiej sjeście i na nowo przystąpili do swej nielekkiej pracy. Patrząc na nich odnosiłem wrażenie, że są to w przytłaczającej większości biedni, ale niezwykle godni ludzie, którzy z filozoficzną rezygnacją nauczyli się znosić swój los. Tymczasem pewien biały żartowniś, znający ich widocznie lepiej niż ja, postanowił urozmaicić trochę nudę tropikalnego popołudnia i żeby wywołać widowisko, cisnął im z burty holenderskiego frachtowca Nedlloyd litrową butelkę szamponu. Wielkoduszny z pozoru gest wywołał zamierzone skutki. Natychmiast zaczęła się straszna kotłowanina, przypominająca do złudzenia mecz rugby na angielskim stadionie. Dokerzy, ilu ich było, z miejsca przerwali wyładunek i rzucili się z pochylonymi do przodu głowami na szczęśliwca, który zdołał przechwycić butelkę. Niebawem z rozszamotanej, skłębionej ciżby wyprysnął inny szczęśliwiec i wpychając łup za pasek od spodni uciekał w szaleńczym popłochu. Reszta biegła za nim jęcząc ze zdenerwowania, z przodu też zdążył się już uformować nowy oddział, doszło do straszliwego zderzenia, wiele osób padło targając się za koszule i łby; policjanci okładali zwaśnionych metrowymi pałami, wkładając w to dużo serca i energii, tymczasem kolejny szczęśliwiec znalazł jakąś lukę w obławie i gnał już w drugą stronę portu, gdzie, rzecz jasna, znowu go dopadli.

Spektakl trwał co najmniej dwadzieścia minut, wywołując wśród białych marynarzy objaw zdrowego poczucia humoru. W sumie jednak było to smutne. Policyjne pały wciąż jeszcze waliły z rozmachem, a przecież jeśli ktoś powinien dostać cięgi, to właśnie ten holenderski żartowniś. Scenę przytoczyłem ze wszelkimi detalami, bowiem w pewnym sensie jest ona doskonałą ilustracją afrykańskich stosunków; w podobny sposób, zbiorowo i z pasją, czarna społeczność rzuca się na każde wolne miejsce pracy, na każdy wakujący etat w urzędzie, na stanowiska w ministerstwach i na fotele prezydenckie, aczkolwiek w tym ostatnim przypadku oprócz przynęty, którą dla wywołania rozruchów podrzucają umiejętnie jakieś europejskie czy pozaeuropejskie łapy, potrzebny jest jeszcze silny, dobrze zorganizowany, skłonny do wszelkich łajdactw, fałszerstw i korpucji spisek.

Scena poruszyła mnie także z innego powodu. Może to śmieszne, ale... jak każdy wrażliwy człowiek, wyposażony w coś więcej, niż w samą tylko dziennikarską, trzeźwo kalkulującą wyobraźnię, dopatrzyłem się w portowej szamotaninie głęboko ludzkich, wcale nie banalnych motywów. Szampon w Afryce jest niesłychanie drogi. A Afrykanie, wbrew obiegowym opiniom, mają bzika na punkcie czystości. W prymitywnych warunkach, w miskach i baliach, kobiety i dzieci murzyńskie potrafią kąpać się dwa razy dziennie. Jest to być może instynkt samozachowawczy; wcześniej spotkałem się już z nim w Brazylii. Brud w tropiku może być przyczyną wielu groźnych chorób. Toteż mimo zionących rynsztoków i slumsów nie tkniętych palcem cywilizacji, nie widujesz tu brudu. Koszule najbiedniejszych mężczyzn są zawsze świeżo wyprane, to samo można powiedzieć o strojach kobiecych. Elegancja, adekwatna — rzecz jasna — do indywidualnych możliwości, jest w modzie. W trakcie handlu wymiennego, na bazarach i pokładach statków, Murzyni wypytują się białych przede wszystkim o szampon właśnie, o mydło, wodę kolońską, fu-fu (dezodorant) i niveę, która przydaje ich czarnym skórom blasku. Dopiero potem przychodzi kolej na ciop-ciop (jedzenie) i elektroniczne zegarki.

Boże, ile we mnie ckliwej grafomanii! Uroiłem sobie, że doker, któremu udało się w końcu porwać szampon, nie sprzedał go wcale na rynku, tylko przyniósł triumfalnie do domu i podarował żonie, a ta później, przy wieczornej kąpieli, polewała nim głowy tych małych, kędzierzawych brzdąców.

Nie, nigdy nie mógłbym zostać rasistą. Dzieci murzyńskie są piękne, jak w ogóle wszystkie dzieci. W czasie dwu i półmiesięcznego pobytu w Afryce, gdzie białego człowieka spotkałeś tak rzadko, że w tobie samym budziło się uczucie zdumienia, przywykłem do czarnych twarzy, jakbym wśród nich przyszedł na świat. Nauczyłem się rozpoznawać twarze i odczytywać z nich cechy charakteru. Dawno już ktoś powiedział, że na całym świecie ludzie są tacy sami. Jest to jedno z tych ogromnych odkryć, którego dokonała właśnie (i tylko!) literatura. Do dzisiaj, choć to takie oczywiste, zdumiewa mnie fakt, kiedy biorąc do ręki książkę dowiaduję się, że jakiś tam Eskimos, Amerykanin czy Argentyńczyk skonstruowany jest wewnętrznie dokładnie tak samo, jak ja — ma identyczne pragnienia, kompleksy, majaki, lęki, zamyślenia i coś tam jeszcze. Otóż, podobnie, odnajdując wszystkie, znane mi dotychczas typy, zacząłem patrzeć na twarze Murzynów. Gama nie mniej szeroka, niż w Polsce. Butne — pokorne, mądre — głupie, wesołe — śledzionicze, szczere — przewrotne, szlachetne — bezczelne, uduchowione i tępe, jakby ktoś zamiast mózgu wpakował w nie kilo trocin; także: szczodre, skąpe, odważne i tchórzliwe; co zaś się tyczy dziewczynek z Sierra Leone i Wybrzeża Kości Słoniowej, wpadających chmarą na pokład greckiego statku i zwanych przez dowcipnych Polaków „Mazowszem", to rysy ich, zamiast makijażu, napiętnowane są dużą dozą zawodowej godności.

### 3.

Jeszcze raz muszę powtórzyć: Murzyn nie jest ani lepszy, ani gorszy (choć dał mu się zawojować) od białego człowieka, i tylko to założenie pozwala walczyć skutecznie z rasizmem. Zamiast czytać bajdy w stylu „Chaty wuja Toma", zawsze lepiej postudiować prozę czarnego amerykańskiego pisarza, Jamesa Baldwina, który podchodzi do tych spraw rozsądnie, po męsku i bez złudzeń. Afryka jednak to nie Stany Zjednoczone. Rasizm może być tu tylko starannie skrywanym uczuciem w garstce białych, którzy tu mieszkają i wśród nielicznych turystów. Jest to rzeczywiście Czarna Afryka, zaludniona i rządzona wyłącznie przez Murzynów. Więc jakże tu mówić o dyskryminacji? Chociaż... Te piękne restauracje i wytworne hotele, które widziałem na Wybrzeżu Kości Słoniowej, odwiedzane są w większości przez białych. Znawcy twierdzą, iż budując je, Francuzi nie wyrzekli się do końca swoich kolonialnych tęsknot; z tych samych przyczyn protegują afrykańskie pieniądze, stawiają uczelnie, banki i szkoły oraz podtrzymują zwierzchność francuskiego języka, który i tak z trudem się broni przed inwazją różnych plemiennych gwar i narzeczy, żeby nie wspomnieć o ekspansywnej, choć kalekiej angielszczyźnie.

Kiedyś opuściłem Abidjan i pojechałem w głąb lądu, żeby zobaczyć tutejszą prowincję. Byłem w niewielkim, siedmiotysięcznym miasteczku Anyama, gdzie wszyscy bez wyjątku mieszkańcy zabawiali się na ulicznych w handel, a potem przez busz, trafiłem do sporej murzyńskiej wioski, która zaskoczyła mnie w najwyższym stopniu.

Wokół wprawdzie gąszcz, na drzewach hulają małpy, wszystko niby jak na filmach podróżniczych — leniuchujący patriarcha rodu, kilkanaście zaharowanych żon, kilkadziesiąt nagich, jak je Pan Bóg stworzył, dzieci wyciągających rączki, aby tuba (biały pan) obdarował je cukierkiem, albo jeszcze lepiej: jabłkiem, które w Afryce stanowi nadzwyczajny przysmak. Dużo lepianek i ubogich chat, gliniaste podwórka — tu trzepoczę pranie, tam dziewczyny ucierają lub krają w plasterki bulwiasty maniok, który podobny jest do naszych ziemniaków, i później gotuje się go albo smaży. Prądu nie ma, choć linia trakcyjna przebiega nie opodal; wszędzie za to widać lampy o zwęglonych knotach, kojarzące się Polakowi z okupacją; gdzieniegdzie, dla dodania powagi domostwu, stoi milczący telewizor...

Nie na żarty natomiast wyją tranzystory. Nieraz płyta zaskrzypi pod napędzanym ręcznie patefonem. Cztery kawiarnie w tej wiosce, jeśli to można nazwać kawiarnią — długi stół, dwie ławy i bufet, za którym czyha przecież niespodzianka: najprawdziwsza lodówka na naftę albo ustawiona w cieniu skrzynia wyłożona ogromnymi bryłami lodu, skąd właściciel, niczym prestidigitator w cyrku, wyciąga oszronione butelki.

Na jednej ze ścian wielki, kolorowy portret Jana Pawła II, który był niedawno w Abidjanie, a tuż obok, zgroza! wycięta z „Playboya", nie mająca nic do ukrycia piękność.

Czas płynie tu powoli. Ludzie wydają się spokojni i zadowoleni z życia. Ani śladu nachalności, z którą spotykasz się na każdym kroku w mieście — nikt nie próbuje z tobą handlować, ani wyczyścić ci butów, nikt nie czepia się nogawek twoich spodni, nie zobaczysz również nigdzie prawdziwych i szalbierczych żebraków.

Trudno więc nie zadać sobie pytania: skąd ten nieustanny, straszliwy pęd do miasta? Skąd ta miłość do makiet cywilizacji, bo czymże innym jest dla żyjącego na ulicy Murzyna luksusowy hotel, bank czy restauracja?

Murzynowi też marzy się pełne przygód życie, a gdzie znaleźć takie, jak nie w wielkiej aglomeracji. Kiedy jesteś w Abidjanie i wędrujesz mostem, który łączy dzielnicę portową z centrum miasta, to trzymaj się zawsze lewej strony. Prawa na pewnym odcinku nosi nazwę ciapciarap, co zaznaczono nawet czerwonym flamastrem na wielu mapach morskich. Ciapciarap tłumaczyć można jako grabież. Dostajesz się w ręce wyspecjalizowanych fachowców. Jeden przystawi ci nóż do gardła, drugi podnosi za ramiona w górę, a trzeci, jednym zgrabnym ruchem pozbawia cię zbędnego w tym gorącym klimacie odzienia. Podobna przygoda może spotkać cię we Freetown, gdzie o zmroku, pomiędzy bajecznie egzotycznym burdelem, a rzędami pustawych straganów, czają się chłopcy ze spółdzielni łupu-cupu. Gdyby liczne opowieści na ich temat nie poparte były dowodami w postaci nacięć i blizn pokrywających marynarskie ramiona, nigdy bym w to nie uwierzył. Nie spotkała mnie w Afryce żadna przykrość ze strony czarnego człowieka, choć muszę przyznać, że pewnego razu „wcięła" mnie na dakarskim bazarze zgraja obiboków, a ratunek zawdzięczam dwu polskim, mocarnym marynarzom.

Tak, grzeszą nieraz Czarni Bracia. A przecież nie są bezbożni. Zdumiała mnie we wszystkich tych krajach ogromna ilość wyznawców Mahometa, rozkładających słomiane maty w portach, w parkach, na ulicach i modlących się publicznie, z całym rytuałem, w pięciu obowiązujących porach dnia.

Miałem wrażenie, że islam wyparł stąd wszystkie inne religie, ale zasiedziały w Ghanie architekt polskiego pochodzenia, wyprowadził mnie z błędu.

— Jest cała masa takich — powiedział — których rano spotykasz w meczecie, po południu w katolickim kościele, a wieczorem w domu Nany (przewodnika), gdzie wznoszą modły do własnego murzyńskiego boga, Dżu-Dżu.

Kiedy spytałem, czy to pomaga, usłyszałem, że w każdym razie nie szkodzi. Czarny Człowiek wycierpiał w życiu zbyt dużo, żeby lekceważyć jakąkolwiek szansę. Czarny Człowiek uważa, że tak na ziemi jako i w niebie lepiej być w zgodzie ze wszystkimi bogami.

# Apokalipsa w kosmosie

HENRYK SROCZYŃSKI

Możliwość kontrolowania przez sztuczne satelity wydarzeń na ziemi jest znacznie większa niż sobie wyobrażamy. Wielostronne obserwacje i badania prowadzone przez te ciała, a zwłaszcza ich funkcje wojskowe, przesądziły o tym, że przestały one być nietykalnymi obiektami.

Pojawiła się bowiem nowa broń — antysatelity. W trakcie doświadczeń są również bronie ukierunkowanej energii: skondensowana wiązka promieni świetlnych (laser) i promieniowanie cząsteczkowe. Wszystko to stwarza niebezpieczeństwo wojen w kosmosie, wojen wzorowanych na filmach i książkach science — fiction.

Sztaby wojskowe okrywają ścisłą tajemnicą rezultaty eksperymentów w dziedzinie różnych broni antysatelitarnych. Niemniej pisma fachowe dostarczają coraz więcej wiedzy zarówno o sposobach wykorzystywania przez armie sztucznych ciał na orbitach, jak i o kierunkach badań zmierzających do niszczenia systemów satelitarnych — w przypadku konfliktu wojennego.

**Satelity wojskowe.** Trudno orzec ile spośród paru tysięcy satelitów krążących na orbitach, spełnia funkcje wojskowe. Odsetek zmilitaryzowanych sztucznych ciał z pewnością jest wysoki — na przykład Stany Zjednoczone dwie trzecie wszystkich informacji wojskowych przesyłają za granicę za pośrednictwem satelitów.

Setki obiektów znajdujących się poza atmosferą ziemską pomaga w utrzymaniu łączności między sztabami a dowództwami polowymi, służy łodziom podwodnym w określaniu ich pozycji oraz stale utrzymuje na oku potencjał zbrojeniowy przeciwnika. Wiadomo również, że satelity zwiadowcze określane w fachowej literaturze „narodowymi środkami kontroli", rejestrują i przeliczają wyrzutnie rakietowe oraz inne nośniki broni atomowej (samoloty, łodzie podwodne). Porozumienie SALT o ograniczeniu ofensywnych broni strategicznych podpisane między USA i ZSRR nie tylko sankcjonuje stosowanie takich środków kontroli, ale też zakazuje zakłócania ich pracy. Nie ma bowiem innej niż właśnie satelitarna metody sprawdzania czy strona przeciwna dotrzymuje zawartych porozumień.

Niektóre satelity wyposażone w urządzenia optyczne i tzw. podczerwone, stale kontrolują terytorium przeciwnika dostarczając dokładnych informacji o odpalanych rakietach i rezultatach ich użycia, określają parametry zastosowanych rakiet i ładunków nuklearnych oraz ustalają celność trafienia. Specjalny rodzaj sztucznych ciał tzw. szperacze elektroniczne wyłapują rozmowy wojskowe na punktach dowodzenia i przekazują ich treść analitykom w sztabach.

W ostatnim czasie szczególnie rozwijana jest sieć satelitów, służących dowodzeniu jednostkami i sterowaniu ogniem — można za ich pośrednictwem błyskawicznie przekazywać dane o celach i precyzyjnie naprowadzać na nie rakiety. W USA planuje się utworzenie systemu o nazwie „Milstar", który m.in. będzie sterował samolotami z bronią strategiczną na pokładzie (bomby atomowe i rakiety dalekosiężne) oraz systemu „Navsat" przeznaczonego dla jednostek morskich wyposażonych w rakiety balistyczne.

**Systemy antysatelitarne.** Już z chwilą wystrzelenia pierwszych satelitów w dowództwach wojsk rodziły się wizje broni antysatelitarnej. Wstępne eksperymenty w tej dziedzinie nie przyniosły jednak zachęcających rezultatów. Amerykanie jeszcze w latach sześćdziesiątych opracowali dwa systemy, które po pewnym czasie zostały zdeaktywizowane; pierwszy system opierał się na rakiecie „Nike — Zeus" i zainstalowany był na wyspach Johnston na Pacyfiku, system drugi opierał się na rakiecie „Thor" i wypróbowywany na terytorium USA.

Po opracowaniu nowych koncepcji broni antysatelitarnych, decyzje o rozpoczęciu badania podjął w ostatnich dniach swej prezydentury prezydent G. Ford. Programy te, w swym głównym zarysie aktualne do dziś, obejmowały: konstrukcję satelitów pościgowo-niszczycielskich, bezpośrednie zastosowanie rakiet do niszczenia satelitów oraz rozwój broni ukierunkowanej energii, głównie laserów.

**Łowcy satelitów.** W obecnych warunkach większość satelitów znajdujących się w przestrzeni kosmicznej może być wyeliminowana stosunkowo łatwo. Wiele z nich to satelity stacjonarne, inne poruszają się z niewielką prędkością. Powłoka większości sztucznych ciał jest cienka, są one nie uzbrojone, a więc narażone na zniszczenie.

Najprostszą metodą eliminowania satelitów jest wprowadzanie na orbity łowców-niszczycieli. Kamikaze wystrzelony z wyrzutni na ziemi bądź spod skrzydeł samolotu, naprowadzany jest na cel przy pomocy czujników podczerwieni; eliminacja celu następuje przez staranowanie go, bądź wskutek wywołania w sąsiedztwie eksplozji.

Antysatelity są już rzeczywistością — produkuje je firma Vought Corp w USA; zaprojektowany przez nią łowca składa się z cylindra o długości 18 cali i średnicy 12 cali, a waży zaledwie 30 funtów. Według „Aviation Week and Space Technology" ta broń opiera się na rakietach wystrzeliwanych z samolotu F-15.

**Broń laserowa.** Laser wysyła niezwykle silną wiązkę promieni świetlnych. Temperatura wycelowanego w jeden punkt promienia, dzięki skoncentrowaniu dużej energii, może na wielką odległość niszczyć wybrane obiekty. Działalność lasera nie polega na „zamienianiu w parę" jakiegoś przedmiotu, jak to często przedstawia się na filmach science-fiction, lecz na rozgrzaniu powłoki, co powoduje osłabienie struktury aż do wystąpienia pęknięć lub eksplozji.

Tylko najwyżsi rangą funkcjonariusze wojskowi i nieliczni naukowcy znają szczegóły funkcjonowania tej broni. Debata jednak na temat zastosowania oraz rozmieszczenia laserów objęła już swym zasięgiem szeroki krąg polityków, naukowców i dyplomatów. Dyskusje obracają się głównie wokół kwestii umieszczania tej broni w kosmosie. Przewaga mocarstwa, które jako pierwsze rozmieściłoby broń laserową na stacjach satelitarnych byłaby niewyobrażalna: lasery mogłyby zniszczyć nie tylko satelity służące łączności i dowodzeniu, ale także strącać wkrótce po starcie — wszystkie rakiety przeciwnika. Rzecz jasna, druga strona, dla utrzymania równowagi bezpieczeństwa, musiałaby podjąć niezbędne kroki w celu nie dopuszczenia do uzyskania przez przeciwnika takiej druzgocącej przewagi.

Dotychczas też żadna ze stron — według zgodnych opinii ekspertów — nie posiada doskonałego systemu laserowego, który można by umieścić w kosmosie. Ale wiadomo również, że postęp w tej dziedzinie nie wymaga już nowych odkryć naukowych czy technologicznych — wystarczy tylko czas, cierpliwość i pieniądze.

Amerykanie szczycą się, że dokonali już dwu udanych eksperymentów z zastosowaniem lasera jako broni. W 1978 r. w ośrodku badawczym w Kalifornii system laserowy dostrzegł, śledził i zniszczył w czasie lotu rakietę przeciwpancerną lecącą z wielką szybkością. Mniej więcej w tym samym czasie „zestrzelono" przy pomocy lasera zdalnie pilotowany samolot rozwijający prędkość 480 km na godzinę.

Badania nad skutecznym zastosowaniem laserów obejmują jeszcze takie problemy jak: doskonalenie systemu optycznego dla wzmacniania wiązki światła, przygotowanie skutecznych urządzeń namiarowo-śledzących w celu szybkiego wykrywania obiektów i kierowania na nie promieni oraz systemu czujników służących do wykrywania satelitów z wyłączoną aparaturą (tzw. ciemne satelity, które mogą rozpocząć prace dopiero w czasie konfliktu wojennego).

Kosmos najbardziej by sprzyjał pracy laserów — atmosfera ziemska i chmury mogą bowiem powodować zakrzywienie wiązki światła, a nawet doprowadzić do jej rozproszenia. Satelity byłyby też idealną platformą dla tej broni: są całkowicie stabilne, pozbawione wibracji i poruszają się ze stałą prędkością na stałej wysokości. Jeden ze schematów ataku satelity, wyposażonego w laser przewiduje nawet wycelowanie codziennie przez krótki czas strumienia światła w delikatne baterie słoneczne nieprzyjacielskiego obiektu; w przeciągu jednego lub dwu tygodni następuje przepalenie tych baterii, a wykrycie przyczyn „awarii" jest w takim przypadku niezmiernie trudne.

Jak niedawno poinformował amerykański dziennik „Baltimore Sun", Generalne Biuro Rozliczeniowe (GAO) Kongresu opracowało poufny raport, w którym zawarta jest sugestia rozmieszczenia w przestrzeni kosmicznej „platform bojowych wyposażonych w broń laserową". W obecnym roku finansowym przewiduje się wyasygnowanie sumy 341 mln dolarów na realizację szeroko zakrojonego programu produkcji i rozmieszczenia broni laserowej. W przyszłym roku finansowym suma ta wzrośnie do 433 mln dolarów, a cały program będzie kosztował 5 miliardów dolarów.

**Inne bronie ukierunkowanej energii.** Laser jest tylko jednym z rodzajów broni ukierunkowanej energii. W grę mogą wchodzić także bronie wysyłające strumienie cząstek. Ogólnie rzecz biorąc chodzi tu o akcelerator elektronowy podobny do tych, które już od lat są używane przez fizyków zajmujących się zagadnieniami wysokich energii i właściwościami atomu. Takie urządzenia, które również znajdują się w toku badań, różnią się od laserów tym, że nie nagrzewają powierzchni obiektów lecz bezpośrednio, dzięki strumieniowi przenikającemu powłokę, niszczą wnętrze satelity.

Satelitę można też wyłączyć z pracy wcale nie stosując systemów broni antysatelitarnej. Na przykład wywołanie wybuchów promieniowania mikrofalowego w sąsiedztwie sztucznego ciała może przeszkodzić w przekazywaniu rozkazów do jego urządzeń, a nawet „zwariować go" — wówczas gdy jest on szczególnie potrzebny. Także instalacje elektroniczne — ogromnej mocy anteny, są w stanie interferować z satelitami całkowicie zakłócając ich pracę.

Ale też można stosować różne metody zabezpieczania satelitów przed atakiem, na przykład: wyposażenie baterii słonecznych w odpowiednie filtry odbijające promienie laserowe albo uzbrojenie tych baterii izolacją korkową pochłaniającą ciepło lasera. Źródłem energii satelitów mogą również być małe reaktory nuklearne, co zupełnie eliminuje baterie. Również rozrzucenie cząstek metalu lub „podstawienie" laserowi fałszywych celów, wyprowadza w pole jego czujniki.

**Prom „Columbia".** Wprowadzenie na orbitę promu „Columbia" dało początek nowemu etapowi rywalizacji militarnej w kosmosie. Już w trakcie bowiem pierwszego lotu załoga zrealizowała zadania o charakterze wojskowym — sprawdzała skuteczność działania urządzeń celowniczych przeznaczonych dla broni laserowej. Niedawno amerykański tygodnik „Newsweek" wyrażając zaniepokojenie naukowców pisał: „ministerstwo obrony coraz bardziej traktuje prom jako swój autobus, a naukowców cywilnych jako kierowców tego pojazdu".

Ekspedycje promu w kosmos pozwolą Pentagonowi na umieszczanie satelitów na orbitach z daleko większą precyzją niż byłoby to możliwe przy wykorzystaniu rakiet oraz ułatwią wyniesienie większych i znacznie nowocześniejszych urządzeń wojskowych. W przyszłym roku „Columbia" ma wynieść na orbitę eksperymentalny czujnik, który został zaprojektowany dla przejmowania promieniowania podczerwonego emitowanego przez bombowce strategiczne, a za dwa lata również dzięki promowi będzie można wypróbować docelowy system niezbędny do opracowania kosmicznej broni laserowej.

Eksperci wątpią jednak, czy kiedykolwiek stanie się możliwe „zdejmowanie" przez załogę promu kosmicznego nieprzyjacielskich satelitów. Bez znajomości dokładnej wagi oraz kształtu sztucznego ciała prom nie jest w stanie go przechwycić. Trwają natomiast dyskusje nad projektem wykorzystania promu jako stawiacza min tj. łowców — niszczycieli satelitów. Istnieje jednak duże niebezpieczeństwo, że ofiarą takich pirackich obiektów może paść sam prom.

**Przerwane negocjacje.** W kosmosie niczego dziś nie można ukryć. Obydwa supermocarstwa posiadają systemy do wykrywania i śledzenia wszelkich obiektów na orbitach. System amerykański może wykryć, sklasyfikować i jednocześnie śledzić cztery tysiące satelitów oraz części rakiet kosmicznych krążących wokół Ziemi. Nie łatwo też zamaskować eksperymenty z bronią antysatelitarną, a jeszcze trudniej byłoby zamaskować jej istnienie na orbicie.

Porozumienia międzynarodowe dotyczące wykorzystania przestrzeni kosmicznej w zasadzie nie odstraszają od prób z bronią antysatelitarną. Dotychczas obowiązuje bowiem tylko układ o pokojowym wykrzystaniu przestrzeni kosmicznej podpisany pod auspicjami ONZ w 1967 r. — wprowadził on zakaz dokonywania eksplozji i rozmieszczania broni nuklearnych na orbitach i poza nimi. Praktycznie więc każde państwo ma prawo prowadzić doświadczenia z konwencjonalnymi środkami niszczenia satelitów. Właśnie w czerwcu 1978 r. w Helsinkach USA i ZSRR rozpoczęły wstępne dyskusje nad ograniczeniem systemów broni konwencjonalnej (ASAT) do zwalczania ciał na orbitach. Amerykanie wypowiadali się za zakazem stosowania tych systemów, ale oponowali przeciwko wstrzymaniu ich budowy i rozmieszczania. Negocjacje zostały przerwane, a ich wznowienie nastąpi zapewne nie wcześniej jak po spodziewanym w lecie br. wznowieniu dialogu rozbrojeniowego między obydwoma supermocarstwami.

---

Od czasu wspólnego lotu na orbicie kosmonautów radzieckich i amerykańskich, lotu który dawał wielkie nadzieje na współpracę w kosmosie, drogi supermocarstw w wykorzystywaniu przestrzeni kosmicznej coraz bardziej się rozchodziły.

Apokaliptyczna wizja konfrontacji satelitarnej, która wiąże się z walką o supremację w kosmosie, przeraża i budzi najgorsze obawy. Można jednak mieć nadzieję, że ci którzy z nieobliczalnej fantazji pragną przenieść w rzeczywistość techniki zbrojeniowej metody wojen galaktycznych, uświadomią sobie iż w przeciwieństwie do kosmitów mamy tylko jedno miejsce do życia: naszą planetę.

■

# Monte Carlo

BRUNO LEWI

**W pierwszym odcinku wspomnień z kasyna gry w Monte Carlo autor opowiada, jak połknął bakcyla hazardu i wypracował System, po którym obiecywał sobie ogromnie wiele. Dziś opowieść o premierze Systemu i dalszych bojach przy ruletce.**

## PIĄTEK, 2 MAJA, GODZINA DZIESIĄTA.

Dzisiaj jest właściwa premiera mego Systemu.

Wymieniam cały plik największych banknotów. Kasjer z szacunkiem wręcza mi dziesięć ciemnoniebieskich krążków — jedynka z trzema zerami ledwo się mieści.

Założyłem sobie, że do gry wejdę dopiero po przegranej w mojej metodzie Okazuje się to błędem, gdyż w ciągu kwadransa miałbym już wygrane cztery tysiące! Trzeba będzie skorygować nieco System — żadnych czekań, żadnych wahań!

Ale oto stało się. Muszę wchodzić. Wygrywam! Dzięki nieparzystej. A więc mam już tysiąc franków! Plus przedwczorajsze czterysta z powodzeniem pokryłyby koszty całej eskapady — a może zmykać zanim mnie dopadną?

Jednakże przemagam się, za twardą szkołę dawało mi życie, żeby zaraz się rozklejać... Za piątym ciągnieniem znów wygrana. Uspokajam się całkowicie. Drobni poranni gracze i krupierzy dziwnie się na mnie patrzą. A może tylko mnie się tak wydaje. Mój niebieski żeton kontrastuje bądź co bądź ze sto razy mniej wartościowymi „monnaies" — według tutejszego żargonu.

Ale passa się przerywa. Przez trzy godziny jak zaklęty oscyluję między minus jeden i zero. Mam wszystkiego dosyć. Skąd się bierze to zmęczenie? Przecież nic takiego się nie dzieje. To tak jak woźny ocenia pracę dyrektora — cały dzień siedzi za biurkiem i nic nie robi.

O trzynastej obniżam poprzeczkę i przysięgam sobie, że gdy dojdę do plus dwa kończę grę, a kto wie czy nie pobyt. Natychmiast pomaga. Trzy kolejne wygrane i jestem na plus dwa. Podkreślam w tabelce, zapalam papierosa i chowam ostatni żeton do kieszeni. Uf! Co za ulga! Dla sprawdzenia Systemu jeszcze przez pół godziny notuję wyniki. Za trzy minuty wygrałbym jeszcze dwa tysiące. Cholera — złoszczę się za brak konsekwencji i słabe nerwy. Ale potem znów krzywa opada. Na dziś koniec. Wreszcie zjem obiad o normalnej porze. Należy mi się.

## SOBOTA, 3 MAJA, GODZINA DZIEWIĄTA

Przyjeżdżam z Mentany wcześniej, aby nic nie przeszkodziło wystartować od samego początku. I słusznie — dzisiaj przez pół godziny krążyłem, aby gdzieś wcisnąć samochód na ulicy czy parkingu — bezskutecznie. Muszę skorzystać z podziemnego, dość drogiego garażu, z ostatniego prawie miejsca. Ale o dziewiątej czterdzieści pięć jestem już w holu. Przed dziesiątą portierzy wpuszczają tu tylko stałych bywalców — o tej porze mych współgraczy — staruszków. Należą się im jakieś względy. Mnie też już poznają i przepuszczają. Część rozsiada się na skórzanych kanapach, część nerwowo przechadza się rozmawiając. Większość widać zna się od dawna. Mimo woli przysłuchuję się rozmowie jakiejś wiekowej pary:

— Jaka szkoda, że nie przyjeżdżają tu już Rosjanie! To była klasa! — mówi ona.

— Teraz jeżdżą zdaje się do Baden-Baden — uzupełnia on.

Słuham i uszom nie wierzę. Ale przysięgam, że tak było! O mało co nie powiedziałem im, że teraz ja próbuję podtrzymywać tradycję tej rasy, ale następne drzwi otwierają się i wszyscy drepczemy do głównej świątyni.

Zaczynam od przegranej. To dobry znak. Jakoż po pięćdziesięciu minutach wygrywam swoje trzy tysiące i wycofuję się — dziś wszystko rygorystycznie zgodnie z systemem. Mimo że po dalszych dziesięciu minutach byłoby o dwa tysiące więcej. Ale wiem, że zachłanność to najkrótsza droga do klęski.

A dziś jestem w nastroju zwycięskim. Jakże inaczej się tu czuję niż przed trzema laty. O tej porze nikt nie gra wyżej ode mnie. Krupierzy, mimo że zmieniają się bardzo często poznają już mnie i dziwnie mi się przyglądają, nawet coś szepcą na mój temat. Trochę mnie to niepokoi. Biorą mnie zdaje się za Araba.

Rozluźniony przechadzam się po salach, w dziennym barze postanawiam coś przekąsić. Nauczony doświadczeniem na początek biorę skromnie kanapkę z szynką i wodę mineralną. I rzeczywiście — cena taka jak za co najmniej cztery niezłe obiady w mieście. Dlatego nie bez podziwu oglądam później ucztujących tu graczy. To muszą być prawdziwi milionerzy.

## NIEDZIELA, 4 MAJA, GODZINA OSMA TRZYDZIEŚCI

Wychodzę z hotelu i ze zdziwieniem stwierdzam, że pada. W pokoju nie mogłem tego zobaczyć bo okiennice i co tylko wisi mam na stałe zasłonięte aby choć trochę zmniejszyć hałas samochodów. Odruchowo wracam po parasol. Ruszając dopiero uświadamiam sobie co popełniłem. W tych sprawach jestem przesądny. Przewiduję najgorsze.

I rzeczywiście. Zaczynam od wygranej. To też zły znak. Przez cztery godziny oscyluję koło zera. Ale za chwilę jest już minus pięć. A więc cały mój dorobek idzie na marne. System się wali. Muszę chyba być blady. Lecz nie mogę się już wycofać. Gwardia umiera, ale się nie poddaje! Wydźwiguję się nieco, ale jeszcze dwukrotnie spadam do minus pięciu. Znów przysięgam sobie, że gdy dojdę do minus jeden — wycofuję się. Pomaga. Trzy kolejne wygrane. Jeszcze tylko jedna. Stawiam na nieparzyste. Krupier ma zły wzrok — nie jest to dobra ekipa.

Kulka toczy się długo — używam wszelkich znanych mi zaklęć i czarów. Jest! Trzydzieści jeden. Wstaję. Za chwilę znów bym wygrał. Nie wytrzymałem!

Jest godzina piętnasta czterdzieści. Chwieję się na nogach. Wypaliłem prawie całą paczkę papierosów — ja niepalący. To była czarna niedziela..

Ale nie ja dzisiaj byłem bohaterem naszego stołu. W południe usiadł obok mnie wysoki, przystojny mężczyzna. Z wyglądu i akcentu przypuszczam, że pochodzi z Maghrebu, z woni — po dobrze zakropionym obiedzie. Cały w złocie. Wyciąga stosik bankotów prosto z banku — jeszcze w banderolach. Wymienia na duże żetony — dyskretnie podglądam — około 60 tysięcy. Stawia na numery rozrzutnie. Prawie w ogóle nie trafia — po dziesięciu minutach jest już goły. Wstaje, po pół godziny wraca z podobnym plikiem banknotów. Sytuacja dokładnie się powtarza. Wreszcie się załamuje. Szpetnie klnąc odchodzi. Myślałem, że to rekord. Ale po chwili do gry przystępuje ubrany w wymiętą wiatrówkę Włoch. Przynosi, chyba z bakarata plakietkę dwudziestotysięczną. Zamienia na żetony jedno- i dwutysięczne. Stawia na numery równie nonszalancko, chodząc dookoła stołu. Ale z jakże innymi rezultatami!

Za każdym razem po kilkadziesiąt tysięcy. Po kilku minutach szef stołu wzywa dzwoneczkiem na pomoc kasjera — brakuje na wypłatę — robi się sensacja — czyżby rozbicie banku? Ale nie. Gra toczy się dalej. Obserwuję, że Włoch chowa do wewnętrznej kieszeni kurteczki tylko plakietki 100-tysięczne. Po kwadransie ma ich już cztery. Resztę, ze 40 tysięcy przegrywa w dwóch turach. Odchodzi od stołu. Zostawia suty napiwek.

Mąci mi się w głowie — wygrać w kwadrans sto tysięcy dolarów! Wszystkie pojęcia, wartości walą się. To są mocne wrażenia, dalibóg. A nie wiem co mnie jeszcze czeka!

## PONIEDZIAŁEK, 5 MAJA, GODZINA DZIESIĄTA

Po okropnym wczorajszym dniu noc była jeszcze gorsza. Prawie wcale nie spałem. Włosi, gracze z Casino, wracali samochodami do pobliskiej granicy do świtu. Od wczesnego ranka w drugą stronę robotnicy włoscy na motorowerach do pracy. Ci i tamci kochają pełen gaz, pełne decybele. Nie mogłem znaleźć cichszego hotelu!

Od razu wychodzi mój układ. Wygrywam. O dziesiątej siedemnaście mam już swoje trzy tysiące. Na dziś koniec. Taki przebieg podoba mi się. U. nieco zdziwionego kasjera wymieniam z powrotem na banknoty. Jest raczej rozczarowany. Wychodzę w pełne słońce. Po wczorajszym deszczu dopiero widać co to znaczy wiosna na Lazurowym Wybrzeżu!

Ale mam dosyć wybrzeża z jego nieprzerwanym sznurem samochodów, spalinami, hałasem. Przecież te nadmorskie promenady powstawały dla dam w długich, jasnych sukniach, z parasolkami, dla panów w surdutach, białych alpakowych ubraniach, dla nieśpiesznych spacerów, najwyżej dla eleganckich powozów.

Postanawiam pojechać w góry, które są przecież o krok, obiad zjeść w jakiejś wiejskiej gospodzie prowansalskiej. Ze szczegółowej mapy Michelina (co to za wspaniałe mapy) — wybieram najcieńszą drogę. Jadę ścieżkami wykutymi chyba jeszcze przez Rzymian. Jest pusto i cicho. Strome zbocza pokryte kwitnącymi maquis i oliwkami. Zapach ten sam co po stronie afrykańskiej. Zatrzymuję się w urokliwym wąwozie. Szczerze się wzruszam. Gaje oliwkowe są zaniedbane, dużo tabliczek „a vendre", ale nie ma kogo zapytać „combien coute". Przypuszczam, że Francuzi wcześniej od nas przeszli chorobę kupowania działek podmiejskich, a teraz nie wiedzą co z tym zrobić — okolica jest zbyt dzika, strome, do morza za daleko. Chociaż ja bym nie zamienił tej ciszy na zapchane wybrzeże...

## WTOREK, 6 MAJA, GODZINA DZIESIĄTA

I ta noc była fatalna. W nie najlepszej formie przystępuję do walki. Pocieszam się jedynie, że może za kwadrans skończy się ta nerwówka. Ale po godzinie jestem ciągle poniżej zera. Nastrój się pogarsza. Może to również front atmosferyczny, który tu często przechodzi, a na który jestem tak czuły. Zaczynam wątpić w System. A może unieść to co już zdobyłem? Załamuję się całkowicie. Zapada decyzja, że jeśli wygram dziś swoją normę, wyjeżdżam z Monte Carlo. Jak zwykle pomaga. O jedenastej zero siedem numer dwadzieścia dwa przynosi mi trzy tysiące. Jak tu nie być przesądnym. Wobec tego muszę być uczciwy wobec Praw, które rządzą tym Światem. To moja ostatnia gra. Jutro wyjeżdżam. Co za ulga!

Po południu trochę zakupów zamówionych przez domowników. Nazajutrz rano wyjazd. Przed wieczorem jestem już w Genewie. Wydaję uroczystą kolację. Wydawało mi się, że Szwajcarię znam nieźle. Z jej bogactwem, schludnością, solidnością. Ale to mnie załamało: na wystawie sklepu zoologicznego — wanna do kąpania kotów!

Niczego nie żałuję. Wywiozłem wszak ponad dziesięć tysięcy franków — w ciągu sześciu dni to nieźle. To nic, że załamałem się nerwowo. System wszakże się sprawdził. Z godziny na godzinę staję się bardziej pewny siebie. Do domu wracam już spokojny i z pewnymi planami.

W biurze atmosfera coraz gorsza. Wstrzymane inwestycje, nie ma pracy dla projektantów. A jeśli nawet coś się trafia, to są to układanki z wielkopłytowych klocków. Obrzydzenie. Tym bardziej dla architekta, który coś niecoś zobaczył na świecie, który miał możność realizować tam swe pomysły. Nie widzę żadnego sensu pozostawania dłużej w tym kłębowisku układów, koterii, wydzierania sobie każdego grosza. Jeszcze większe obrzydzenie.

Przecież w ciągu tygodnia zarobiłem grubo więcej niż w biurze w ciągu roku. Dlaczego tego nie powtórzyć?

A przecież mam czym się zająć, przecież od tylu lat nie miałem dłuta w ręku, gdyż zawsze brakowało czasu i warunków. Jestem głęboko przekonany że to moje przeznaczenie.

Zwalniam się spokojnie, bez skandalu, chociaż przez moment korciło mnie. Ale chociażby przez szacunek dla niektórych kolegów, a głównie dla swych dwudziestu lat, najlepszych lat, tu spędzonych.

Urządzam sobie pracownię. Zamiłowanie i chyba zdolności mam po ojcu. To on rzeźbił okolicznym sklepikarzom przed wojną pieczątki z wymyślnymi ozdobami, a potem przerzucił się na lutnictwo. Kilka skrzypiec mam do dziś.

Biorę się ostro do roboty. Ale ileż mam czasu do rozmyślań. Czuję się stypendystą Księcia Pana. Wprowadzam obyczaj w domu, że pierwszy toast spełnia się za zdrowie Księcia Rainiera i Księżnej Gracji. Ich portret znajduje się na poczesnym miejscu. Nie wszyscy widzą w tym jedynie błazenadę.

Choroba odzywa się w niecałe pół roku. Zaczynam kręcić się koło paszportu.

I będzie się ponawiać mniej więcej z taką częstotliwością. To też chyba jakieś prawo biologiczno-matematyczne. Może w przyszłości zajmę się tym.

Obrastam powoli w pewne przyzwyczajenia — to podobno oznaka starzenia się. Te same trasy dojazdowe — jak najszybsze, te same hotele w Czechosłowacji, a następnego dnia we Włoszech: S. Carlo w Ponte ' della Priulla nad Piave. Czy może być bardziej dźwięczna nazwa? Czasem tylko zbaczam w jakąś wąską drogę, aby poznać Włochy prowincjonalne, zobaczyć prawdziwy targ czy ludowe święto. Północne Włochy są chyba najlepszym dowodem cudu gospodarczego i zasady „co małe to piękne, dobre". W małych, czystych, uporządkowanych zakładach krzątają się pracowici Włosi, o których z literatury i filmów mamy jakże odmienne wyobrażenia. Stare są tylko kościoły, kampanile i rynki. W najbardziej zapadłych dziurach domy to wille — cudeńka architektoniczne. I niepowtarzalne. Każda jest całością sama w sobie i nie kłóci się z sąsiednimi. Zawsze ogarnia mnie zawodowa zazdrość. I rozpacz, gdy widzę później nasze bunkry obok szklarniowych hal. Tylko ludowy, zakopiański czysty styl powinno się pokazywać cudzoziemcom!

W Monte Carlo jestem już bywalcem. Znam tu każdy kamień, umiem zaparkować samochód, wykpić się od mandatu dość surowych policjantów. Ale najważniejsze że i Casino mnie zna. Portierzy kłaniają się z szacunkiem, mam stałą wejściówkę. Jedynie z krupierami nie nawiązuję serdeczniejszych kontaktów. Wydaje mi się, że za każdym przyjazdem widzę w ich wzroku jakieś zaniepokojenie, przynajmniej niechęć. Nie dziwię się im. Interesuję się, co prasa pisze o hazardzie. Pamiętam niedawny skandal z nieuczciwymi krupierami w miejskim kasynie w Nicei i ujawnienie metody oszustw. Także wywiad z szefem kasyna w Monte Carlo — i dość szczere ujawnienie, że nie obawiają się nawet najbogatszych i najszczęśliwszych klientów — ci w końcu muszą przegrać. Największe straty przynoszą drobni, maniakalni ciułacze — tacy jak ja, którzy mają różne swoje systemy i podskubują systematycznie a dolegliwie.

Nie imponują mi już imponderabilia tej instytucji. Mnie interesują nade wszystko ludzie, dla psychologa, fizjonomisty, badacza ludzkich dusz materiał tu przeogromny. Rozumiem skąd taki kategoryczny zakaz robienia zdjęć — obok innych surowych przepisów.

Każda pora doby ma swoją odmienną, jakże się różniącą kategorię ludzi.

Ranni klienci to nałogowcy. Ludzie chorzy na ruletkę. Ludzie starzy, samotni, przegrani w życiu, próbujący resztkę swych dni utopić w zapomnieniu. Na dużą wygraną, zmianę losu nie liczą — nie mają możliwości startu. To oni zbierają się w holu przed godziną dziesiątą i niecierpliwie drepczą do pierwszego stołu aby zająć krzesła. Są ciągle ci sami, to znaczy za każdym moim pobytem ubywa kogoś — jestem absolutnie pewien, że dla nich istnieje tylko jedna droga wyjścia stąd — tak jak z domu starców.

Ten tryb życia niszczy ich szybko. Niszczy nie tylko zdrowie, ale i stan posiadania. W pół roku starzeją się tak, jakby minęło kilka lat — z trudem ich poznaję. Są coraz gorzej ubrani, niżej grają. Obserwowałem na początku pewną starszą damę, która zajeżdżała co prawda skromną Hondą, ale portierom zostawiała kłopot z parkowaniem, grała bardzo wysoko w Trente et quarante. Ostatnio w skromnej ciągle tej samej sukienczynie, pieszo, siada do ruletki z kilkoma najtańszymi żetonami. Wkrótce wychodzi. Twarz postarzała się o lat dziesięć.

Trzęsą się im głowy, a przede wszystkim ręce, gdy stawiają swe skromne dziesięciofrankówki. Z niesmakiem patrzą na moje — tysięczne. Jak goście knajpy trzeciej kategorii na zamawiającego whisky. Tak, kojarzą mi się ze starymi alkoholikami. Staje mi przed oczyma obraz warszawskiej knajpy, bodajże „Wiejskiej", gdzie wstąpiłem rano rozgrzać się herbatą oczekując na wizę w niedalekiej ambasadzie. Przed otwarciem podobny tłumek niecierpliwych, trzęsących się starych ludzi. I to pokorne błaganie o dodatkowy kieliszek.

To ten sam nałóg. Jakże ludzkie dna duszy są wszędzie podobne. Czy ja ich przypominam? Przecież ja też wyczekuję przed dziesiątą z niecierpliwym, głodnym wzrokiem. Aby jak najszybciej wykonać swoją powinność i opuścić to piekło. Wrócić do świata żywych, normalnych. Próbuję bronić się przed upodobnianiem do nich ironicznym uśmiechem, udaję że interesują mnie wystawy kostiumów z historycznych przedstawień w teatrze, afisze i plakaty sprzed wieku.

Ta grupa opuszcza Casino przed południem. Tego dnia już nie wraca. Sił nie starcza, a może dziesięciofrankówek.

Aż do wieczora skład graczy jest różny, przypadkowy. W sezonie będą to turyści, przejezdni. Raz gry są niskie, ospałe, innym razem wysokie, ostre. Jednego dnia obserwowałem pewnego dystyngowanego Włocha, który grał od rana bardzo wysoko, miał niesamowite szczęście, nie opuszczał żadnej gry, do piętnastej, kiedy odchodziłem, miał wygrane około miliona. Najbardziej podziwiałem jego nerwy.

Po kolacji, po dwudziestej pierwszej oblicze graczy zmienia się zasadniczo. Od tej pory obowiązuje strój wieczorowy. Jest to skrupulatnie przestrzegane w salonach prywatnych. Tylko w pierwszej sali mogą pozostać zapóźnieni gracze w koszulach i kurtkach.

Teraz wkracza tu le grand monde. Nowy i stary. Nowy to pewny siebie, agresywny, z byczym karkiem. Nouveaux riches. Otoczeni równie drapieżnymi samicami. Albo wynajętymi, wysoko wyspecjalizowanymi panienkami. Zresztą o twarzach anielic. Tylko oczy je zdradzają. Swą pustką.

Grają wysoko, ostro, bez uśmiechu. Czuję lęk przed nimi. Na szczęście wieczorem nie gram. Jedynie obserwuję. Dlatego kilkakrotnie legitymują mnie dystyngowani agenci. Z wielką kurtuazją. Aż za którymś razem denerwuję się i wymyślam im. Znoszą to z pokorą. Monte Carlo jest najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

Stary świat to już raczej relikty. To wprowadzane na wózkach damy obwieszone brylantami, aby ożywić nieco te twarze mumii, prowadzeni pod ręce przez dwóch wyfraczonych łagasów staruszkowie pokręceni przez podagrę. Ale zachowują swoją klasę. I cały personel jedynie w stosunku do nich wykazuje pełen szacunek.

A cóż ja robię w tym ludzkim zwierzyńcu?

Na pewno nie pasuję do żadnej z grup i z żadną się nie identyfikuję. Jestem jak yeti przebrany jedynie w maskę ludzką i dlatego nierozpoznawalny.

Raz tylko uchyliłem nieco swej maski. Było to chyba rok temu. Obok mnie siedział jowialny starszy pan dość skromnie ubrany. Zauważałem go od kilku dni, gdyż należał do nielicznych, którzy zachowywali się swobodnie, żartowali z krupierami. Zagadywał również do współgraczy i to dowcipnie. Widać, że bardziej ciągnęło go do ludzi niż do stołu. Dlatego zrobiłem wyjątek i zareagowałem, gdy również z czymś zwrócił się do mnie. Ponieważ już skończyłem swą grę, wstaliśmy od stołu, aby porozmawiać obok.

Sam przedstawił się od razu — jest Żydem, nazywa się G., mieszka przy granicy belgijskiej. Zastrzegł się, że zgodnie z miejscowym kodeksem nie wymaga tego ode mnie. Jednakże postanowiłem przeprowadzić test — niech zgadnie jakiej jestem narodowości. Pierwsza odpowiedź była, że jestem Libańczykiem, choć przypuszczam, że wziął mnie początkowo również za Żyda. Po podpowiedzeniu, że jestem Słowianiniem, również nie mógł trafić. A więc miałem dobrą maskę. Gdy przyznałem się wreszcie, że jestem Polakiem, ożywił się bardzo. Interesowało go szczególnie, dlaczego Polacy uchodzą za antysemitów. Długo tłumaczyłem mu co bywa u nas podłożem tego zjawiska, i kto na tym korzysta. Wydaje się, że go przekonałem. Rozgadaliśmy się. Przeszliśmy do sąsiedniej pustej sali. Opowiedział mi całe swoje życie. Smutne jak każde życie oceniane u schyłku i bardzo samotne. Co mnie najbardziej zainteresowało to to, że od trzydziestu lat jest stałym klientem Casina. Przyjeżdża tu, mimo że w pobliżu ma również ośrodki hazardu. Ale atmosfera Monte Carlo ma coś niepowtarzalnego. O tym i ja już wiem. Rodzinie tłumaczy, że przyjeżdża tu dla klimatu, na zlecenie lekarza. Skłonności do hazardu miał od młodości. Ojciec zaklinał go na wszystkie świętości, aby przynajmniej nie wstępował do kasyna. Ale na próżno. To samo próbuje przekazać mnie. Ale obaj wiemy, że to i za późno i beznadziejne.

Teraz jest, jak się wyraża, kloszardem; i ten sezon poszedł mu źle, zostało mu jedynie na powrót, a koleje we Francji są tanie. Zdradza mi ogólne zasady swego Systemu. Zarzeka się, że szczegółów nie może mi podać. Nasze Systemy posiadają pewne elementy, a raczej filozofie — wspólne. Jestem przekonany jednak, że mój jest bardziej naukowy. Oba nie są stuprocentowo pewne. On już się o tym przekonał. A ja?

Jak już mówiłem, choroba powtarzała się co pół roku, miała gwałtowny, ale krótki przebieg. Za każdym razem załamywałem się gdzieś po tygodniu. Przeważnie po jakimś niepomyślnym dniu, mimo, że i taki był przewidziany w Systemie i wkalkulowany, że System był ciągle udoskonalany. Zawsze uwoziłem wygraną, nie taką co prawda jaką planowałem, ale wystarczającą aby żyć w kraju dostatnio, wyjeżdżać na zagraniczne wycieczki, zajmować się swoim hobby. Ale ciągle dążyłem do tego, aby wytrzymać tak długo, aż zbierze się prawdziwa fortuna, pozwalająca na osiedlenie się na ukochanej Majorce.

Z atmosfery w kraju czułem, że może to być ostatni wyjazd. Tym razem przygotowałem się starannie. Postanowiłem przypuścić generalny szturm. Przeanalizowałem przyczyny dotychczasowych niepowodzeń, czy raczej niepełnych sukcesów. Zaopatrzyłem się w środki nasenne, uspokajające, znalazłem wreszcie prawdziwie cichy hotelik. Wziąłem odpowiednią ilość, z rezerwą, pieniędzy, odpowiednio długą wizę. Było już po sezonie, początek listopada, ale pogoda nadal piękna.

Postanowienie, że tym razem muszę wytrwać do końca, stanowiło jednak duże obciążenie psychiczne.

Toteż stawiając pierwszy żeton o godzinie dziesiątej pięć poczułem, że robi mi się słabo, na czoło występuje zimny pot i za chwilę upadnę. Znałem dobrze te objawy. Zdążyłem usiąść na krześle obok. Zacząłem się z całej siły szczypać w udo. Udało mi się nie stracić świadomości. Ale serce biło oszalałe. Na szczęście krupierzy marudzili. Zdążyłem podjąć wygraną. Przyjąłem to jako znak, ostrzeżenie. Trzeba się wycofać. Skarciłem się za znów odzywający się minimalizm. Wziąłem się w garść. Wróciłem do stołu. Za półtorej godziny poszło wszystko co wymieniłem na żetony. Było tego dużo.

Przez kilka następnych dni odrabiałem straty na niższych stawkach, na pierwotne już mnie nie było stać. Gdy już się podźwignąłem do odpowiedniej pozycji, podniosłem poprzeczkę i znowu otrzymałem starannie wymierzony cios. Była to ta sama ekipa krupierów. Podsłuchałem jak chwalili się między sobą, że najlepsza ekipa na świecie. Drwiąco spoglądali na mnie.

Cios ten mnie ogłuszył, ale i rozwścieczył. Straciłem zimną krew. Poderwałem się do boju zapominając o regułach walki. Trzeciego ciosu nie przetrzymałem.

Zapytacie, drodzy czytelnicy, po co to wszystko piszę? Czy jako przestrogę? Nie, to beznadziejne. Po prostu dla zabicia czasu. Za oknem dość obskurnego hoteliku pada beznadziejny, listopadowy deszcz, który powinien trwać do połowy grudnia. Wysłałem do Genewy telegram po pieniądze na wykupienie mnie z hotelu i powrót. Na szczęście w hotelu jest całodzienne wyżywienie, a właścicielka zna mnie jako solidnego gościa, chociaż zaczyna mi się podejrzliwie przyglądać.

Tak, przysłowia są mądrością narodów — wyżej d... nie podskoczysz. Ale już wiem, gdzie tkwił błąd...

Monte Carlo, listopad 1981

# 1

# Priorytety

Priorytety, „zielone światła" i tym podobne magiczne zaklęcia funkcjonują w naszej rzeczywistości od dawien dawna. Priorytetomania lat siedemdziesiątych pozostawiła naszej gospodarce priorytet priorytetów czyli splątę miliardowych długów. I w gruncie rzeczy, w tym momencie mógłbym skończyć swój wykład o priorytetach, bo cała ich reszta, ucieleśniona w rusztowaniach, betonowych ścianach, wykopach i fundamentach jeszcze przez wiele lat będzie symbolicznym pomnikiem martyrologii ekonomicznej dekady sukcesu.

Posierpniowa burza dekomponując poprzednią hierarchię priorytetów naprędce uszeregowała nową. A ponieważ te „zielone światła" beztrosko pozapalano we wszystkich kierunkach, każdy kolejny dzień przynosił wieści o nowych karambolach. A kiedy tę rozzielenioną sygnalizację wygaszono przyszedł czas na konstruowanie *następnego* katalogu priorytetów. Rzecz oczywista, że w każdym dziaŀaniu *powinna* zawierać się jakaś kolejność postępowania, jakieś pierwszeństwo, coś po czymś. Nakazuje to racjonalna pragmatyka i zdrowy rozsądek.

W normalnej sytuacji ekonomicznej społecznej i politycznej pieczętowanie hasłem „priorytet" poszczególnych działań jest zazwyczaj wyborem z wielu równoważnych możliwości: jest czas na rozważenie wszelkich „za" i „przeciw", dopuszczalny jest eksperyment, może zdarzyć się błąd.

W naszej sytuacji, która — bez fałszywych eufemizmów — i mimo „ostrożnego optymizmu" — odbiega przecież od stanu normalności, w sytuacji, że gdzie spojrzeć tam wyziera nastroszona potrzeba, której niemal natychmiast należy dać posłuchanie; dysponowanie priorytetami wymaga farmaceutycznej dokładności, takiej znajomości składników i proporcji. Priorytet obecnie to nie koleżeńska przysługa (bywało tak bywało!) ani nagroda za dobre sprawowanie, ale lek (żeby już zostać w aptece), który ma sprostać wielce powikłanej chorobie.

Kultura w naszej powojennej historii przeżywała swoje wzloty i ryzykowne obniżki pułapu latania, swoje zakręty i wyjścia na prostą. Można powiedzieć, puszczając mimo uszu rozmaite negacje w ocenach, które pojawiały się swego czasu, iż — generalnie rzecz traktując — jest ona znaczącym akcentem tych trzydziestu sześciu lat. Nie będę tu wymieniał jej osiągnięć ani tych instytucjonalnych, ani tych artystycznych. Są one wciąż żywą tradycją.

Właśnie z jej powodu wdałem się w dywagacje na temat priorytetów. Te kilka miesięcy, które minęły od dnia 13 grudnia i te kilkanaście poza które odszedł sierpień, ale i przecież całe poprzednie dziesięciolecia domagają się paru refleksji i paru spostrzeżeń. Piszę „paru" boć nie jestem w stanie, w kilkudziesięciu wierszach dokonać opisu tego wszystkiego, co w zakresie kultury niesie teraźniejszość oraz bliższa i dalsza przeszłość. Jedno widać jakby wyraźniej; w rysującej się obecnie hierarchii priorytetów kultura bywa przesuwana na plan dalszy. Wprawdzie jej instytucje prowadzą działalność taką do jakiej zostały powołane — wydawnictwa rozpowszechniają książki, teatry wprowadzają na afisze nowe sztuki, w filharmoniach rozbrzmiewają symfonie, świecą telewizory i gra radio — ale w powszechnych dyskusjach, tych notowanych oficjalnie i tych prywatnych, dyskusjach o cenach, długach, rolnictwie i związkach zawodowych, sprawy kultury przemykają się w rutynowych notatkach, że oto właśnie ukazała się taka to a taka książka, że „Mazowsze", że wystawa, „Vabank" i coś tam jeszcze. Kwintesencją takiego właśnie mówienia o kulturze jest np. telewizyjny „Pegaz". Owszem, wiem, że jedną z przyczyn takiej — nie ma co ukrywać — peryferyjnej obecności kultury jest nieuregulowana sytuacja czasopism kulturalno-społecznych. Te które się ukazują podejmują — nolens volens — tematykę społeczno-gospodarczo-polityczną, bo takie są wymogi dnia. Acz przecież myślimy i mówimy nie tylko w kategoriach dnia dzisiejszego. Zwłaszcza w dziedzinie kultury, której wartości krystalizują w długotrwałych procesach.

Nie rzecz nawet w priorytetach ekonomiczno-finansowych dla kultury, choć niejasne są jeszcze wszystkie konsekwencje reformy gospodarczej w tym zakresie, powiedziałbym także, iż nie w budżetach i dotacjach, choć i tu obowiązywać musi jakieś minimum, ale głównie w priorytecie humanistyczno-kulturowych imponderabiliów. Kulturę tworzą nie instytucje, gmachy, rozbuchane inwestycje, ale konkretni, żywi, myślący ludzie. Świat kultury to świat ludzkich wartości połączonych nader delikatnymi więzami. Wchodząc w ten świat, poruszajmy się w nim wszyscy, zgodnie z charakterem tych wartości.

GRZEGORZ GAZDA

# 2

## Zdarzenia i zwierzenia

# Los ziemi

Na Zachodzie ostatnio głośna stała się książka amerykańskiego publicysty Jonathana Schella pt. „Los Ziemi", mówiąca o niebezpieczeństwach wojny nuklearnej. Materiał jaki autor prezentuje czytelnikom jest szokujący i przerażający. Schell dochodzi bowiem do wniosku, że ewentualna wojna nuklearna nie zakończy się zwycięstwem żadnej ze stron — będzie natomiast kresem ludzkości na kuli ziemskiej.

*„Zwycięstwo w wojnie nuklearnej jest niemożliwe* — pisze autor — *doktryna odstraszania jest sprzeczna z logiką. Jeśli raz podjęte zostanie uderzenie, załamią się wszelkie doktryny, a rozpocznie się etap totalnego zniszczenia".*

Nie trzeba specjalnej wyobraźni, aby zrozumieć, że Jonathan Schell, ani nie straszy, ani nie bawi się w wątpliwej jakości futurologię. Po prostu pisze to, co wiadomo na tzw. chłopski rozum.

Dlatego nie o książce amerykańskiego autora chcę tu mówić, lecz o pozycji i kondycji rodzaju ludzkiego. Człowiek w swoim zadufaniu i pewności siebie określił się jako homo sapiens — istota rozumna. A przecież dzieje ludzkości dowodzą, że jest to bodaj najbardziej ułomne psychicznie i nierozumne stworzenie żywe na kuli ziemskiej.

Żadne z żyjących stworzeń nie zabija drugiego z przyczyn irracjonalnych. Zabija wtedy, gdy jest głodne, albo gdy zostało zaatakowane. Historia ludzkości natomiast pełna jest nienawiści rasowych, wojen religijnych i eksterminacji z przyczyn ideowych. Człowiek nienawidzi i zabija drugiego człowieka dlatego, że ten wyznaje inną wiarę lub ideologię. Człowiek wznosi budowle, które nikomu i niczemu nie służą. Człowiek zabija nie po to, aby zaspokoić głód — i człowiek je nie będąc głodnym. Człowiek wreszcie zdolny jest zadać śmierć samemu sobie, co nie zdarza się żadnej istocie żywej na świecie. W końcu tylko człowiek wymyślił niewolnictwo.

Od dziesiątków lat uczeni szukają w tysiącach wykopalisk tzw. trzeciego ogniwa — śladów istoty żywej, która byłaby formą przejściową między zwierzęciem a istotą inteligentną. Jak dotąd ślad urywa się na Neandertalczyku, który już na pierwszy rzut oka bardziej przypomina małpę niż najbardziej prymitywnego Pigmeja, który jednak z całą pewnością jest człowiekiem.

Myślę, że szukanie trzeciego ogniwa skazane jest na niepowodzenie i to wcale nie dlatego, że tego trzeciego ogniwa nie ma. Przeciwnie — ono jest bardzo blisko szukających... Kłopot polega na tym, że człowiek autokratycznie ustalił swoją pozycję homo sapiens — szuka więc trzeciego ogniwa nie dopuszczając nawet myśli, że jest nim właśnie rodzaj ludzki.

W niezmierzonych przestrzeniach kosmosu istnieją na pewno istoty inteligentne. Już dziś niektórzy uczeni mówią o formie — życia czy świadomości? — zwanej rozumem kosmicznym. Jest to jak dotąd jedyne sensowne wytłumaczenie zjawisk zachodzących na ziemi, które nie dają się wyjaśnić, a czasem i opisać przy pomocy aparatu naukowego dostępnej nam wiedzy.

Jonathan Schell dokumentujący w sposób drobiazgowy i pedantyczny wizję zbiorowego samobójstwa ludzkości — zapewne w sposób całkowicie niezamierzony potwierdza tezę, o niepoczytalności rodzaju ludzkiego, który mianował się rodzajem rozumnym.

Wiele wykopalisk skłania do przypuszczenia, że na kuli ziemskiej dokonała się już kiedyś katastrofa nuklearna o wymiarze totalnym. Ślady takich katastrof spotykamy we wszystkich prawie religiach świata.

Dziś na kuli ziemskiej zgromadzono takie zasoby broni nuklearnej, że gdyby ten arsenał raptem eksplodował z ziemi pozostałaby jedynie wypalona pustynia, a lądy i kontynenty zmieniły by swoje położenie. Ten odbezpieczony granat nuklearny przechowuje pod łóżkiem człowiek — homo sapiens — istota podobno rozumna...

Jeśli kierunek polityki współczesnego świata zmierzał będzie nadal po linii szalonych zbrojeń i nierozumnych nienawiści — może się okazać, że ponura wizja Jonathana Schella stanie się realną rzeczywistością. Ale tego nie będziemy już w stanie stwierdzić, bo zanim przyjdzie refleksja zamienimy się w obłok pary. A zatem refleksja powinna przyjść zanim nastąpi wielkie BUMM....

JERZY WILMAŃSKI

# 3

## Lewym okiem

# Mniejszości chińskie

W moim gimnazjum — a było to przed wojną, w Warszawie — obowiązywał w ostatniej klasie przedmaturalnej przedmiot, o którym dzisiejsi maturzyści niewiele wiedzą: propedeutyka filozofii. Wykładał go autor wielu podręczników, tłumacz filozofów rosyjskich, prof. Adam Zieleńczyk, ojciec późniejszej słynnej bojowniczki lewicowego podziemia, zamordowanej przez Gestapo, poetki Wandy Zieleńczykówny. To właśnie prof. Zieleńczyk zaszczepił we mnie tę sceptyczną postawę wobec wszystkiego, która — być może — zaprawia każdą falę jakże przyjemnego optymizmu kroplą gorzkiego niedowierzania, ale też łagodzi rozczarowania i zawody.

Z tym swoim upartym sceptycyzmem przyjąłem też artykuł Piotra Kuncewicza w pierwszym po paromiesięcznej przerwie numerze tygodnika „Fakty", artykuł pt. „Ile Polska przetrwa?". Optymistyczny wydźwięk końcowy tego artykułu tak się ogólnie podobał, że zacytowało go w „Przeglądach prasy" kilka czasopism, z „Polityką" na czele. A oto ostatnie zdania artykułu Kuncewicza:

*„Mniejszości w Chinach czy Indiach mają trzy—cztery tysiące lat i jakoś istnieją dalej bynajmniej nie ginąc. Mimo uwikłań naszej historii i wciąż trwającego obecnego dramatu mamy przed sobą lat... trzy tysiące, na razie (już po odliczeniu naszego tysiąca). Mało czy dużo? — proszę pamiętać, że mówię o ewentualności najgorszej".*

Czyli tak: mniejszości w Chinach „jakoś istnieją" już cztery tysiące lat, my istniejemy tysiąc, czyli mamy przed sobą w najgorszym razie jeszcze trzy tysiące. Nie wydaje mi się ten wywód nazbyt nośnym intelektualnie.

Już nawet mniejsza o to, że perspektywę „jakiegoś tam istnienia" autor koniecznie chce nam zabarwić na różowo. „Nie martwcie się, jakoś tam będzie". Niech by wreszcie najgłębszy lamus pochłonął to złowieszcze, a tak bogate w tradycję „jakoś tam będzie". Ale — powiadam — mniejsza o to — tylko skąd ta pewność, że przykład mniejszości chińskich i indyjskich jest dostatecznym, absolutnie sprawdzonym dowodem niezniszczalności narodów? Przecież sam Piotr Kuncewicz w tym samym artykule, zrobił wszystko żeby ten dowód podważyć żeby zrelatywizować w ogóle wiarę w niezniszczalność jakiejkolwiek — małej, dużej czy bardzo wielkiej — grupy etnicznej. Przecież sam Piotr Kuncewicz pisze w pierwszych zdaniach, czego „Przeglądy prasy" nie cytują, co następuje:

*„Trudno zaprzeczyć, że narody umierają Co się stało z Sumerami? Fenicjanami? Kartagińczykami? Hetytami? Etruskami? Gdzie jest dumne Hurri? Groźne Mitanni? Historia Etrusków obejmuje jakieś siedemset lat, Sumerów ponad tysiąc. Sporo jeszcze innych państw istniało dłużej niż nasze tysiąclecie i w tej chwili nie ma po nich śladu ( ) Nikt nie potrafił powiedzieć słowa po luwijsku, karyjsku, licyjsku, pelazgijsku i nawet nie wiedział co to takiego..."*

Setki i tysiące lat istnienia też jeszcze nie przesądzają o perspektywach na dalsze setki i tysiące. Są przykłady Bułgarów, Irlandczyków, Litwinów, którzy mimo bardzo długiej nieobecności na mapach politycznych odradzali swe byty państwowe, są mniejszości chińskie, które istnieją wciąż mimo braku formy państwowej i są przykłady Sumerów i Hetytów, po których niemal słowo nie zostało. Wszystkie te przykłady wskazuje nam ta sama ręka — Piotra Kuncewicza — a potem nagle wyciąga z tego beztroski wniosek: świat nie jest taki zły, historia nie ma siły nieograniczonej, jakoś tam trzy tysiące lat się przekołacze.

Wolę publicystów o bardziej zracjonalizowanym, choćby przy tym i bardziej brutalnym, sposobie myślenia. To nieprawda, że choć byśmy nie wiem co wyczyniali, Polska — a przynajmniej naród polski — zginąć nie może Nieprawda! Już czterdzieści lat temu ostrzegał Edmund Osmańczyk, że istnieją granice wykrwawienia narodów, po przekroczeniu których może nie być odwrotu. Na pytanie „Ile Polska przetrwa?" nie da nam odpowiedzi dowolnie wybrana historyczna analogia. Historie narodów były różne, a wachlarz tych różności nie jest przecież zamknięty. Może się zdarzyć wszystko. A to, co się naprawdę zdarzy, zależy od nas. Jeszcze raz sceptycznie: zależy w pewnym stopniu od nas i ten zasadniczy fakt nie może nigdy znikać z wyobraźni świadomych obywateli tego kraju.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI (ĆWIEK)

# 4

## Sport

# Trójkąt

Trójkąty są różne. Ten, o którym chcę pisać funkcjonuje — albo raczej powinien funkcjonować — w każdym klubie sportowym. Opowiadał mi o nim kiedyś pewien znakomity piłkarz. Jest to trójkąt składający się z trzech sił: działacza sportowego, trenera i zawodnika. Ów piłkarz mówił:

— Jeśli w trójkącie: działacz — trener — piłkarz wszystko dobrze funkcjonuje, to drużyna osiąga dobre rezultaty, zdobywa gole, punkty, pnie się w górę po ligowej drabinie. Jeśli w tym trójkącie coś zacznie szwankować, choćby tylko w jednym punkcie, wtedy drużyna zaczyna kuleć i to odbija się na jej wynikach.

Od siebie mogę dodać, że najczęściej obrywa za to trener, rzadziej działacz sportowy, jeszcze rzadziej zawodnik. Znamy przecież z łódzkiego podwórka „dymisje" trenerów klubowych — i to nie tylko drużyn piłkarskich — którzy odchodzili „do innej pracy" często za winy działaczy lub zawodników, a często dlatego, że weszli w konflikt albo z działaczami, albo z zawodnikami. W „Sportowcu" Witold Duński spisał spowiedź Kazimierza Górskiego. Znakomity trener opowiada o tym, jak traktuje się trenera w Grecji. Fanatyczni kibice po przegranym meczu domagają się głowy trenera. Ich zdaniem on zawinił. On też musi ponieść karę. I wszechmocni prezesi idą sfanatyzowanym kibicom na rękę i wywalają trenera z pracy, mimo, że chronią go różne umowy oraz prawo. Ale wszechmocny prezes woli narazić się prawu niż sfanatyzowanym kibicom.

U nas — można powiedzieć nie ma aż tak krwiożerczych kibiców, a przecież karuzela trenerów funkcjonuje. Nie wyrzuca się ich na bezpośrednie żądanie widzów na stadionie, ale jak drużyna zaczyna kuleć całą winę ponosi trener. Idzie później do innego klubu i wcale nieźle sobie radzi, wyciąga drużynę z ligowego dna, ale później znów coś się psuje w drużynie i trener szuka pracy. A przecież nie zawsze źle jest w trójkącie akurat na tym wierzchołku, który przypisano trenerowi. Niech przykładem będą dwa kluby łódzkie: ŁKS, gdzie ciągle zmieniali się trenerzy, a mimo to drużyna zbyt wysoko nie zaszła i RTS Widzew, gdzie też zmieniali się trenerzy, ale drużyna plasuje się na szczycie tabeli. A więc nie tylko zmiana trenera jest lekarstwem dobrym na wszystko.

W tygodniku „Piłka Nożna" Honorowy Członek PZPN — Mieczysław Szymczak ubolewa nad poziomem przygotowania naszych trenerów piłkarskich Nie wszystkich oczywiście, ale tej średniej większości. Jego zdaniem — to dobrze, że przygotowani są na wyższych uczelniach, ale sama uczelnia, nawet najlepsza, nie wystarczy. Trzeba też trochę wylać z siebie potu na piłkarskim boisku. Bez tego nie ma dobrej pracy. Nie przypadkiem w innych krajach trenerami zostają gwiazdy piłkarskie, bo i autorytet mają, i doświadczenie, i wiedzę. Niektórzy piłkarze myślą i u nas o tym, aby po zakończeniu kariery zacząć trenować innych. Wielekroć coś takiego deklarował już Jan Tomaszewski.

Na drugim wierzchołku owego trójkąta jest działacz sportowy. Pozostaje on najczęściej w cieniu. Nie pisze się o nim w gazetach, nie występuje w telewizji, robi swoje. Dba o klub, o jego egzystencję. Był taki czas — o czym mi opowiadano, a czego słuchałam z niedowierzaniem — że do pracy społecznej w sporcie delegowało się różnych ludzi.

— Słuchajcie Kowalski — mówiła jakaś Ważna Osobistość — w naszym klubie sportowym „Zdrowie to siła" źle się dzieje. Pójdziecie tam i zrobicie porządek, wydźwignięcie ich na czołowe miejsce.

— Ależ ja... — bąkał nieśmiało Kowalski.

— Dobra, dobra, chcecie powiedzieć, że nie znacie się na sporcie. Nie szkodzi, nauczycie się, poznacie nową dziedzinę życia, poszerzycie horyzonty i dla sportu coś zrobicie. No, cześć! Powodzenia!

Najlepiej by było, gdyby działaczami sportowymi zostawali przede wszystkim byli sportowcy, ale oni się na ogół do tego nie palą. A stara kadra, która sport ukochała już się wykrusza. Tymczasem właśnie dziś, kiedy sport razem z innymi dziedzinami życia znajduje się w trudnej, kryzysowej sytuacji, potrzeba ofiarnych, oddanych klubom, pełnych dynamizmu, dobrej woli i pomysłowości działaczy. To oni będą spędzali bezsenne noce, dumając nad tym, skąd dla klubu wziąć pieniądze? To oni będą myśleli nad tym, jak wyzwalać społeczne inicjatywy, aby sport nie zamierał na anemię z braku witamin. To oni będą kombinowali, jak tu nawiązać kontakt z zagranicznymi klubami, aby sportowcy nie zardzewieli we własnym sosie. Dziś potrzeba działaczy z prawdziwego zdarzenia. Nie potrzeba natomiast sportowych urzędników, ludzi bez wyobraźni, bez polotu, bez pomysłów.

Skąd ich brać?

Czas rodzi potrzeby i czas rodzi ludzi, którzy tym potrzebom gotowi są sprostać. Niekiedy trzeba tylko dobrze się rozejrzeć.

No i trzeci wierzchołek trójkąta — zawodnik. Ale to już zupełnie inny temat.

BOGDA MADEJ

# Miłość staropolska

**Publikowany dziś fragment przygotowanej do druku przez Wydawnictwo Łódzkie książki ZBIGNIEWA KUCHOWICZA pochodzi z rozdziału „MIŁOŚĆ W KULTURZE SZLACHECKIEJ I LUDOWEJ" i dotyczy problemów miłości w kulturze ludowej.**

Inaczej przedstawiały się sprawy miłości w kulturze ludowej. Odmienność występujących tutaj poglądów m. in. na stosunki rodzinne, moralność seksualną, podkreślają najnowsze badania, niestety nie rozpatrując szerzej tych problemów. Wiemy jednak, że kultura ta, szczególnie do XVII w. była dość zwarta, jej modele często nawet silniej oddziaływały niż nauki Kościoła. W interesującej nas dziedzinie nawiązywano do przedchrześcijańskich jeszcze wzorów, kierowano się przenoszonymi od wieków przez tradycję zwyczajami.

Staropolski folklor poświęcał wiele miejsca szeroko pojętej miłości, przede wszystkim w pojęciu fizycznym. Niestety, purytanizm dziewiętnasto-, a nawet dwudziestowiecznych autorów i wydawców spowodował, że twórczość ta została stuszowana, czasem zaś całkiem zatarta. Publikacje przedstawiające dorobek ludowy starannie i skrupulatnie „oczyszczano" z drastyczności. Czynił to, choć nie zawsze, m.in. etnograf przeszłego stulecia, Oskar Kolberg. Praktyki te stosuje się zresztą do lat ostatnich: wielka, pomnikowa edycja przysłów polskich została pozbawiona obscenów. W konsekwencji szerokie kręgi czytelników nie znają prawdziwych poglądów i zachowań dotyczących miłości w dawnej kulturze ludowej. Dopiero zapoznanie się z archiwaliami, rzadkimi wydawnictwami źródłowymi czy równie nielicznymi pracami specjalistycznymi ukazuje inny obraz, tętniący namiętnościami, pulsujący krwią, daleki od skromności i bogobojności, jaką najczęściej serwowali czytelnikom dawni autorzy. Należy wszakże podkreślić, że często zaskakujące drastyczności nie uważane były w tym środowisku za coś niemoralnego, po prostu wiążą się z inną koncepcją człowieka i jego losu, z odmienną postawą wobec życia, z odmiennym poczuciem wstydliwości, przyzwoitości, itd. Istniała wówczas kultura ludowa typu obscenicznego, nie należy traktować jej jednak, czy raczej wyłącznie, jako prymitywnej pornografii. Badania naukowe zwróciły ostatnio uwagę na rozmaite uwarunkowania, a przede wszystkim różnorodne funkcje drastyczności występujących w folklorach różnych narodów. Erotyka folkloru staropolskiego należy do zjawisk powszechnych, występujących w całej cywilizacji ludzkiej. Z miejsca pragnę tu uspokoić czytelników, iż nasze poglądy i zwyczaje były bardziej umiarkowane, niźli postawy i zachowania zarówno kręgów zachodnich, m. in. ludu francuskiego, jak też chłopskiej ludności ruskiej czy południowosłowiańskiej. Rozpatrujący te zjawiska Michał Bachtin uważa, że występujący w kulturze ludowej „żywioł materialno-cielesny" jest pierwiastkiem na wskroś pozytywnym, nie pozwalającym w żaden sposób na oderwanie się od materialnych korzeni świata, nie dopuszczającym do izolocji i zamknięcia. Uczony pisze, że „przeciwstawia się wszelkiej abstrakcyjnej idealności, wszelkim roszczeniom do nadawania znaczeń niezależnych i odciętych od ziemi oraz ciała. Powtórzmy: ciało i życie cielesne posiadają tutaj charakter kosmiczny, a zarazem powszechny, publiczny; a nie chodzi bynajmniej o ciało i fizjologię w wąskim i ścisłym znaczeniu współczesnym; nie są one jeszcze całkowicie zindywidualizowane ani wyodrębnione spośród reszty świata. Nosicielem pierwiastka materialno-cielesnego nie jest odrębny biologiczny osobnik, ani też burżuazyjne samolubne indywiduum; nosicielem jego jest lud, który w toku swego rozwoju nieprzerwanie rośnie i odnawia się. Dlatego cielesność jest tu tak majestatyczna, zhiperbolizowana, niezmierzona. Przesada ta ma charakter pozytywny i aprobatywny". Bachtin zwraca uwagę, że przewodnim motywem obrazów życia cielesnego jest płodność, wzrost. (...)

Analizując obrzędy, utwory i rozmaite materiały dotyczące kultury ludowej powstaje przekonanie, że operowanie drastycznościami stanowiło często pozostałość dawnych kultów wielbiących miłość jako wielką, niezniszczalną siłę chroniącą ludzkość przed wygaśnięciem. Obchodzone u nas obrzędy sobótkowe miały wyraźny charakter święta miłości, podczas którego następowało oczyszczanie przez ogień i wodę. Łączyły się z pląsami, śpiewaniem erotycznych pieśni, skakaniem nago (obu płci) przez ognisko, itd. Moraliści chrześcijańscy zdecydowanie zwalczali Sobótkę widząc w niej pozostałość pogańskich, „diabelskich", niemoralnych praktyk. Często cytuje się Marcina z Urzędowa, który biadał: „Do tych czasów w Polsce święto tej diablicy (Dziewanny) święcą, czyniąc Sobótki, paląc ognie (...) tamże śpiewając diabelskie pieśni plugawe". Jan Długosz piętnował erotyzm, jaki występował przy obchodach przedchrześcijańskiego święta „Stado". Opisując pogańskie obrzędy powiadał: „obchodzono zaś je przez bezwstydne i lubieżne przyśpiewki i ruchy, przez klaskanie w dłonie i podnietliwe zginanie się oraz inne miłosne pienia, klaskanie i uczynki przy równoczesnym przywoływaniu wspomnianych bogów i bogiń z zachowaniem rytuału. Obrządek tych igrzysk, raczej niektóre jego szczątki (istnieją) u Polaków aż do naszych czasów (...) powtarzane są co roku na Zielone Święta i przypominają dawne zabobony pogańskie dorocznym igrzyskiem zwanym po polsku „Stado", kiedy to stada narodu zbierają się na nie i podzieliwszy się na gromady, czyli stadka, w podnieceniu i rozjątrzeniu umysłu odprawiają igrzyska, skłonni do rozpusty...". W omawianych czasach obchody te były rzadsze, niemniej relikty się utrzymywały.

Jeśli chodzi o obscena dotyczące narządów płciowych, to w pewnej mierze stanowiły relikt dawnych kultów, w których fallus symbolizował płodność i siłę życia. Z drugiej strony chętnie podkreślano wartość seksualną mężczyzn, przejawiającą się m. in. w okazałych genitaliach.

Analizując materiały dotyczące ludowej obyczajowości erotycznej odnosi się nieodparte wrażenie, że przez długi czas, mniej więcej do schyłku XVII w., funkcjonowały tu postawy i normy jeszcze przedchrześcijańskie, kierujące się inną etyką seksualną, traktujące szeroko pojętą miłość jako naturalną dziedzinę życia. Konsekwencją tej postawy był liberalizm okazywany wobec związków miłosnych ludzi stanu wolnego, przede wszystkim młodzieży, inny stosunek do spraw, używając dzisiejszego terminu, seksu.

W koncepcji ludowej miłość fizyczną traktowano bynajmniej nie jako zabieg higieniczny, jak często w wyższych warstawch, lecz jako czynność spontaniczną, uosabiającą piękno i radość życia. Stąd też ten ton beztroskiej, żywiołowej uciechy towarzyszącej ludowym pieśniom miłosnym i zalotnym. Tutaj nie uprawiało się miłości z zegarkiem i horoskopem. Kultura ludowa otwarcie przedstawiała (w pieśniach, przysłowiach, przypowieściach) akt erotyczny, uniesienia i rozkosze miłości. Traktowała te sprawy jako naturalne, zgodne z porządkiem i sensem życia i świata. Nie można zaprzeczyć, że to wielbienie miłości stanowiło nie tylko relikt dawnych wierzeń, lecz także wezwanie, zachętę do jej uprawiania. Stąd też zmysłowość, jurność ludowych przyśpiewek i opowieści, stąd także świadoma dążność do wywołania podniecenia erotycznego. Badający ludowe zwyczaje miłosne i weselne Henryk Biegeleisen akcentuje ten klimat: „Na rykowisku jelenia czy na toku głuszcza odzywa się ten sam, co na ludowym weselu instynkt, to samo podniecenie, rwące się do czary uciech". Uznawanie i ukazywanie żywiołowych porywów miłości fizycznej jako zjawisk właściwych naturze ludzkiej dominowanie w twórczości sowizdrzalskiej fizjologicznego aspektu erotyki, akceptują nowe badania dotyczące pozycji pieśni ludowej, m. in. Jadwigi Kotarskiej, Adolfa Dygacza. (...)

Swoboda wynikała także z innych przyczyn. Miłość w kulturze ludowej traktowana jest bez śmiertelnej powagi. W jej przedstawieniu i ocenie przejawiała się ludowa kultura śmiechu, która przez tysiąclecia istnienia, w różnych krajach, dążyła do przełożenia na codzienny, komunikatywny język obrazów kulturowych, m. in. spraw miłości. We Francji te ludowe tradycje pogodnie ujętej miłości uwiecznił przede wszystkim Rabelais. Sięgali do nich jeszcze i wielcy realiści XIX w. U nas ten sam pogodny, pełen humoru, stosunek do omawianych zjawisk znalazł odbicie przede wszystkim w erotyku ludowym, twórczości sowizdrzalskiej, także fraszce szlacheckiej, która od Reja począwszy czerpała motywy z folkloru. Postawę tę uwiecznił po wiekach w „Chłopach" Reymont. W tej arcypowieści miłość przedstawiona została w różnych aspektach, m. in. z prastarym poczuciem ludowego humoru.

W rozpatrywanym modelu prawo do miłości aktywnej przyznawano nie tylko mężczyznom, lecz także kobietom. Również i u nas, może tylko w mniejszym stopniu, występowało też przekonanie o odradzającej sile nie tylko samej miłości, lecz właśnie kobiety. Stanowiła tu nie obiekt, lecz równorzędnego partnera w sprawach erotyki. Częściej niż u szlachty miało tam miejsce dobieranie sobie mężów przez dziewczęta i w ogóle większa w tej dziedzinie samodzielność młodych.

Trudno wyrokować ze źródeł o wrażliwości uczuciowej partnerów. Według ocen zdecydowanie przeważały uczucia pierwotne — zmysłowość. Spotykamy się wszakże nieraz i z bardzo subtelnymi reakcjami. Należy wskazać na istnienie wielu klechd mówiących o miłości przezwyciężającej nieraz najsroższe zakazy. Przecież ludowego pochodzenia jest właśnie podanie o rodzeństwie Oświęcimiów, które aż w Rzymie szukało zezwolenia dla swej niedozwolonej miłości. W tym czasie krążyły podania o zaklętych księżniczkach, wieżach z uwięzionymi dziewczętami, śpiewano dumy o słynnych, wielkich uczuciach, towarzyszących im zbrodniach i przedwczesnych tragicznych zgonach. Wiadomo, że średniowiecza sięga temat pieśni o pani co — z miłości do innego — „zabija pana". Faktu przecież nie zmienia, że ocena tej kobiety jest tu zdecydowanie negatywna. Wiadomo, iż krążyły pieśni dotyczące miłości króla Zygmunta do pięknej Barbary. Wiele ludowych pieśni miłosnych urzeka właśnie subtelnością, a nawet złożonością psychologii literackiej bohaterów. Sprawy te wymagają dalszych badań, jest wszakże rzeczą pewną, że miłość o sensie duchowym znajdowała w tym modelu także miejsce.

Realizacja ukazujących zmysłowość koncepcji, jak i ona sama wzbudzała naganę zarówno Kościoła, jak także uznającej inne normy opinii szlacheckiej. Na przestrzeni omawianego okresu zarysowały się wyraźnie różnice między koncepcjami miłości reprezentowanymi przez kręgi wykształcone a wzorcami ludowymi. O zdecydowanie większym liberalizmie modelu ludowego jeszcze w XVII stuleciu informuje wiele źródeł. Na przykład Wacław Potocki przeciwstawiał surowe, jeśli chodzi o sytuację kobiet i stosunki przedmałżeńskie, obyczaje szlacheckie swobodnemu postępowaniu chłopstwa:

*...Inakszej zażywają chłopi na wsi mody,*
*Bo i zmowa na piecu i łożnica wprzódy,*
*Intercizy, pieczęci i praw na się wlewki,*
*Że parobek do śmierci nie opuści dziewki,*
*Aż skoro pannie młodej brzuch nosa dosięga,*
*Wtenczas ślub i małżeńska nastąpi przysięga,*
*Wtenczas Veni Creator każe śpiewać klesze,*
*I włosy, świadki swego dziewictwa, rozczesze,*
*Więc, kiedy u szlachcica zwykle przenosiny,*
*U chłopa, gdzie łożnica, tam będą i chrzciny.*

(...) Opinie o dość częstym łamaniu narzucanych form potwierdzają także księgi sądowe, zamieszczające sprawy toczone przed władzami wiejskimi o cudzołóstwo i inne grzechy tyczące szóstego przykazania. Jak zdaje się wynikać ze skarg niektórych przedstawicieli kleru, do początków XVIII w. nie spotykały się one ze zdecydowanym potępieniem opinii wiejskiej. Mówią one o cudzołożnikach, którzy przekupiwszy ławników gorzałką, byli „publicznie przez wszystkich w karczmie „gloriabantur". Zdarzeń tego rodzaju nie można generalizować, jest wszakże rzeczą pewną, iż przez długi czas nie przestrzegano norm moralności seksualnej narzucanych przez Kościół i świeckie władze feudalne.

Na większą swobodę tego modelu, wypieranego przez religię i stosunki panujące w gospodarce folwarczno-pańszczyźnianej, zwracają uwagę zarówno dawne jak najnowsze badania etnograficzne. Pośród protestanckich Mazurów pruskich do drugiej połowy XIX w. panował zwyczaj, iż młodzieniec obcował z dziewczyną przez czas dłuższy, a żenił się z nią dopiero wtedy, gdy zostawała matką. Henryk Biegeleisen w latach międzywojennych stwierdza: „Poglądy ludu naszego na małżeństwo i stosunki płciowe nie są wolne od wyobrażeń z doby pierwotnej. Trafiają się jeszcze (podkreślenie moje Z.K.) pożycia na wiarę, tj bez ślubu kościelnego i w opinii ludu nie zawsze są źle widziane. Stosunki pomiędzy osobami nie połączonymi ślubem małżeńskim doznają pobłażliwości, a nawet poparcia (...) W niektórych zakątkach polskich zachował się jako pozostałość z czasów pierwotnych (podkreślenie moje Z.K.) zwyczaj obcowania dziewcząt przed zamęściem, obok ścisłego przestrzegania u kobiet wierności małżeńskiej". Nowe badania etnograficzne podkreślają, że swoboda erotyczna występowała na terenach, gdzie obserwowano słabe wpływy Kościoła i miał miejsce inny typ gospodarki.

Najdłużej przetrwały dawne zwyczaje na Podhalu. Materiały z początku XIX w. stwierdzają, że zachowywano tam lojalność i wierność małżeńską. Jeśli jednak chodzi o młodzież obu płci, to cieszyła się ona najdalej idącą swobodą; od najwcześniejszych lat współżyła ze sobą płciowo i czyniła to zupełnie oficjalnie. Obserwator pisał: „Noc to dopiero prawdziwa uciecha dla młodzi góralskiej. Każden nieomal wyrostek kochankę posiada, a schodzą się po nocach, najczęściej się to dzieje, iż razem się spać kładą (..) dziwna to, iż takiego spółkowania przedślubnego nie mają sobie za występek każący moralność i obyczajność, ale przeciwnie, dziewka widziałaby się zhańbiona, jeśliby kochanka nie miała".

Przedślubna swoboda — jakby żywcem przejęta z przedchrześcijańskich obyczajów słowiańskich, opisywanych w źródłach arabskich — była tam uznawana i aprobowana przez rodziców, nie czyniących żadnych przeszkód, nawet pochwalających takie postępowanie w myśl zasady: „niech się poznają, kiedy ich Bóg dla siebie przeznaczył". Znamienne, że tego rodzaju zwyczaje utrzymywały się na Podhalu do ostatnich czasów. Badająca te sprawy w 1952 roku Kowalska-Lewicka pisze: „Młodzież, która dopiero wchodziła w wiek parobcenia się i dziwcenia, utrzymywała stosunki płciowe bez żadnego wyboru, stosownie do nadarzającej się okazji. Partnerzy zmieniali się niemal co noc, czasem byli to nieznajomi. Z czasem związki zaczynały się utrwalać. Nieraz dziewczyna miała dwóch lub nawet kilku narzeczonych, a chłopiec kilka kochanek. Im bardziej młodzież zbliżała się do wieku małżeńskiego (dziewczyna około osiemnastu lat, chłopiec po wojsku), tym trwalsze stawały się związki (...) W tych warunkach (...) nieślubne dzieci nie były zbyt wielką kompromitacją dla dziewczyny". Dla ludności Podhala zachodząca po wojnie „rewolucja obyczajowa" nie stanowiła oczywiście żadnego novum. Bardzo istotny jest fakt, że w obyczajach miłosnych społeczeństwo przyznawało tam dziewczętom te same prawa co parobkom. Również wybór męża zależał od woli panny, która kierowała się upodobaniem, skłonnościami serca. Należy tu podkreślić, iż po okresie przedślubnej swobody pożycie małżeńskie układało się bardzo dobrze, kobieta cieszyła się w społeczności góralskiej szacunkiem i miłością bodaj większą niż kobiety innych regionów kraju.

Badania historyczne dotyczące krajów europejskich, m. in. Hiszpanii, Italii, Bałkanów, wskazują, że wszędzie tereny górskie oddalone od cywilizacji i tylko powierzchownie schrystianizowane, stanowiły wręcz odrębny świat kierujący się własnymi normami. Nie można, rzecz jasna, twierdzić, że stosunki na Podhalu były typowe dla całej Polski. Wiadomo, że na obszarach, gdzie silniej sięgały wpływy Kościoła i dworu, okazywano mniejszą tolerancję w sprawach erotyki. Jeśli swoboda nawet miała miejsce, nigdzie nie była tak ostentacyjna. Jak już jednak nadmieniałem, wiele faktów wskazuje przecież bezspornie, że pewna swoboda, przedmałżeńskie współżycie — były tolerowane. *Jednocześnie po takim przedślubnym współżyciu* na ogół związek legalizowano i pozostawano w nim do śmierci współmałżonka. Porzucanie partnera z błahych przyczyn czy dla chęci odmiany było źle widziane.

Przedślubne współżycie par nie stanowiło specyfiki góralskiej czy polskiej. Takie zwyczaje występowały m. in. w wielu regionach dawnych Niemiec, gdzie dziewczęta oddawały się swoim chłopcom na dłuższy czas przed weselem: mówiło się tam o próbnych nocach (Prebenächte). Były też aprobowane przez myśl Oświecenia. Zajście w ciążę, posiadanie nieślubnego dziecka, zarówno u nas, jak w Niemczech, nie stanowiło tragedii, oceniane było różnie, w zależności od okresu dziejowego, czasem jednak nawet pozytywnie. Świadczyło bowiem o płodności panny młodej, wskazywało, iż może ona dostarczyć nowych rąk do pracy, co stanowiło wtedy moment niebagatelny. Kultura ludowa omawianego okresu na nizinach Polski nie lekceważyła jednakże dziewictwa: donoszenie wianka do ślubu traktowano też jako zasługę dziewczyny. Zachowały się lamenty o stracie wianka. Rozmaite materiały świadczą, że dziewictwo stało się tam z czasem, szczególnie od XVIII w., cenione. Bez wątpienia jednak nie fetyszyzowano niewinności, z jej zachowania nie czyniono miernika moralności kobiety.

Ten dość naturalny, często liberalny stosunek do świata uczuć i miłości fizycznej występował jeszcze silniej w środowisku ludzi marginesu społecznego, biedoty miejskiej, włóczęgów zwanych wtedy „luźnymi". Miłość posiadała tam swoje niekwestionowane prawa, ludzie łączyli się wyłącznie z powodu upodobania. Wartości kobiety nie mierzono tam, rzecz jasna, bogactwem, niewinnością, lecz wyłącznie zaletami serca i ciała. Pary wiązało ze sobą autentyczne uczucie, często bez formalnego ślubu pozostawały ze sobą w trwałych, wieloletnich związkach.

Pochwały spontanicznych miłości spotykało się w XVII w. w różnych erotykach ludowych (często i kursujących wśród szlachty). W jednej z pieśni ciężarna panna tłumaczy się matce, iż pokochała młodziana, równocześnie oburza się na tych, którzy uważają, że straciła „sławę", jest wdzięczna kochankowi za przeżycia i doznania. Nie kryje, iż czuje w sobie iskry „cielesnej żądzy", lecz bez poczucia winy i grzechu zachęca rówieśniczki do uprawiania miłości:

*Ani wierzę, by w tej mierze wstyd miał być jaki,*
*To sromota, gdy ma cnota szwank lada jaki,*
*Lecz to samo Bóg w raju kazał, aby człek ludzkie*
*rozmnażał*
*Na świecie plemię.*

*Na to godzi, kto się rodzi, by zażył świata,*
*W zeszłym wieku zysk człowieku są młode lata,*
*Gdy bez pociechy upłyną, wszystkie nam korzyści giną,*
*Grunt ci przyjaciel.*

*Każdej radzę, a nie zdradzę, niech się nie drożą!*
*Kto całuje i miłuje, ten nasz a Boży.*
*Bądźcie powolne dzieweczki i miłujcie parobeczki.*
*Wasze to żniwo było jako żywo.*

Badania demograficzne wskazują, iż rzeczywiście pośród biedoty spotykało się największy odsetek dzieci nieślubnych.

Konkludując powyższe uwagi należy stwierdzić, że miłość w kulturze ludowej nie stanowiła zjawiska nagannego, traktowana była jako wręcz powinność człowieka wobec natury. Sprawy płci przedstawiano tu bez pruderii, równocześnie bez wyrafinowania.

*Rys. Maja Berezowska*